

przeгляд socjalistyczny

przeгляд socjalistyczny

nr 4 (51) / 2015
październik-grudzień 2015 roku
www.przeгляд-socjalistyczny.pl

Seria wydawnicza „Przeglądu Socjalistycznego”
„Demokracja i sprawiedliwość społeczna”

Zeszyt nr 4/2015
„Kryzys patryzmu w świecie”

Copyright © Ruch Społeczny „Praca-Pokój-Sprawiedliwość”
Wykorzystywanie materiałów i cytatów zawartych w tej publikacji dozwolone
po powołaniu się na źródło

ISSN 1895-2283
ISBN 978-83-61902-14-0
EAN: 9788361902140



Niniejsza publikacja powstała dzięki staraniom zespołu redakcyjnego,
współpracowników i sympatyków „Przeglądu Socjalistycznego”

Stale współpracują:

prof. Maria Szyszkowska, prof. Marian Dobrosielski,
prof. Paweł Bożyk, prof. Hanna Kuzińska,
prof. Zdzisław Bombera, prof. Zbigniew Olesiński, prof. Longin Pastusiak,
prof. Wojciech Pomykało, dr Eleonora Salwa-Syzdek, dr hab. Ryszard Piotrowski,
dr Józef Rudnicki, dr hab. Rafał Chwedoruk, dr hab. Adam Bobryk,
dr Władysław Loranc, dr Sylwester Szafarz, Michał Syska,
Przemysław Prekiel, Marian Romaniuk, Lech Kańtoch, Janusz Mulak,
Jerzy Kraszewski, Ryszard J. Sławiński

Przegląd Socjalistyczny – redaguje kolegium w składzie:

Andrzej Ziemiński – redaktor naczelny, Jacek Kłopotowski – sekretarz redakcji,
Leonard Dubacki, Bartosz Machalica. Projekt okładki i stron tytułowych: Janusz Mulak.

Wydawca: Stowarzyszenie Ruch Społeczny „Praca-Pokój-Sprawiedliwość”.

00-572 Warszawa, Al. Wyzwolenia 9/29, tel. 22 855 49 16

Adres redakcji: 03-289 Warszawa ul. Reniferowa 35 tel./fax 22 814 36 83

www.przegląd-socjalistyczny.pl, e-mail: ps@rs.org.pl, redakcja@przegląd-socjalistyczny.pl

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii • 05-270 Marki ul. Duża 1 • www.c-p.com.pl

Spis treści

Spis treści	5
Sprawiedliwość społeczna a Konstytucja - z Ryszardem Piotrowskim rozmawia <i>Przemysław Prekiel</i>	7
<i>Sylwester Szafarz</i> - Kryzys patriotyzmu w świecie	16
IDEE	
<i>Marian Dobrosielski</i> - Carl Schmitt - ideolog IV RP	26
<i>Zdzisław Bombera</i> - Technologia a struktury społeczne, własność rzeczy i ludzi	38
<i>Janina Łagoda</i> - Solidarność na rozstajach	42
<i>Jerzy Oniszczyk</i> - Homer: zasada miary, hybris i absurd „sprawiedliwości”	52
ZAGRANICA	
<i>Sylwester Szafarz</i> - Stare i nowe Szlaki Jedwabne	68
<i>Janina Łagoda</i> - Uchodźcy i sprawa polska	80
<i>Agnieszka Zakrzewicz</i> - Pomędzy Łądem a Morzem, czyli jak rodzi się Nowy Porządek Świata	88
<i>Dominik Sierżputowski</i> - Lewica niemiecka wobec Rosji	96
WIELCY SOCJALIŚCI	
<i>Jarosław Tomaszewicz</i> - Zygmunt Zaremba [1895-1967]	107
Szukać tego, co nas łączy na lewicy - z Tadeuszem Iwińskim rozmawia <i>Przemysław Prekiel</i>	119
BLOG PRASOWY	125
FELIETONY	
POLITYKA BEZ MASEK. <i>Maria Szyszowska</i> - Demokracja jako parawan	132
PROSTO Z BŪSZU. <i>Janusz Rygielski</i> - Islamskie preludium	134
MOJA POLSKA. <i>Jan Herman</i> - Obrona demokracji	137
RECENZJE	
<i>Przemysław Prekiel</i> - Czy lewica obudzi państwo	139
<i>Przemysław Prekiel</i> - Białe plamy Powstania	141
<i>Tomasz Sosnowski</i> - Krwawe źniwo mitu żydokomuny	143
ŻYCIE NA LEWICY	148

Fundusz Wydawniczy „Przeglądu Socjalistycznego”

Apelujemy do wszystkich !
Zasilajcie nasz fundusz dobrowolnymi wpłatami.
Pozwoli to na regularne wydawanie
„Przeglądu Socjalistycznego”
ideowego pisma polskiej lewicy.

Wydawca
Stowarzyszenie Ruch Społeczny
„Praca–Pokój–Sprawiedliwość”
Konto bankowe: 42 1020 1013 0000 0202 0147 0244
Z dopiskiem „Fundusz Wydawniczy PS”

Sprawiedliwość społeczna a Konstytucja

Rozmowa z dr. hab. Ryszardem Piotrowskim z UW

Jakie spory towarzyszyły przy pracach nad Konstytucją RP z 1997 roku? To był akt kompromisu?

Konstytucja istnieje dzięki wielu kompromisom, ponieważ powstawała w rezultacie zasadniczych sporów, stanowiących – w pewnym zakresie – pokłosie kontrowersji okrągłostołowych, które dzieliły stronę solidarnościowo-opozycyjną i koalicyjno-rządową. Nowela konstytucyjna, przeprowadzona w końcu 1989 roku, stanowiła, że Polska jest „demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej”, co znalazło odzwierciedlenie w orzecznictwie działającego już wtedy Trybunału Konstytucyjnego.

Prace nad nową Konstytucją były prowadzone w Sejmie i Senacie od 1989 roku, ale – mimo starań – nie doszło do uchwalenia nowej ustawy zasadniczej w dwustulecie Konstytucji 3 Maja. Prowizoryczny charakter miała tzw. Mała Konstytucja z 1992 roku, aczkolwiek odzwierciedlała zasadę podziału władz. Specjalna ustawa konstytucyjna z 1992 roku ustaliła zasady prac nad nową Konstytucją. Na podstawie tej ustawy wniesiono 7 projektów Konstytucji, które stały się w 1994 roku przedmiotem pierwszego czytania w Zgromadzeniu Narodowym, a następnie prac Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, zakończonych w 1997 roku. Spory trwały więc długo. Dotyczyły one koncepcji państwa, statusu jednostki, roli kościołów i związków wyznaniowych, kształtu podziału władz, modelu dwuizbowości, kształtu i zakresu praw socjalnych.



Zgromadzenie Narodowe uchwaliło obowiązującą Konstytucję RP 2 kwietnia 1997 roku, referendum zatwierdzające odbyło się 25 maja 1997 roku, a następnie – 17 października 1997 roku – Konstytucja weszła w życie.

Warto pamiętać, że mające kluczowe znaczenie dla naszej sytuacji rozstrzygnięcia dotyczące losów polskiego przemysłu, banków, handlu zostały podjęte w fazie radykalnych reform, zapoczątkowanych w 1989 roku, niezależnie od ówczesnych reguł konstytucyjnych. Podmiotem owych reform nie było społeczeństwo reprezentowane przez ruch „Solidarność”, ale „wąskie grupy modernistycznych elit złożone z ludzi wczorajszej opozycji i młodych, dobrze wykształconych technokratów, którym doradzali zachodni specjaliści. Sekundowali im dziennikarze, część inteligencji i młodzieży”[1]. O kształcie ustroju społeczno-gospodarczego i jego ewolucji, określanej niekiedy jako „wygaszanie Polski”[2], zdecydowano w postanowieniach Układu Europejskiego z 1991 roku.

Mało brakowało, a frekwencja referendalna nie przekroczyłaby 50%. Kościół katolicki ostentacyjnie występował przeciw jej uchwaleniu. Dlaczego?

Frekwencja w referendum wynosiła 42,86% uprawnionych. Konstytucja została zaakceptowana większością 6 398 641 głosujących „za”, przy 5 570 493 głosujących „przeciw”. Sąd Najwyższy stwierdził ważność referendum zatwierdzającego, w którym przekroczenie progu frekwencyjnego nie jest wymagane.

Nie sądzę, by można było powiedzieć, że Kościół jako swego rodzaju całość ostentacyjnie występował przeciw uchwaleniu Konstytucji. Przede wszystkim Kościół, a więc szczególnie wspólnota wierzących, nie jest podmiotem na tyle jednoznacznym, by można było do jednego mianownika sprowadzić zróżnicowaną hierarchię i wiernych. Konstytucja powstawała w rezultacie długiego procesu, w którym stosunek władz kościelnych, hierarchów, poszczególnych duchownych i wiernych do konkretnych projektów i rezultatów prac ustrojodawczych podlegał zmianom. Ostatecznie w komunikacie z 288 zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski, datowanym 2 maja 1997 roku, stwierdzono m.in. „Uwzględniając historyczne znaczenie tego aktu, wzywamy wszystkich do podjęcia w sumieniu decyzji wyrażającej odpowiedzialność przed Bogiem i historią, ponieważ tekst Konstytucji budzi poważne zastrzeżenia moralne”[3]. Zastrzeżenia te były konsekwencją przyjętego w ustawie zasadniczej rozwiązania, które „uznaje Konstytucję za najwyższe prawo Rzeczypospolitej Polskiej w sensie absolutnym, a w konsekwencji – człowieka za najwyższego prawodawcę. Skutki takiego zapisu są bardzo groźne, zdają się bowiem zezwalać ustawodawcy na stanowienie każdego prawa, nawet jeżeli stoi ono w wyraźnej sprzeczności z naturą i godnością każdego człowieka. To prawda, że normy konstytucyjne są najwyższym prawem, ale jedynie jako prawo stanowione, które podlega ograniczeniom, a nie w znaczeniu bezwzględnym”[4]. Jednak preambuła Konstytucji stwierdza, że źródłem wartości uniwersalnych jest Bóg albo „inne źródła”, a więc inna transcendencja. Te źródła są równoprawne. W każdym razie – w świetle Konstytucji – władza nie jest źródłem wartości, które usytuowane są wyżej od najwyższych władz. Tak z konstytucyjnej, jak i eklezjastycznej perspektywy, człowiek nie jest „najwyższym prawodawcą”.

Dostrzega Pan sprzeczności w przepisach ustawy zasadniczej? Weźmy choćby sprawę krzyża w Sejmie. Z jednej strony Konstytucja zapewnia bezstronność władz, a z drugiej strony swobodę głoszenia przekonań religijnych. Jak to pogodzić?

Bezstronność władz w sprawach przekonań religijnych i swoboda wyrażania przekonań religijnych w życiu publicznym to przejaw charakterystycznego dla Konstytucji dążenia do kompromisu, a zarazem rozwiązanie pragmatyczne. Władze publiczne nie powinny występować na rzecz żadnego przekonania religijnego, ale też nie mogą eliminować tych przekonań z przestrzeni publicznej, ponieważ postępując w ten sposób byłyby stronnicze. Wymuszana bezstronność mogłaby się okazać swego rodzaju państwem antywyznaniowym. W praktyce ustawodawczej trudno jednak pogodzić ową bezstronność z prawem do wyrażania przekonań religijnych, manifestowanych w konkretnych głosowaniach, zwłaszcza jeśli wyborcy nagradzają wierność przekonaniom religijnym, a owa bezstronność nie jest u nich w cenie. To przecież Konstytucja RP przewiduje dodanie słów „Tak mi dopomóż Bóg” do tekstu najważniejszych ślubowań nadając tym samym głoszeniu przekonania religijnego ustrojowy charakter.

Pozostaje uznanie, że ceremonialna konfesyjność – w Stanach Zjednoczonych stosowane jest określenie „ceremonialny deizm” – wyraża, przez odwołanie się do wyobrażeń powszechnie uznanych i ugruntowanych przez wielopokoleniową tradycję, aksjologiczną determinację władzy i jej nadzieje, związane z afirmacją wartości, nie zaś głoszenie przez tę władzę wiary określonego Kościoła[5].

Nie uważa Pan, że niektóre zapisy Konstytucji RP są martwe? Mam na myśli choćby art. 2 mówiący, iż „Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej”. Czy kiedykolwiek Trybunał Konstytucyjny badał tę zasadność?

Art. 2 Konstytucji nie jest martwy. Demokratyczne państwo prawne żyje w bardzo wielu orzeczeniach Trybunału Konstytucyjnego, jako źródło zasad przyzwoitej legislacji i racjonalności prawodawcy. Zasada sprawiedliwości społecznej bywa przywoływana rzadziej, zwykle jako kryterium dyskryminacji (niesprawiedliwe różnicowanie) albo uzasadnienie ingerencji w prawa nabyte.

W orzecznictwie Trybunału Konstytucyjnego znalazł jednak wyraz pogląd, w myśl którego „zasadę sprawiedliwości społecznej w odniesieniu do problemów społecznych jakie niesie za sobą zjawisko bezrobocia, rozumieć należy jako zasadę postępowania w stosunkach między grupami społecznymi, w tym wypadku między najszerszą grupą społeczną jaką jest wspólnota narodowa reprezentowana przez państwo, a kategorią ludzi bezrobotnych. Nakazem postępowania jest tutaj obowiązek państwa w sferze jego działalności socjalnej zapewnienia jednostce będącej bez pracy warunków realizacji jej prawa do egzystencji i wolności z uwagi na niezbywalną, przyrodzoną godność człowieka. Trybunał Konstytucyjny przyjął, że służące temu zabezpieczenie społeczne gwarantowane przez państwo bezrobotnym powinno wyrażać się w zapewnieniu im co naj-

mniej minimum socjalnego. Zasada sprawiedliwości społecznej w rozumieniu orzecznictwa konstytucyjnego polskiego zawiera w sobie bowiem m.in. formułę rozdzielczą – każdemu według jego potrzeb, w rozumieniu potrzeb podstawowych, i formułę tę należy stosować przede wszystkim do osób, których minimum socjalne na skutek utraty pracy jako źródła dochodu jest zagrożone”[6]. Trybunał Konstytucyjny uznał zarazem, że „zasada sprawiedliwości ze względu na jej ogólny i prawnie zasadniczo niezdefiniowany charakter, nie określa jednak formy prawnej realizacji wspomnianej formuły sprawiedliwości w odniesieniu do kategorii bezrobotnych”[7].

Zasada sprawiedliwości społecznej, wyrażona w art. 2 Konstytucji, jest – w ujęciu najnowszego orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego – najczęściej łączona z zasadą równości, jako jeden z wyznaczników dopuszczalności różnicowania sytuacji podmiotów podobnych[8]. Trybunał stwierdził również, że „treść zasady sprawiedliwości jest jednak bogatsza niż zasady równości. Z jednej bowiem strony wyznacza ona obowiązki o charakterze formalnym, nakazując równe traktowanie podmiotów równych oraz zakazując równego traktowania podmiotów nierównych, z drugiej zaś wyznacza obowiązki o charakterze materialnym, polegające na nakazie ochrony i realizacji szeregu wartości konstytucyjnych, w tym solidarności społecznej i bezpieczeństwa socjalnego”[9]. Zdaniem Trybunału „można więc powiedzieć, że zastosowanie zasady sprawiedliwości społecznej może prowadzić do korekty zasady równości”[10].

Art. 2 Konstytucji, także w części odnoszącej się do zasady sprawiedliwości społecznej, nie jest martwy skoro na podstawie tego przepisu Trybunał Konstytucyjny stwierdza, że „zastosowanie zasady sprawiedliwości społecznej nie dopuszcza nadmiernego (drastycznego) różnicowania sytuacji życiowej członków społeczeństwa należących do różnych grup społecznych; przewiduje proporcjonalne (adekwatne) wynagrodzenie zasług (pracy); zapewnia wszystkim obywatelom zbliżone szanse rozwoju; gwarantuje pomoc władz publicznych w zaspokajaniu elementarnych potrzeb tym, którzy sami nie są w stanie ich zaspokoić. Realizacja tych zasad zakłada dopuszczalność interwencji państwa w stosunki społeczno-gospodarcze w interesie słabszych podmiotów”[11]. Sędziowie powiedzieli to, co powinni. Reszta należy do polityków i wyborców.

Jaki cel przyświeca powoływaniu Konstytucji? To ma być tylko najwyższy akt prawny, które reguluje prawo w państwie?

Konstytucje mają służyć osiągnięciu wielu celów i spełnić wiele nadziei. Zwykle oznaczają nowy początek w dążeniu do ulepszenia świata. Przede wszystkim mają ograniczyć władzę większości ze względu na prawa człowieka i chronić wolność. Zasady tych ograniczeń oraz gwarancje ich skuteczności zawarte są właśnie w konstytucjach. Zasadniczym celem konstytucji nie jest wygoda rządzących, ale pomyślność i wygoda rządzonych[12]. Konstytucje są prawem i kształtują prawa, ale też mają znaczenie kulturotwórcze, wyrażają suwerenność narodową i państwową, a zarazem ją ograniczają, w imię wartości uniwersalnych.

Mają też konstytucje jeszcze jedną właściwość. Czasem zauważamy, że są jak owe mapy, o których Wisława Szymborska napisała w swoim ostatnim wier-

szu „Lubię mapy, bo kłamią. Bo nie dają dostępu napastliwej prawdzie. Bo (...) rozpościerają mi na stole świat nie z tego świata”[13].

Czy w III RP często naruszano Konstytucję? Jeśli tak, to kto i w jakich okolicznościach?

W III RP naruszano Konstytucję wielokrotnie. Żeby się o tym przekonać wystarczy zapoznać się z orzecznictwem Trybunału Konstytucyjnego, stwierdzającym przypadki obciążające nie tylko ustawodawcę, ale także inne organy stanowiące prawo. Z naruszaniem Konstytucji mamy także do czynienia w praktyce jej stosowania przez władzę wykonawczą[14]. Trzeba jednak pamiętać, że to, co wedle jednych prawników jest naruszeniem Konstytucji, inni uznają za dopuszczalne. Zdarzają się przeciw wyroki Trybunału Konstytucyjnego z wieloma zdaniem odrębnymi. Kiedy w toku prac parlamentarnych pojawiają się wątpliwości konstytucyjne, zdeterminowany politycznie prawodawca uchwała ustawę deklarując, że od rozstrzygnięcia wątpliwości mamy Trybunał.

Szczególną postacią naruszania Konstytucji jest ignorowanie niektórych wolności i praw ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych. Konstytucja to ułatwia przewidując np., że ustanowionych w niej reguł polityki państwa w dziedzinie „zwalczania bezrobocia” czy praw „matki przed i po urodzeniu dziecka do szczególnej pomocy władz publicznych” oraz realizacji obowiązków władz w dziedzinie „rozwoju budownictwa socjalnego”, a także prawa do „dostępu do świadczeń opieki zdrowotnej finansowanej ze środków publicznych” – można dochodzić jedynie w granicach określonych w ustawie. Nie oznacza to jednak przecież, że ustawodawca ma pełną dowolność. Może on naruszyć Konstytucję, jeśli nie wykonuje swoich konstytucyjnych zadań w sposób społecznie odczuwalny.

Naruszaniu postanowień Konstytucji sprzyja z jednej strony swoista kontrkultura prymatu polityki nad prawem, a z drugiej wynikająca ze wspomnianych kompromisów, niejednoznaczność reguł konstytucyjnych. Z punktu widzenia sprawującego władzę w ustroju demokratycznym kryterium sukcesu nie jest wyznaczone przez determinację w przestrzeganiu ducha i litery konstytucji, ale przez wynik wyborczy[15]. Jedynie te naruszenia konstytucji, które są jednoznaczne i zrozumiałe dla wyborcy na tyle, by można je wyeksponować medialnie i tylko takie, których nie uda się medialnie zneutralizować, mają znaczenie dla wyniku wyborów. Dlatego praktyka konstytucyjna w ustroju demokratycznym może, w większym lub mniejszym stopniu, odbiegać od ducha i litery ustawy zasadniczej; czasem wady praktyki bywają dostrzeżone, jak to miało miejsce na przykład w uzasadnieniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego precyzującym – nie tyle może ze względu na zakres zaskarżenia, co w świetle standardów kultury praw człowieka – prawa wezwanych przed komisją śledczą, z punktu widzenia którego to wyroku znaczna część pytań zadanych wezwanym przez niektóre wcześniej działające komisje śledcze w ogóle nie mogła zostać sformułowana. Na ogół jednak, wyjąwszy przypadki niezgodności z Konstytucją stwierdzone przez Trybunał Konstytucyjny, nieortodoksyjna lub niekiedy nawet antykonstytucyjna praktyka stosowania niektórych postanowień ustawy zasadniczej – zwłaszcza tych dopuszczających różne, niekiedy wykluczające się interpretacje – rzadko pociąga za sobą następstwa dla rządzących na tyle jednoznaczne,

by skutecznie zniechęcały do lekceważenia woli ustrojodawcy. Nawet jeśli rządzący tracą władzę w wyniku wyborów właśnie dlatego, że lekceważyli wartości konstytucyjne, to obrona konstytucji nie stanowi zasadniczego wątku kampanii wyborczej[16]. Przecież pod rządami obowiązującej Konstytucji, za publiczne pieniądze, których coraz bardziej brakuje na realizację podstawowych zadań państwa, można, jak się okazało, posyłać obywateli na beznadziejne wojny prowadzone ze względu na wątpliwe cele polityczne i niegodziwe partykularne korzyści. Dysfunkcyjna lub wątpliwa z punktu widzenia wartości praktyka konstytucyjna nie odwraca jednak aksjologicznego ładu, po stronie którego opowiedział się ustrojodawca. Praktyka ustrojowa nie jest przecież źródłem wartości[17].

W Polsce toczy się już od dłuższego czasu debata o referendum. Co na ten temat mówi Konstytucja? Wiemy, że podpisy obywateli często nie wystarczają, aby przeprowadzić ogólnokrajowe referendum. Potrzebna jest tylko wola polityczna?

Referendum jest formą demokracji bezpośredniej. Zgodnie z art. 4 Konstytucji naród sprawuje władzę „przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio”. W myśl Konstytucji referendum ogólnokrajowe można przeprowadzić w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa (art. 125 Konstytucji), można w referendum zatwierdzić szczególnie doniosłe zmiany Konstytucji (art. 235) i można też w referendum wyrazić zgodę na ratyfikację umowy międzynarodowej, na podstawie której Rzeczpospolita przekazuje organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu kompetencje organów władzy państwowej w niektórych sprawach (art. 90). Referendum w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa zarządza Sejm albo Prezydent, za zgodą Senatu. O tym, czy i kiedy referendum się odbędzie, decydują politycy według swoich kalkulacji. Oni też ustalają treść pytań, a potem realizują wynik referendum.

Należy pamiętać, że każda konstytucja, także nasza, ogranicza władzę suwerena, władzę większości, a więc większości parlamentarnej oraz większości obywateli głosujących w referendum. Jak zauważa Trybunał Konstytucyjny obowiązująca konstrukcja ustrojowa „została stworzona m.in. w celu uniknięcia – historycznie znanego – doświadczenia. To doświadczenie to zarówno ryzyko, jak i realne niebezpieczeństwo uproszczonego rozumienia demokracji – głównie, jeśli nie wyłącznie – do wszechwładzy większości parlamentarnej. By uniknąć tego niebezpieczeństwa, został stworzony system demokracji konstytucyjnej zawarty w Konstytucji z 1997 r.”[18].

Rządzeni mogą się mylić, ulegając intencjonalnej perswazji albo zgoła manipulacji, co znakomicie symbolizuje zachowanie tłumu stawiającego żądania Piłatowi[19]. Jeżeli demokracja to rządy większości, to Piłat jest dobrym demokratą. Ewangeliczna krytyka manipulowanego tłumu, wyposażonego we władzę podejmowania zasadniczych rozstrzygnięć, staje się szczególnie aktualna w obliczu współczesnych dylematów demokracji wyborczej[20], związanych ze zjawiskiem spadku rzeczywistego wpływu wyborców na wynik wyborów[21]. Nie bez znaczenia jest także możliwość zyskania przez mniejszość uczestniczącą w wyborach władzy nad większością nieobecnych[22].

Przy okazji referendum, pojawia się pomysł, aby wprowadzić w wyborach do Sejmu, Jednomandatowe Okręgi Wyborcze. Wielu Konstytucjonalistów uważa, że do tego potrzebna będzie zmiana Konstytucji. To prawda?

Prezydent Bronisław Komorowski przedłożył Sejmowi projekt ustawy o zmianie Konstytucji, który ma na celu skreślenie słowa „proporcjonalne” z zestawu przymiotników charakteryzujących w art. 96 ust. 2 Konstytucji wybory do Sejmu. Jeśli ta nowelizacja zostanie uchwalona, to ustawodawca zdecyduje, czy wybory do Sejmu mają być większościowe i powinny się odbywać w jednomandatowych okręgach wyborczych, czy też należy wprowadzić inny system wyborczy. Będzie również możliwe wybieranie Sejmu w wyborach proporcjonalnych.

Czy polskie społeczeństwo zna swoją Konstytucję? Pytam w kontekście czasów Polski Ludowej, kiedy to istniał przedmiot „Nauka o Konstytucji”. Nie brakuje Panu tego przedmiotu w szkołach?

Instrumentalne traktowanie Konstytucji jako narzędzia w walce politycznej zniechęca do ustawy zasadniczej i do prawa w ogóle. Staje się ono coraz mniej zrozumiałe i jednoznaczne. Posługiwanie się Konstytucją w celach politycznych osłabia legitymizację państwa.

Edukacja szkolna powinna upowszechniać wiedzę o Konstytucji i prawie, jak to jest w wielu krajach demokratycznych, a do pewnego stopnia także u nas. Chodzi jednak o coś więcej – o budowanie społeczeństwa obywatelskiego dzięki kształtowaniu kultury konstytucyjnej, opartej na szacunku dla innych i dla siebie samego, na etyce, na godności i krytycyzmie, na dialogu i współdziałaniu, na sprzyjaniu ludziom, nie zaś na nieustannej rywalizacji i narcystycznym kulcie indywidualnego sukcesu. Łatwiej rządzić ludźmi zmuszając ich do ciągłej walki o wszystko, odwracając uwagę od tego, co ważne, skłócając, manipulując emocjami i strasząc, zachęcając do konkurencji i pogoni za pieniędzmi, przyzwyczajając do tego, że na państwo nie można liczyć. Edukacja konstytucyjna powinna przynieść odpowiedź tym, którzy „mają do zaproponowania naszej młodzieży jedynie masową konsumpcję, pogardę dla słabych i dla kultury, zgeneralizowaną utratę pamięci i śmiertelne konkurowanie wszystkich ze wszystkimi”[23] dla tym większych i łatwiejszych zysków osiągniętych przez nielicznych.

Czy Konstytucję należy zmieniać, modyfikować jej zapisy, tak, aby szła z duchem czasu? Są przykłady państw, które idą w tym kierunku? W Polsce co jakiś czas, jakaś polityczna siła domaga się zmiany Konstytucji. Ta jest tak wadliwa?

Nie ma doskonałych konstytucji, ale nasza – moim zdaniem – nie wymaga zasadniczych zmian. Jak dotąd pozwoliła na wielokrotną uporządkowaną zmianę władzy i jest użyteczna dla ochrony praw jednostki. Na postanowienia tej ustawy zasadniczej powołują się także ci, którzy byli jej przeciwnikami.

Z punktu widzenia konstytucjonalizmu uznającego, że sens konstytucji polega na ograniczeniu władzy ze względu na prawa człowieka, nie każda zmiana konsty-

tucji jest możliwa. Granice zmiany Konstytucji RP zawierają się w jej preambule, która wymaga, by zmiany służyły „zachowaniu przyrodzonej godności człowieka, jego prawa do wolności i obowiązku solidarności z innymi”. Granice zmian konstytucji są wyznaczone przez wartości kultury europejskiej, określające zarazem standardy konstytucyjne – swego rodzaju *ius commune*, do którego odwołuje się Traktat o Unii Europejskiej stanowiąc w art. 2, że Unia „opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości”, a ponadto „prawa podstawowe zagwarantowane w Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności oraz wynikające z tradycji konstytucyjnych wspólnych Państwom Członkowskim, stanowią część prawa Unii jako zasady ogólne prawa” (art. 6 ust. 3).

Konstytucja nie powinna być narzędziem w walce politycznej, bo byłby to przejaw antykonstytucyjnego prymatu polityki nad prawem. Także zmiana konstytucji nie powinna służyć doraźnym celom politycznym, dziś tym, jutro innym. Konstytucję można budować nie na niepewnym gruncie rywalizacji politycznej, ale na fundamencie wartości.

Zmieniając konstytucję nie należy odbierać praw, trzeba je dawać, pamiętając o tym, że konstytucja jest po to, by uczynić człowieka lepszym. Zmiana konstytucji, która odbiera prawa jest w istocie antykonstytucyjna[24].

Nie ma wiecznych konstytucji – trwałe są tylko idee i wartości. Jednak stabilność rozwiązań konstytucyjnych jest także wartością wspólną stabilności ustroju demokratycznego. W ustroju tym trwałość konstytucji zależy od trwałości sił politycznych podtrzymujących ustawę zasadniczą. Kiedy partie, które konstytucję tworzyły lub ich kontynuatorzy tracą poparcie wyborców – często dlatego, że nie dochoywano wierności ustanowionym regułom – może to oznaczać zapowiedź zbliżającej się zmiany ustawy zasadniczej. Dokonanie tej zmiany może być nieodzowne jako element nowego startu i zaspokojenie potrzeby autoproklamacji nowych sił politycznych. Projektów nowej konstytucji nie brakuje. Należy jednak pamiętać, że zmiana reguł rządzenia, np. w drodze wprowadzenia systemu prezydenckiego, kanclerskiego czy likwidacji Senatu nie oznacza – sama w sobie – rozwiązania podstawowych problemów obywateli ani nie zwiększa przestrzeni wolności. Warto też przypomnieć przy tej okazji spostrzeżenie Nicolò Machiavellego, że – także przeciw w tej dziedzinie – każde odkrycie bywa „równie niebezpieczne dla jego autora, jak dla żeglarza poszukiwanie nieznanych wód i lądów”[25]. Jednak to właśnie zdolność ponoszenia ryzyka i nadzieja są może bardziej ludzkie aniżeli ostrożność.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał *Przemysław Prekiel*

Ryszard Piotrowski – dr hab., konstytucjonalista, autor publikacji z dziedziny prawa konstytucyjnego, praw człowieka, teorii legislacji, prawa parlamentarnego, pracownik Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego

Wywiad ukazał się pierwotnie w książce: Przemysław Prekiel pyta... - Jaka Polska?, Wydawnictwo „Kto jest Kim”, Warszawa 2015.

Przypisy:

- [1] Tak A. Smolar: Przygody społeczeństwa obywatelskiego, w: E. Nowicka, M. Chałubiński, red.: Idee a urządzenie świata społecznego. Księga jubileuszowa dla Jerzego Szackiego, Warszawa 1999, s. 392. Pogląd ten nie jest odosobniony.
- [2] Por. J. Kłosiński: Kronika wygaszania Polski, w: L. Sosnowski, red.: Wygaszanie Polski, Kraków 2015, s. 9 i nast.
- [3] Cyt. za P. Borecki. C. Janik: Kościoły i organizacje światopoglądowe o nowej polskiej Konstytucji, Warszawa 2012, s. 143. Por. także P. Borecki: Geneza modelu stosunków Państwo – Kościół w Konstytucji RP, Warszawa 2008.
- [4] Tak w Oświadczeniu Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski w sprawie projektu Konstytucji wydanym 13 lutego 1997 roku., cyt. za P. Borecki. C. Janik: op. cit., s. 141.
- [5] Por. R. Piotrowski: Opinia na temat wniosku dotyczącego „wydania zarządzenia nakazującego usunięcie krzyża łacińskiego, znajdującego się w sali posiedzeń Sejmu RP, Zeszyty Prawnicze Biura Analiz Sejmowych, nr 4/2011, s. 59.
- [6] Tak w uzasadnieniu orzeczenia w sprawie o sygn. P 7/92.
- [7] Ibidem.
- [8] Tak w uzasadnieniu wyroku w sprawie o sygn. P 46/08.
- [9] Tak w uzasadnieniu wyroku w sprawie o sygn. K 9/12.
- [10] Tak w uzasadnieniu wyroku w sprawie o sygn. K 17/11.
- [11] Ibidem.
- [12] Por. R. Piotrowski: Relacje między organami władzy, w: P. Zieliński, red.: Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej 12 lat po wejściu w życie, Warszawa 2009, s. 46.
- [13] W. Szymborska: Mapa, „Tygodnik Powszechny” nr 7/2012.
- [14] Por. na ten temat R. Piotrowski: Wartości i polityka. Refleksje o dysfunkcyjnej praktyce konstytucyjnej, „Zagadnienia sądownictwa konstytucyjnego” nr 1/ 2011. Por. także R. Piotrowski: Spory o Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, w: L. Kolarska-Bobińska, J. Kicharczyk, red.: Demokracja w Polsce 2007-2009, s. 15 i nast.
- [15] Tak R. Piotrowski: Wartości..., s. 35.
- [16] Ibidem.
- [17] Ibidem.
- [18] Tak w uzasadnieniu wyroku w sprawie o sygn. U 4/06.
- [19] Por. przykładowo Łk. 23, 17–25. Godne uwagi wydaje się aktualizujące przedstawienie symboliki tego zdarzenia w filmie A. Wajdy „Piłat i inni”.
- [20] Por. G. Zagrebelsky: *Il „Crucifige !” e la democrazia*, Torino, 1995, s. 67 i nast. Por. także R. Piotrowski: Relacje ...
- [21] Por. K. Z. Sowa: *Demokracja i korupcja*, „Znak” 2002, nr 6, s. 90, według którego o efekcie demokratycznych wyborów decydują „w coraz większym stopniu zupełnie inne czynniki niż polityczne przekonania i preferencje wyborców”. J. Rawls: *A theory of Justice*, Cambridge 1971, s. 226, zauważa, że finansowanie wyborów ze środków prywatnych prowadzi do zdominowania forum politycznego przez interesy partykularne w stopniu utrudniającym ustanowienie sprawiedliwego porządku konstytucyjnego.
- [22] Następstwem niskiej frekwencji wyborczej są rządy mniejszości. Por. J. Raciborski: *Antynomie konstytucyjnych wartości w polskim prawie wyborczym*, „Studia Prawnicze”, 2001, nr 1, s. 12. Por. także M. Cześnik: *Partycypacja wyborcza w Polsce*, Warszawa 2007, s. 214 i nast.
- [23] Tak S. Hessel: *Czas oburzenia !*, Warszawa 2011, s. 28.
- [24] Por. R. Piotrowski: Relacje ...
- [25] Por. N. Machiavelli: *Wybór pism*, Warszawa 1972, s. 233.

Sylwester Szafarz

Kryzys patriotyzmu w świecie

Najpierw **garstka uwag wstępnych**: w warunkach długotrwałego i pogłębiającego się II kryzysu globalnego (nadciąga jego tzw. „trzeci dołek”), przyzwyczailiśmy się i przywykliśmy już po trosze do pojęcia i do zjawiska kryzysu. Reagujemy na nie bez przewrażliwienia i z niemałą dozą obojętności. Cynicy i wtajemniczeni mają niemało racji – do wszystkiego można się przyzwyczaić. Dlatego też nie bez wahania i pewnej obawy intelektualnej przystępuję do pisania niniejszego tekstu nt. kryzysu patriotyzmu, zarówno w kategoriach teoretycznych, jak też praktycznych, w skali całego świata. Powoduje mną jednak nadzieja, iż opracowanie to może okazać się przydatne, np. dla celów komparatywnych, w kontekście gorączkowych współczesnych dyskusji i rozważań polskich dotyczących tej materii. Co więcej, obserwując te dyskusje na szerokim tle globalnym, dochodzę do jednoznacznego przekonania, iż również anachroniczna i sklerotyczna instytucja patriotyzmu polskiego wymaga transformacji i modernizacji, jeśli instytucja ta ma być jakoś przydatna i pożyteczna w polityczno-społecznym i świadomościowo-ideologicznym rozwoju społeczeństwa i państwa polskiego. Bowiem, podobnie jak w reszcie świata, również w Polsce klasyczne, niejako staroświeckie, definicje, koncepcje i recepty patriotyczne już nie przystają do realiów współczesności. A ponieważ realia zmieniają się bardzo trudno, trzeba przeto zmodyfikować radykalnie te pierwsze kategorie. Dlatego też, w niniejszym opracowaniu, pojęcie patriotyzmu traktuję jako kategorię umowną i kwestię przyzwyczajenia. W obecnych uwarunkowaniach wewnętrznych i zewnętrznych, optymalnym wyjściem dla Polski byłoby więc umiejętne i selektywne skojarzenie dotychczasowego tradycjonalizmu patriotycznego z modernizmem patriotycznym i internacjonalistycznym.

Obecni wiodący promotorzy, głosiciele i nosiciele klasycznego patriotyzmu w Polsce mają zapewne świadomość, iż ich przekonania teoretyczne i poczynania praktyczne są relatywnie mało efektywne. Bowiem, społeczeństwo, jako całość, a szczególnie młodsza jego część, jest coraz mniej usposobiona patriotycznie, a coraz bardziej indywidualistycznie, egocentrycznie i kosmopolitycznie. Starszym trudno się dziwić, skoro wychowywali się oni w niezwykle trudnych

czasach wyrzeczeń, cierpień, krwi, łez, niedostatku oraz zbrojnej czy politycznej walki o urzeczywistnienie ideałów najwyższej rangi – szczególnie wolności, niepodległości, godności i quasi suwerennej państwowości. Choć czasy i priorytety się bardzo zmieniły, to starsi nadal walczą o to samo, co przedtem i stosują analogiczne, jak kiedyś, metody, wstrzykując je młodym. Zaś decydenci ulegają presji i aspiracjom społecznym oraz nie tylko trzymają się kurczowo starej teorii i praktyki patriotycznej, ale podsycają je z całą świadomością we współczesnych doraźnych celach politycznych. Jest to więc, w sumie, patriotyczne dreptanie w tym samym miejscu oraz swoista zaraźliwa epidemia patriotyczna, w której giną głosy śmiazków proponujących nowoczesne formuły patriotyzmu polskiego.

Starymi metodami patriotycznymi nie załatwimy już nic dobrego dla Polski. Widać to najlepiej przez pryzmat niedopuszczalnego pogorszenia stosunków polsko-rosyjskich czy też podejścia niektórych rodaków do problemu uchodźców. Nowa sytuacja wymaga nowych treści i metod. To nie jest banalny banał.

Wystarczy wyjść poza opłotki polskiego staroświeckiego zaścianka patriotycznego, aby zobaczyć, że również inne narody i państwa borykają się z analogicznymi problemami, ale raczej nie drepczą w miejscu. Niektóre, jak np. państwa skandynawskie czy nawet Francja i Niemcy, starają się kojarzyć swój nacjonalistycznie zabarwiony patriotyzm z internacjonalizmem i z humanizmem, np. otwierając drzwi przed uchodźcami oraz doprowadzając do niebywałej mieszanki etnicznej w tych państwach, kiedyś jednorodnych pod względem narodowościowym. Jednakowoż, cała społeczność międzynarodowa, jak się teraz powiada, ewoluuje zdecydowanie od umiarkowanego klasycznego czy post klasycznego patriotyzmu w kierunku coraz bardziej prawicowym i wojującym, czyli nacjonalistycznym, mówiąc bez ogródek [1].

Tendencja ta widoczna jest także coraz wyraźniej w Polsce, trochę na zasadzie: skoro inni mogą, to dlaczego my musimy być gorsi!? Skąd się to wszystko bierze? Po prostu, stąd, iż II kryzys globalny, wywołany przez neoliberalistów amerykańskich, doprowadził nie tylko do dramatycznej dehumanizacji życia w poszczególnych krajach i w całej społeczności międzynarodowej, ale również do groźnego renesansu nacjonalizmów i uczuć nienawiści na tle trudności, patologii, sporów i problemów potęgowanych przez kryzys. Mechanizm tego jest więc prosty i ewidentny. Przeto, nie tylko te spory i te problemy, także nie sławetne „zderzenie kultur”, ale – nade wszystko – coraz ostrzejsza konfrontacja nacjonalizmów stanowi obecnie najpoważniejsze zagrożenie dla pokoju i dla rozwoju cywilizacji ludzkiej.

Teraz krótko **o genezie i o definicjach**: nie roszczę sobie pretensji do ekstrawagancji i do przesady w sprawach tak delikatnych, jak patriotyzm, internacjonalizm czy humanizm, ale – przyglądając się bacznie ewolucji świata w ostatnich dziesięcioleciach – stwierdzam bez wahania, iż klasyczny i niewypaczony patriotyzm od dawna już nigdzie nie istnieje. Nawet jeśli komuś się zdaje, że istnieje, to – z punktu widzenia globalnego – trzeba traktować średniowieczny i nowożytny **patriotyzm jako wielkie przekleństwo ludzkości** oraz jako główną przyczynę największych nieszczęść cywilizacyjnych, szczególnie wojen, konfliktów zbrojnych i rozlicznych patologii. Mechanizm tego jest prosty: jeśli

jestem patriotą jednego (własnego) kraju i narodu, to jednocześnie nie mogę być patriotą innego kraju i narodu, które – *ipso facto* – traktuję jako gorsze, często znienawidzone i nie zasługujące na szacunek. Oraz odwrotnie – a jakże?! Przecież inni też nie traktują mnie tak, jak bym tego pragnął i jakem to sobie ubzdurał. Tak oto zamyka się błędne koło uprzedzeń patriotyczno-nacjonalistycznych ze szkodą dla wszystkich pseudo patriotów. Konkretnie symboliczne przykłady ze sfery stosunków Polaków z sąsiadami: „polnische Schweine”, „polnische Idioten”, „polnische Wirtschaft”, „polskie pany”, „apiat eta parszywaja Polska”, „pijany jak Polak”, „polskie obozy koncentracyjne” itp.; oraz ich odpowiedniki ze strony polskiej: „kacapy”, „szwaby”, „żabojady”, „szmondaki” i wiele innych.

Mniej chodzi przy tym o wulgarne słowa, lecz bardziej o konkretne treści oraz o aspekty psychologiczne i moralne z tym związane. Czy taka paplanina – to wyraz patriotyzmu polskiego, niemieckiego, rosyjskiego, francuskiego, żydowskiego i in.? Bardzo wątpię. Mamy tu więc do czynienia z patriotyzmem (własnym) i z antypatriotyzmem (obcym). Interakcje tego rodzaju funkcjonują od zarania dziejów. Morza atramentu wylano już w historii na opisywanie powiązań między patriotami a niepatriotami, panami a poddanymi, właścicielami niewolników a niewolnikami, rządzącymi a rządzonymi, bogatymi a biednymi, prześladowcami a prześladowanymi i in.; a także na analizowanie waśni rasowych, religijnych, gospodarczych, kulturowych itp. itd. Ale sprawa nadal nie jest załatwiona odpowiednio – dziś nie można jeszcze określić precyzyjnie i adekwatnie do realiów, kto jest prawdziwym (autentycznym) patriotą w znaczeniu indywidualnym i uniwersalnym jednocześnie? Ale niech samozwańcym „patriotom” nadal się zdaje, że są patriotami, choć bynajmniej nie są nimi.

A zaczęło się to wszystko tak pięknie i tak obiecująco. Pojęcie patrioty wprowadzone zostało na dobre do teorii oraz do praktycznego obiegu politycznego, społecznego i międzynarodowego mniej więcej w VI wieku. Wymyślili to, jak zwykle, „starożytni Grecy i Rzymianie”. Greckie słowo „patris” stosowano dla określenia ludzi wywodzących się z tego samego kraju, przez co powiązanych szczególnymi nićmi sympatii, lojalności, solidarności i pomocy wzajemnej. Również łacińskie słowo „patria” („ojczyzna”) może być traktowane jako słowotwórczy prapoczątek pojęcia patriotyzm, zakładającego istnienie szczególnej lojalności, umiłowania i przywiązania emocjonalnego ludzi do danego państwa (narodu, ojczyzny a nawet władcy). Można także zakładać hipotetycznie, iż inne łacińskie słowo – „pater” („ojciec”) legło u podstaw pojęcia patriotyzmu i jego kojarzenia, przede wszystkim, z ojcowizną. Świadczyłoby o tym niemieckie słowo „Vaterland” („ojczyzna”, Vater – ojciec), czy też nasza polska „ojczyzna”, której należy się cała nasza miłość, lojalność i szacunek. Doprawdy? Jedynie Rosjanie (i inne narody słowiańskie) używają pojęcia „rodina” („ojczyzna”), dzieląc sprawiedliwie zasługi między matkę i ojca („roditeli”). Znamienne jednocześnie, iż – w języku angielskim (i w innych językach) – używa się raczej słowa „Matherland” („matczyzna”, że tak powiem) dla określenia ojczyzny.

Krytyka patriotyzmu: ów klasyczny patriotyzm przetrwał w swej oryginalnej acz szkodliwej postaci prawie przez całe średniowiecze, stanowiąc zarzewie

wielu okrutnych wojen, konfliktów i prześladowań. Wymieńmy tylko, tytułem przykładu, inwazje i agresje: Muzułmanów, Wikingów, Mongołów, Anglików, Normanów, Turków, Germanów, Wandali i in., wojnę stuletnią, wyprawy krzyżowe, inkwizycję, podboje kolonialne itd. Natomiast poważniejsza rewizja podejścia do teorii i do praktyki opacznego patriotyzmu datuje się dopiero od połowy XVIII wieku (epoka Oświecenia – trwająca od końca XVII wieku do początku XIX wieku).

Głębokie krytyczne przemyślenia na te tematy zapoczątkowali filozofowie encyklopedyści, szczególnie **Jean-Jacques Rousseau**. Rozróżniał on jednoznacznie pomiędzy lojalnością wobec państwa i wobec kościoła. Twierdził, iż duchowni nie mogą być patriotami na Ziemi, bowiem ich państwem (ojczyzną) jest... niebo. Ostre i zdecydowane stanowisko w sprawach patriotyzmu zajmowali też później inni wybitni twórcy i myśliciele; np. **Oscar Wilde** – patriotyzm jest cnotą obłąkańców. Nie można być patriotą tylko w jednym kraju, gdyż to oznacza, że nie jest się patriotą w innych krajach; **George Bernard Shaw** – nigdy nie będzie spokoju na świecie do czasu wykorzenienia patriotyzmu z rodzaju ludzkiego („you will never have a quiet world till you knock the patriotism out of the human race”). Mocno powiedziane. **Guy de Maupassant** – patriotyzm to jajo, z którego wykluwają się wojny. **Lew Tołstoj** – patriotyzm to norma, która usprawiedliwia szkolenie masowych morderców. **Karl Marx** – ludzie pracy nie mają ojczyzny. Odrębności i spory międzynarodowe znikną dzięki zwycięstwu proletariatu w świecie i in. I nie znikły!

Od dawna trwają też poszukiwania optymalnej formuły współczesnego patriotyzmu związane z takimi koncepcjami, jak uniwersalizm, pacyfizm, humanizm itp. Np. **stalinowcy i maoiści** lansowali koncepcję socjalistycznego patriotyzmu, który byłby możliwy, gdyby socjalizm zwyciężył w całym świecie. Do tej pory okazało się to nierealne i nie jest bynajmniej pewne, czy kiedykolwiek stanie się realne? Z kolei, **Juergen Habermas** wysunął propozycję ws. patriotyzmu europejskiego (europatriotyzmu), skądinąd bardzo słuszną i wskazaną. Tyle tylko, iż niemożliwą do realizacji w warunkach wcześniejszego i obecnego rozczłonkowania, dezintegracji, skłócenia narodów i państw europejskich oraz odradzania się rozmaitych nacjonalizmów i nasilenia konfrontacji między nimi. W powszechnym przekonaniu, patriota może być lojalny nie tylko wobec swego państwa i narodu, lecz również wobec swego mocarstwa imperialnego czy kolonialnego (inaczej niż nacjonalista, który, z reguły, przeciwstawia się imperializmowi i kolonializmowi). Jednym z kryteriów stosowanych celem dokonywania pomiarów natężenia patriotyzmu jest gotowość do udziału w wojnie oraz do obrony ojczyzny i narodu przed rodzimymi tyranami i zagrożeniami czy też przed agresorami i napastnikami zewnętrznymi. To swoista militaryzacja patriotyzmu. Setki milionów ludzi zginęły na świecie poświęcając „bezpłatnie” swą krew i życie dla „świętej sprawy”.

Ale notujemy też liczne przypadki komercjalizacji patriotyzmu w wojnach, w konfliktach i w powstaniach zbrojnych, np. najemnicy czy współcześni zawodowi żołnierze otrzymujący zapłatę za „pracę”. Takich nie można nazywać patriotami. Swoistym szczytem ironii i cynizmu jest nazwanie amerykańskich antyrakiet „Patriotami” („Patriots”). W sumie, obserwujemy wszędzie swoiste falowanie

(sinusoidę) nastrojów i natężenia uczuć patriotycznych od czasu pojawienia się tej instytucji do dziś. Reguła jest taka: im ludziom jest gorzej, tym większymi stają się oni patriotami, walcząc o poprawę sytuacji. Przykład Polski jest wielce charakterystyczny i wymowny w tym względzie – rozbiory, wojny światowe, agresje zewnętrzne, powstania itp. – wszystko to powodowało intensyfikację postaw patriotycznych. Natomiast obecny względny spokój w kraju sprawia, iż obywatele nie spodziewają się najgorszego i są przez to mniej usposobieni patriotycznie. Zapominają jednak o tym, iż bliższe i dalsze otoczenie kraju jest coraz bardziej niespokojne, co nie pozostanie bez wpływu na sytuację w Polsce. Znamienne są także ostatnie wyniki badań nastrojów patriotycznych wśród mieszkańców USA (pierwsze takie badania od czasów Ronalda Reagana – lata 70-te XX wieku). Okazuje się, mianowicie, iż ponad 44% młodych obywateli nie jest bynajmniej dumnych z bycia Amerykanami. Nad patriotyzmem góruje wśród nich prywata, egoizm i indywidualizm. To skutek ideologii neoliberalizmu („radź sobie sam”).

Kilka słów jeszcze o kategoriach pokrewnych patriotyzmowi. **Nacjonalizm** stanowi formację bardziej wojowniczą i agresywną w porównaniu do patriotyzmu. Co więcej, zyskuje on ostatnio (ale także wcześniej) zdecydowaną przewagę nad patriotyzmem, w miarę tego, jak ten ostatni usycha coraz bardziej. W celach socjotechnicznych i propagandowych, patriotyzm wykorzystywany jest nierzadko, szczególnie przez tyranów, dyktatorów i demagogów, celem kamuflowania nacjonalizmu, rasizmu, ksenofobii i in. Nacjonalisci uważają, iż każda grupa (mniejszość) etniczna powinna mieć własne państwo. Jest to jednak postulat nierealny w odniesieniu do wszystkich mocarstw i państw wielonarodowych, jak np. USA, w których zakorzeniły się grupy społeczne i etniczne ze wszystkich kontynentów, regionów i krajów świata (np. Afro-Americans, Polish Americans i wiele innych). Jedyne przykłady Szwajcarii, państwa wielonarodowego, w których poszczególne mniejszości etniczne korzystają z rozwiązań quasi państwowych, ma wydźwięk dość pozytywny. Wielopaństwowość etniczna byłaby także niemożliwa w przypadku takich mocarstw jak Chiny (56 mniejszości etnicznych), Indie, Rosja, Francja, W. Brytania i wiele innych. Nie oznacza to bynajmniej, iż nacjonalistycznie usposobione społeczności etniczne nie dążą do własnej państwowości (np. Kurdowie, Katalończycy, Baskowie, Palestyńczycy, Szkoci i in.).

Współczesne społeczeństwa stanowią zresztą coraz bardziej wielobarwne konglomeraty i mieszaniny etniczne, kulturowe, językowe itp., w których zderzają się różne sprzeczne interesy i nacjonalizmy. W Europie procesy te przybierają na sile, m.in., w związku z bezprecedensowym napływem uchodźców z Afryki Północnej i z Bliskiego Wschodu. Czy obywatel francuski pochodzenia arabskiego, afrykańskiego, karaibskiego, indochińskiego i in. może być stuprocentowym patriotą Francji? Raczej nie. Podobnie rzecz się ma w innych regionach Europy, szczególnie na Bałkanach, które od dawien dawna stanowią przysłowiową „beczkę prochu” na naszym kontynencie. Nacjonalizmy są tam szczególnie silne, a ich zderzenie prowadzi, z reguły, do konfliktów zbrojnych. Wystarczy tylko iskra i wybuch prochu jest gotowy, jak świadczy o tym przykład I wojny światowej i wielu innych wojen bałkańskich. W sumie, słowo „Nation”,

z którego wywodzi się nacjonalizm, ma co najmniej dwojakie znaczenie: naród i państwo. Np. Polish Nation może oznaczać i jedno i drugie, zależnie od kontekstu. Ważne jest wszakże to, iż – w procesie globalizacji oraz w warunkach niezwyklej łatwości w przemieszczaniu się po świecie, nowoczesnej łączności i szybkiego obiegu informacji – kategoria nacjonalizmu też ulega głębokim przeobrażeniom. Takim mianowicie, iż postępować będzie erozja klasycznego nacjonalizmu a na jego miejscu pojawiać się będzie nacjonalizm wieloetniczny. Zanim to jednak nastąpi, stary nacjonalizm będzie coraz groźniejszy, broniąc się przed upadkiem.

Z kolei, **szowinizm** [2], jest relatywnie blisko spokrewniony z patriotyzmem i z nacjonalizmem, ale – wśród nich – stanowi kategorię jeszcze bardziej dynamiczną, bojową, groźną, fanatyczną i niszczyielską, wręcz karykaturalną. Np. faszyzm, militarizm i terroryzm zrodził się na gruncie szowinizmu, gloryfikującego wyższość (supremację) jednego narodu (rasy, religii, grupy społecznej itp.) nad innymi. Słowem, szowinizm – to coś w rodzaju wojującego nacjonalizmu do „n-tej potęgi”. Bez większych trudności, można prognozować, iż – w bliższej i w dalszej przyszłości – na fali kryzysu patriotyzmu, eskalacji nacjonalizmu i innych ekstremizmów, również szowinizm będzie przybierał na sile, stanowiąc coraz większe zagrożenie dla całej ludzkości, także dla jednostek i grup społecznych głoszących szowinizm i postępujących zgodnie z jego normami. Współczesnych przykładów intensyfikacji szowinizmu (różnego rodzaju) nie trzeba szukać daleko. Chyba najgroźniejszym spośród nich jest terroryzm fundamentalistyczny zderzający się już bezpośrednio i w skali globalnej głównie z terroryzmem państwowym, kosztem wielkich ofiar ludzkich i strat materialnych. Faktem jest jednocześnie, iż intensyfikacja nacjonalizmów i szowinizmów jest już mechanizmem samonakręcającym się (coś w rodzaju perpetum mobile) w zdecydowanej większości krajów świata, nie wyłączając Polski.

W tej niezwykle złożonej sytuacji, trzeba powiedzieć parę słów o **głównych przyczynach kryzysu patriotyzmu w świecie**. Jest ich bardzo wiele, ale wybierzmy jedynie najważniejsze spośród nich:

Względy systemowe – obecny stan chaosu i anarchii w świecie (po upadku dwubiegunowości i jednobiegunowości) oraz w wielu krajach (krach sowytyzmu i neoliberalizmu) eksponuje szczególnie mocno brak optymalnych systemów (ustrojów), czyli nowego ładu światowego i np. społecznej gospodarki rynkowej. Towarzyszy temu kryzys ideologii, programów, autorytetów i brak charzmatycznych przywódców. Ludzie są kompletnie zdezorientowani i niepewni jutra (chodzi mi, naturalnie, o tzw. średniego mieszkańca planety Ziemia). W różnych krajach wygląda to różnie, ale globalnie już nikt nie inspiruje, nie kontroluje i nie koordynuje biegu wydarzeń oraz nie panuje i nie steruje rozwojem naszej cywilizacji. Za to szaleją żywioły, przypadkowość, improwizacja i łatanie dziur. Obywatele nie mają zaufania do niewydolnych instytucji państwowych i międzynarodowych oraz do miłościwie rządzących, którzy, z reguły, nie troszczą się odpowiednio o rządzonych. W większości krajów świata, władzę sprawują reżimy autorytarne i totalitarne oraz egoistyczne grupy interesów, zaślaniające się frazeologicznymi przykrywkami demokracji, wolności czy patriotyzmu, a także

stosując metodologię ww. terroryzmu państwowego oraz wypróbowaną zasadę „dziel i rządź” („divide et impera”). Modelowym przykładem takich reżimów jest Arabia Saudyjska, rozpieszczana przez USA! Zresztą, źródła amerykańskie podają, iż w XX i w XXI wieku Stany Zjednoczone popierały i popierają (także finansowo) aż 71 reżimów autorytarnych i totalitarnych na świecie.

Na fali dehumanizacji oraz neoliberalnej „ideologii pieniądza” i pogoni za zyskiem, wyflukiwane są ze świadomości ludzkiej najwznioślejsze ideały, które kiedyś były lokomotywą i siłą sprawczą rozwoju społeczno-gospodarczego świata oraz patriotyzmu. Bez wątpienia, są siły, które chciałyby zapanować jakoś nad tym bałaganem i ukierunkować po swojemu rozwój świata czy przejąć władzę nad nim, ale efektywność ich poczynań nie jest wystarczająca nawet z punktu widzenia zamiarów i interesów tych sił. Zwiększa się więc ryzyko kolejnego „wielkiego wybuchu” nie tyle w kosmosie, ile na Ziemi, choć i ona jest częścią kosmosu. Jak, w rzeczonych warunkach, można być patriotą (czy internacjonalistą) – czego, kogo i w jakim celu? Jest to obecnie tak trudne, że aż wręcz niemożliwe! Jaki żołnierz poszedłby dziś do boju z takim oto, bądź podobnym hasłem na ustach: „za rodzinę, za Stalina, wpięrod!”? Sprawę komplikuje dodatkowo ww. postępujący proces mieszania najrozmaitszych narodowości i grup etnicznych w ramach poszczególnych krajów. Tworzą się w ten sposób, jak gdyby, nowe społeczeństwa czy nowe narody, a nawet, być może, **naród ogólnoswiatowy**. Ale chyba niedoczekanie nasze? Bowiem czasokres i łączne koszty tego procesu mogą być ogromne, a wynik ostateczny – bardzo niepewny;

Uwarunkowania ekonomiczne – trwający już prawie 10 lat II światowy kryzys gospodarczo-finansowy, któremu końca nie widać, rzutuje w przeogromny sposób na zapaść teorii i praktyki patriotyzmu. Bowiem, na ww. przyczyny moralno-psychologiczne i systemowe nakładają się, dodatkowo, nieznośne obciążenia materialno-bytowe i finansowe znacznej większości obywateli naszej planety, których liczba przekroczyła 7,5 mld osób i niezadługo może wzrosnąć do 9 czy nawet do 11 miliardów. Najlepiej, w tym kontekście, niech przemówią dane i liczby: w wyniku kryzysu, roczna stopa wzrostu ŚPB [3] spadła do obecnych 3%, podczas gdy powinna ona wynosić 5 – 6%, żeby można było uporać się jakoś z obecnymi trudnościami społeczno-gospodarczymi; pogłębia się przepaść między „biegunem bogactwa” i „biegunem biedy” na świecie. Na szczycie tego pierwszego znajduje się Qatar (138.000 USD PKB per capita rocznie); zaś na dnie tego drugiego nędznie wegetuje Republika Środkowo-Afrykańska (tylko 600 USD PKB per capita). Z tych względów, jeszcze jako tako można „być patriotą” w pierwszej czterdziestce z ponad 200 państw świata, którą zamykają Czechy (30.000 USD PKB per capita). Polska zajmuje dalsze miejsce – z sumą 25.000 USD PKB per capita. Ponad połowa ludzkości dysponuje zaledwie sumą 2,5 USD dziennie na swe utrzymanie, 1 mld ludzi – sumą w granicach 1–2 USD, zaś 1,3 mld Ziemiaków – ma tylko poniżej 1,25 USD dziennie. To sfera tzw. skrajnej nędzy (extreme poverty). 805 mln ludzi głoduje (na świecie ok. 22.000 dzieci umiera codziennie z głodu i z nędzy).

Ilość bezrobotnych przekroczyła już 300 mln osób (prawie 7% ogółu ludzkości). Liczbę tę należy pomnożyć (średnio) przez 4 (członkowie rodziny), żeby uzyskać rzeczywisty obraz nieszczęścia ludzkiego w świecie z powodu bezro-

bocia. Inna plaga – to wzrost zadłużenia świata, regionów, państw, podmiotów gospodarczych i zwykłych obywateli w okresie II kryzysu globalnego. Zadłużenie to jest niezwykle trudne do wyliczenia. Wiadomo jedynie, iż łączny dług publiczny (państwowy) świata przekroczył ostatnio 62 bln USD (tylko w USA wynosi on 17,5 bln USD). Natomiast łączne zadłużenie Stanów Zjednoczonych przekroczyło aż 160 bln USD (dług publiczny + zadłużenie producentów + zadłużenie konsumentów + dług zagraniczny + długi ukryte). Z danych Banku Światowego wynika, iż tylko pięć niewielkich krajów (Brunei, Lichtenstein, Palau, Niue i Makao) nie ma żadnego zadłużenia. Jednocześnie, globalne wydatki na zbrojenia przekroczyły 2 bln USD.

Aspekty społeczne – kryzys i coraz większe problemy gospodarcze świata nie pozostają bez wpływu na globalną i na krajową sytuację społeczną. Stopa przyrostu naturalnego w świecie spadła do 1,1%. Rocznie przybywa obecnie 75 mln obywateli Ziemi (netto). Jedynie w najbiedniejszych krajach Afryki Środkowej utrzymuje się wysoki przyrost naturalny: 5 – 8 dzieci na kobietę w wieku rozrodczym. Gdzie indziej, ludzie nie chcą mieć większej ilości dzieci, głównie z powodu trudności materialnych. Polska jest tego drastycznym przykładem. Generalnie – sytuacja społeczna na świecie ulega systematycznie pogorszeniu. Podobnie, jak w powyższym przypadku (ekonomicznym), także tu liczby mówią same za siebie: jest 785 mln analfabetów wśród dorosłych, z czego 2/3 – to kobiety; ponad 60 mln uchodźców; 750 mln ludzi bez dostępu do wody pitnej; 2 mld psychicznie chorych; 40 mln nadal choruje na AIDS/HIV, z czego 3 mln umiera corocznie; 500 mln chorych na malarię, z czego 1 mln umiera; dodać należy do tego inne epidemie, jak ebola, ptasia grypa itp. To wynik kolosalnych zaniedbań w służbie zdrowia, w ubezpieczeniach społecznych czy też w tworzeniu jakich takich warunków życia, oświaty i wyżywienia obywateli. To są jednocześnie skutki systematycznego powiększania się przepaści dochodowej w przypadku 80% państw świata. Sytuacja w tej mierze jest następująca: najbiedniejsza grupa 40% obywateli świata ma jedynie do dyspozycji 5% ogółu dochodów; zaś 20% najbogatszych obywateli dysponuje 75% dochodów ogółnoświatowych. Sytuację społeczną pogarszają, ponadto, klęski żywiołowe (szczególnie susze i powodzie) oraz coraz bardziej odczuwalne zmiany klimatyczne. Pogłębiają one pauperyzację miliardowych rzesz ludzkich, stymulują migracje – w poszukiwaniu pożywienia i wody oraz sprawiają, iż życie ludzkie na rozległych obszarach Ziemi staje się coraz bardziej nieznośne;

Zagrożenia wojenne: w historii, z reguły, było tak, iż niezliczone wojny i konflikty zbrojne stanowiły czynniki mobilizowania społeczeństw i pobudzania ich uczuć patriotycznych, w walce o słuszną czy też o niesłuszną sprawę. Teraz jednak sytuacja ulega zasadniczym zmianom. Jest coraz mniej chętnych obywateli do udziału w takiej walce. Wymownym tego przykładem były zdecydowane protesty społeczeństw, szczególnie młodzieży, przeciwko agresji amerykańskiej w Wietnamie. Zapał antywojenny i pacyfistyczny zmniejsza się obecnie, a chętnych do przelewania krwi jest coraz mniej – nawet za pieniądze. Istotnym powodem słabnięcia tzw. patriotyzmu militarystycznego jest także postęp naukowo-techniczny dokonujący w sferze produkowania i wykorzystywania narzędzi śmierci. Bronie masowej zagłady, bronie inteligentne, rakiety dalekiego

zasięgu, satelity, komputery, roboty, lasery, drony itp. sprawiają, że rola „siły żywej” na współczesnym polu walki staje się coraz mniejsza. Czyli, spada także zapotrzebowanie na „militarystycznych patriotów”. W sposób zasadniczy zmienia się także charakter współczesnych wojen – są one już internetowe, hybrydowe, religijne, terrorystyczne i antyterrorystyczne itp. Czyli zanika konieczność posiadania licznych armii lądowych (szczególnie patriotycznie usposobionej piechoty), jak to kiedyś bywało.

W XX i w XXI wieku większe i mniejsze wojny czy konflikty zbrojne toczyły się i toczą się nadal prawie nieprzerwanie. Obecnie, tylko w kilkunastu krajach świata (np. Szwajcaria, Japonia, Qatar, Urugwaj, Wietnam i in.) panuje autentyczny spokój/pokój i nie dochodzi do działań wojennych, konfliktów i starć zbrojnych oraz do ataków terrorystycznych. Rzeczywiście, terroryzm, srożący się już praktycznie na całej kuli ziemskiej z coraz większym natężeniem stanowi absolutnie nową jakość w globalnej ewolucji „miecza i tarczy”. Jest on, przede wszystkim, efektem ww. patologii i trudności gospodarczo-społecznych w świecie, zjawisk kryzysowych, dehumanizacji itp., ale również kardynalnych błędów decydentów. Zamiast zwalczać *ante factum* terroryzm u źródła i eliminować jego przyczyny, koncentrują się oni głównie na usuwaniu skutków terroryzmu *post factum*.

W efekcie tego, dochodzi do groźnej konfrontacji między terroryzmem fundamentalistycznym a terroryzmem państwowym, która to konfrontacja nie prowadzi do niczego dobrego. W każdym razie, takimi sposobami nie da się rozwiązać problemu terroryzmu. Nasuwają się, przy tym, istotne pytania: jakie są relacje pomiędzy terroryzmem a patriotyzmem? Oraz, czy terrorysta-morderca może być patriotą a patriota – terrorystą? Dla niektórych, bez wątpienia, tak. Ja zaś nie mam jeszcze odpowiedzi na te pytania. W każdym razie, kwestie tego rodzaju wymagają pogłębionych refleksji i badań teoretycznych oraz wyciągnięcia z nich wniosków praktycznych. W sumie, poza starciami terrorystycznymi i antyterrorystycznymi, w całym świecie trwa obecnie 20 rozmaitych konfliktów zbrojnych oraz 19 groźnych wojen na terenie następujących krajów: Syria, Irak, Afganistan, Nigeria Meksyk, Sudan, Płd. Sudan, Pakistan, Ukraina, Somalia, Republika Środkowo-Afrykańska, Libia, Izrael/Palestyna, Jemen, Egipt, Kamerun, Kongo i Turcja. Każda z tych wojen kryje w sobie ryzyko wybuchu większego konfliktu zbrojnego, a nawet bezpośredniej konfrontacji militarnej pomiędzy wielkimi mocarstwami. Niepokojąca jest, zwłaszcza, sytuacja na Dalekim Wschodzie oraz na niektórych obszarach Zachodniego Pacyfiku.

W konkluzji: jak tu być patriotą i internacjonalistą w przedstawionych powyżej dramatycznych uwarunkowaniach politycznych, strategicznych, gospodarczych i społecznych oraz w bezmiarze, krwi, łez, nieszczęść oraz nędzy materialnej i degradacji moralnej ludzkości? W walce o byt i o przetrwanie, ludziom odechciewa się wszystkiego innego, także takich wzniosłych walorów i ideałów, jak patriotyzm. Dziś jest on formułą przestarzałą i nieadekwatną do realiów, co nie oznacza, że nie może się kiedyś odrodzić, np. w przypadku polepszenia sytuacji wszystkich krajów i całego świata. Jakie jest więc wyjście patriotów i patriotyzmu z obecnego ostrego zakrętu dziejowego? W moim

przeświadczeniu, **alternatywa** jest następująca, przy czym obie jej możliwości są li tylko teoretyczne: 1. globalizacja (internacjonalizacja) patriotyzmu czyli ustanowienie **patriotyzmu uniwersalnego**, jednakiego dla wszystkich, z szacunkiem dla wszystkich i z jednoczesnym wyeliminowaniem przesłanek i norm, które doprowadziły do krachu patriotyzmu klasycznego w świecie; 2. dalsze pograżanie się poszczególnych ludzi, narodów, społeczności i grup etnicznych w bagnie dotychczasowego poronionego patriotyzmu (nacjonalizmu, szowinizmu, fundamentalizmu i innych ekstremizmów), co mogłoby doprowadzić do krachu naszej cywilizacji. Tęgo nikomu nie życzę.

Sylwester Szafarz, dr ekonomii, dyplomata, pisarz, tłumacz, publicysta polityczny

Materiał niniejszy stanowi autorski zapis wystąpienia na konferencji „Współczesne aspekty patriotyzmu” zorganizowanej przez Polską Partię Socjalistyczną i Stowarzyszenie Ruch Społeczny „Praca-Pokój-Sprawiedliwość” pod patronatem „Przeglądu Socjalistycznego” w dniu 10 listopada 2015 roku w Warszawie z okazji Dnia Niepodległości.

Przypisy:

[1]. Nowożytnie doświadczenia licznych krajów, narodów i społeczności świata potwierdzają, iż solidny patriotyzm, graniczący częstokroć z wojującym nacjonalizmem, stanowi jednak potężną broń w walce o niepodległość, o suwerenność oraz o inne podstawowe ideały i prawa. Np. broń ta odegrała (i odgrywa nadal) pierwszorzędą rolę w pokonaniu faszystów i militarystów w czasie II wojny światowej, w procesie dekolonizacji i tworzenia nowych państw, w walce Palestyńczyków o wolność i suwerenność czy w obronie rewolucji kubańskiej („Patria o muerte, venceremos!”). Również swoisty nacjonalizm, fanatyzm i fundamentalizm islamski oraz jego konfrontacja z hegemonizmem i z neoliberalizmem zachodnim, zwłaszcza amerykańskim, stanowi praprzyczynę i pożywkę intensyfikacji śmiertelności terroryzmu w naszych czasach;

[2]. Pojęcie szowinizmu pochodzi od nazwiska Nicolas Chauvin, Francuza, żołnierza napoleońskiego, który został ciężko ranny na polu bitewnym. Lekarze uratowali mu życie, ale później państwo francuskie przyznało mu śmiesznie niską rentę inwalidzką. Nie zrażony tym, N. Chauvin, nadal deklarował swe ślepe przywiązanie do cesarza, do bonapartyzmu i do imperialnej Francji – w ogólności oraz wyrażał gotowość do oddania życia w tym celu. Przeszedł więc do historii świata jako zacin i symbol najwyższej, fanatycznej i bezinteresownej wierności, lojalności i poświęcenia wobec wodza, systemu i kraju;

[3]. SPB = Światowy Produkt Brutto.

IDEE

Marian Dobrosielski

Carl Schmitt - ideolog IV RP? (pytania postawione raz jeszcze)

„Trybuna” (10-11 czerwca 2006) opublikowała mój artykuł pod powyższym tytułem. Bodźcem do jego napisania było zdanie Adama Leszczyńskiego: „Korzeni <polityki historycznej> nie sposób zrozumieć bez lektury Carla Schmitta, myśliciela ważnego dla jej głównych ideologów”. („Polityka Historyczna. Wielki Strach”, „Gazeta Wyborcza” 8-9 kwietnia 2006). Zaniepokojony tym poglądem sądziłem, iż celowe byłoby wyjaśnienie związków „polityki historycznej” i ideologii aktualnie rządzącej koalicji w Polsce z poglądami Carla Schmitta. Na podstawie tego, co o nim dotąd przeczytałem i słyszałem, uważałem Carla Schmitta za twórcę anachronicznej i szkodliwej teorii państwa totalitarnego. Napisałem wspomniany artykuł i postawiłem zawarte w tytule pytanie. Sądziłem, że może niektórzy specjaliści prawa państwowego, międzynarodowego, historycy idei i doktryn politycznych wyjaśnią koneksje poglądów Schmitta z ideologią i „polityką historyczną PiS”.

Nie doczekałem się tego. Opinia Adama Leszczyńskiego dręczyła mnie nadal. Przeczytałem więc wydaną w Polsce książkę Carla Schmitta [1], na którą składa się wybór jego pism w przekładzie i z wstępem Marka A. Cichockiego. Z licznych dzieł i bogatej publicystyki Carla Schmitta (1888-1985) Marek Cichocki wybrał znaczące dla jego twórczości prace: „Teologia polityczna. Cztery rozdziały poświęcone nauce o suwerenności” (1922), „Rzymski katolicyzm i polityczna forma” (1925), „Duchowa i historyczna sytuacja dzisiejszego parlamentaryzmu” (1926), „Pojęcie polityczności” (1932). Nie uwzględnił ważnych dla pisarstwa Schmitta takich prac jak „Romantyzm polityczny” (1919), „Dyktatura” (1921), „Istota problemu Ligi Narodów” (1926), Nauka o konstytucji (1928), ani żadnych prac Schmitta, a było ich wiele, z okresu lat 1933-1944. Powojenne opasłe dzieło „Nomos Ziemi w Prawie Międzynarodowym Jus Publicum Europeum” (1950) jest według znawców twórczości Schmitta zestawieniem jego poglądów głoszonych od lat dwudziestych ubiegłego wieku. Nie piszę tego jako zarzutu wobec dokonanego wyboru, który zawiera najbardziej oryginalną i najbardziej typową dla poglądów Schmitta pracę „Pojęcie polityczności”. Fakt, że nie uwzględnia żadnych prac Schmitta z okresu 1933-1944 można różnie interpretować.

Pozostawiam go bez komentarza. Pragnę bowiem przede wszystkim możliwie zwięźle i jasno przedstawić główne – moim zdaniem – poglądy Schmitta, zawarte w pracach wybranych przez Marka Cichockiego. By nie być posądzonym o ich zniekształcenie będę o wiele częściej cytował Schmitta, niż jest to normalnie stosowane w omówieniach książek.

W „Teologii politycznej...” Schmitt koncentruje się na możliwie wszechstronnym określeniu pojęcia suwerenności. Jak wiadomo w Republice Weimarskiej pojęcie suwerenności było przedmiotem kontrowersyjnej debaty politycznej i naukowej. Miało to związek przede wszystkim z postanowieniami Traktatu Wersalskiego dotyczącymi Niemiec, które przez wszystkie partie polityczne i chyba przez ogół Niemców były uważane za krzywdzące i niesprawiedliwe. Schmitt był zdecydowanym przeciwnikiem zarówno wspomnianego traktatu, jak i powstałej w jego wyniku Ligi Narodów. W 1926 roku w pracy „Istota problemu Ligi Narodów” krytykował tę organizację jako ograniczającą suwerenność jej członków, opartą na myśleniu życzeniowym i przygotowującą zarzewie nowej wojny światowej. Pisał o tym po przystąpieniu Niemiec do Ligi Narodów. Podobne poglądy głosił też po objęciu władzy przez Hitlera i chwalił go jako mądrego Führera, który wyzwolił Rzeszę Niemiecką z pęt Ligi Narodów. Potępiał prawników zwolenników, jak on go nazywał – „starego” prawa międzynarodowego, denuncjując ich jako pacyfistów i liberalnych demokratów, a ich prace uznawał za „dokumenty niegodne tak wielkiego narodu jak naród niemiecki” [2].

Wracam do „Teologii Politycznej...” i prób zdefiniowania przez Schmitta pojęcia suwerenności oraz jego związków z teologią. Schmitt przedstawia odpowiednie poglądy licznych bardzo znanych i mniej znanych autorów, Powołuje się na nich i przytacza cytaty z ich dzieł. (m.in.: Kartezjusz, Hobbes, Bodin, Rousseau, Max Weber, jak i Kaufmann, Gierke, Merkel itp. itd.). Spośród wspomnianych autorów Schmitt darzy w tej pracy szczególną sympatią Hobbesa i jego jak pisze „klasyczną formułę: *Auctoritas non veritas facit legem*”. Stwarza to pozory (a może nie tylko pozory) wielkiej erudycji, lecz równocześnie przyczynia się do trudności zrozumienia własnych poglądów Schmitta i do ich wieloznaczności.

Jest jednak w tej pracy sporo oryginalnych, wyraźnych poglądów Schmitta. Przytoczę niektóre z nich. „Suwerenność oznacza najwyższą niezależną od prawa ostateczną władzę”. Suweryn stoi ponad normalnie obowiązującym porządkiem prawnym. „Do niego należy decyzja czy konstytucja może zostać *in toto* zawieszona”. Suwerenem jest ten, kto decyduje o tym czy nastąpiła sytuacja wyjątkowa, jak i o metodach jej przewyciężenia. „Ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym jest suwerenny. Definicja ta najlepiej określa pojęcie suwerenności jako pojęcie graniczne”.

Nie tylko epatowanie erudycją, lecz i wieloznaczność i to, co nazwałbym bełkotem heglowskim, czy jak kto woli, heideggerowskim charakteryzuje pisarstwo Schmitta. (Cięży na mnie z młodości neopozytywistyczne, a z późniejszych lat krytyczno-racjonalistyczne skrzywienie zawodowe. Mój profesor w Zurychu, Karl Dürr, często przytaczał różne metafizyczne sformułowania Hegla czy Heideggera, które z punktu widzenia logicznego pozytywizmu były bezsensowne tzn. nie weryfikowalne, nie falsyfikowalne i wręcz nieprzetłumaczalne np. „Das Nichts nichtet”). Dla przykładu: Pisząc na prawie dwudziestu stronach o „Prob-

lemie suwerenności jako kwestii formy prawnej i decyzji” Schmitt stwierdza w podsumowaniu: „Problem formy prawnej dotyczy bowiem zarówno przeciwieństwa między treścią i podmiotem decyzji, jak i samodzielnego znaczenia podmiotu. Forma prawna nie ma nic wspólnego z aprioryczną pustką formy transcendentalnej, ponieważ jest ona wytworem prawnego konkretności. Różni się także zasadniczo od formy technicznej precyzji, która opiera się na istoty swej rzeczowej, bezosobowej celowości. W końcu jest też czymś zupełnie innym niż forma estetyczna, która nie ma nic wspólnego z fenomenem decyzji”. Co to znaczy?

Wyjaśnieniu pojęcia „teologii politycznej” poświęca Schmitt kilkanaście stron. Twierdzi: „Wszystkie istotne pojęcia z zakresu współczesnej nauki o państwie to zsekularyzowane pojęcia teologiczne”. Podkreśla „fundamentalne systemowe i metodologiczne znaczenie związku między teologią i prawem”. Píše: „Zasada niepodważalnych praw Boskich była ideałem prawnego życia w państwie XVII – wiecznego racjonalizmu”. Cytuje Kartezjusza: „Tak jak Bóg ustanawia w świecie prawo naturalne, tak król ustanawia prawa w swoim królestwie” i dalej: „Za sprawą tej idei Hobbes postuluje istnienie ostatecznej, konkretnej instancji, a samemu państwu Lewiatanowi, nadaje postać wielkiej osoby”.

W wieku XVIII do czasów rewolucji francuskiej idea Boga zostaje według Schmitta przeniesiona przez Rousseau z filozofii na osobę suwerena w państwie. „Bóg i budowniczy świata jest jednocześnie sprawcą i prawodawcą – jest autorytetem, który daje podstawy dla wszelkich uzasadnień”. Podobnie jak budowniczy świata, tak i budowniczy państwa, suweren jest także prawodawcą. W XIX – wiecznej teorii państwa przejawiają się silne tendencje eliminacji „wielkich teistycznych i transcendentnych wyobrażeń,” co Schmitt uważa za niezwykle szkodliwe. „Od 1848 roku mamy do czynienia już prawie wyłącznie z pozytywną nauką o państwie – przy czym określenie pozytywna często skrywało zwykłą bezradność nauk prawnych wobec metafizyki. Nauki te utożsamiały wszelką władzę z konstytucyjną władzą ludu, a to oznaczało zastąpienie zasady monarchii przez demokratyczną koncepcję legitymizacji”. Rewolucja 1848 roku położyła kres epoce rojalizmu. Na szczęście znaleźli się według Schmitta „wybitni przedstawiciele katolickiej filozofii państwa” tacy jak Donoso Cortés, którzy w tej sytuacji widzieli „tylko jedno rozwiązanie – dyktaturę”. „Z punktu widzenia jego (Cortésa – M.D.) filozofii państwa nie ma nic bardziej obcego niż ów matematyczny, pozytywistyczno-naukowy styl myślenia”.

Ostatni rozdział „Teologii Politycznej:” „Filozofia państwa w dobie kontrrewolucji” poświęcony jest poglądom dotyczącym państwa i suwerenności głównych przedstawicieli doktryny teokracji: Joseph de Maistre (1753-1821), Louis de Bonald (1754 – 1840) i Juan Donoso – Cortés (1809-1853). Jak wiadomo ci „katolicy filozofowie państwa” jak ich określa Schmitt byli zdecydowanymi przeciwnikami społecznych, politycznych, prawnych osiągnięć wieku Oświecenia i Rewolucji Francuskiej. Opowiadali się jednoznacznie za absolutną władzą, za dyktaturą panującego, gwarantującą objawiony rzekomo przez Boga porządek w jedności rodziny, religii i państwa. Z niezwykłą pasją atakowali poglądy Rousseau, Monteskiusza, czy Voltaire’a.

Schmitt tu i ówdzie wyraża się krytycznie o niektórych poglądach tych filozofów, lecz w sumie jest ich wielkim wielbicielem. Píše, że „pojęcie decyzji staje

się kwestią kluczową w ich rozważaniach”, że de Maistre utożsamia wręcz suwerenność z *decyzjonizmem*. De Maistre jak wiadomo opowiadał się za absolutną władzą monarchy jako pochodzącą od Boga. Oto próbka rozumowania tego „katolickiego filozofa,” którego chwali Schmitt: [3] „Jednym z wielkich błędów wieku, który głosił wszystkie, było przeświadczenie, że konstytucja polityczna może być napisana i stworzona *a priori*, gdy natomiast rozum i doświadczenie stwierdzają zgodnie, że konstytucja jest dziełem boskim i że to, co w prawach narodu jest najbardziej fundamentalne i najściślej konstytucyjne, nie może zostać zapisane... Rozum ludzki, sprowadzony do swych indywidualnych możliwości jest kompletnie niczym, ponieważ rodzi on jedynie dysputy, a człowiek, by kierować swym postępowaniem, nie problemów potrzebuje, lecz wiary. Religia państwowa jest tak samo konieczna jak państwowa polityka, albo innymi słowy dogmaty religijne i polityczne zmieszane i połączone razem muszą tworzyć rozum powszechny, czyli narodowy, dość silny na to, by powściągnąć zбочenia rozumu indywidualnego, który z natury swej jest śmiertelnym wrogiem jakiegokolwiek zrzeczenia, bo umie płodzić tylko rozbieżne poglądy”. Tego typu idee, jak w dalszej części tego szkicu będzie przedstawione były bliskie Schmittowi.

XIX – wieczna filozofia katolicka charakteryzowała się według Schmitta tym, iż uważała, że po rewolucjach z 1789 i 1848 roku „nadszedł czas, kiedy konieczne jest podjęcie decyzji. Ludzkość stanęła wobec wielkiej alternatywy i wielkiego wyboru”. Wspomniani filozofowie uważali, że „nie będzie porozumienia między katolicyzmem i ateizmem” i skłaniali się raczej do „pewnych rozwiązań dyktatorskich niż wiecznej rozmowy”, charakterystycznej dla liberałów i innych zwolenników parlamentaryzmu.

Schmitt ze szczególnym uznaniem pisze o poglądach Cortésa, który uważa, że po rewolucji 1848 r. „krwawą, decydującą bitwę toczą ze sobą katolicyzm i ateistyczny socjalizm”. Schmitt pisze jednak o wiele więcej, o atakach Cortésa na mieszczański liberalizm. „Istotą mieszczańskiego liberalizmu jest unikanie tej decydującej bitwy. Zamiast walki poszukuje się rozmowy, która ma połączyć skrajności. Klasa, która wszelką polityczną działalność sprowadza do debaty, do prasy i parlamentu, nie potrafi stanąć na wysokości zadania w czasach społecznych konfliktów”.

Schmitt z podziwem wyraża się o „niebywalej intuicji” Cortésa w kwestiach duchowych, czego najlepszym przykładem jest „jego definicja burżuazji jako *clasa discutidora*, oraz rozpoznanie mieszczańskiej religii jako wiary w wolność prasy i słowa”. Przeciwnością niekończących się jałowych dyskusji jest dyktatura „Dlatego też Cortés pogardza liberałami i jednocześnie z powagą traktuje ateistyczno-anarchistyczny socjalizm jako śmiertelnego przeciwnika”. Według Schmitta: „Do dziś aktualne znaczenie filozofii państwa doby kontrrewolucji polega na konsekwencji, z jaką należy podejmować decyzje i ogłosić konieczność wprowadzenia politycznej dyktatury”. Schmitt pisze też, że dla takich katolickich myślicieli jak Bossuet, de Maistre, Bonald, Donoso – Cortés „wyraźny jest związek między teoriami politycznymi a teologicznym dogmatem grzechu pierworodnego”. „Teolog przestaje być teologiem, jeśli nie wierzy, że ludzie są grzeszni i potrzebują zbawienia, jeśli nie odróżnia zbawionych od potępionych, wybranych od skazanych na wieczną mękę”. Schmitt pisze z wyraźną sympatią, że: „Ka-

tolicy filozofowie państwa w czasach kontrrewolucji, Louis Bonald, Joseph de Maistre, i Donoso – Cortés, często wykorzystywali politycznie analogie między teologią, prawem i polityką i do dziś pozostają dla nas pod tym względem bardzo inspirujący”. Tyle o teologii politycznej i suwerenności w rozumieniu Schmitta.

Z uwagi na brak miejsca pominię omówienie trzydziestostronicowego szkicu: „Rzymski katolicyzm i polityczna forma”. Wspomnę jedynie, że w okresie Republiki Weimarskiej Schmitt ostentacyjnie podkreślał swój katolicyzm i przytoczę kilka cytatów z tej pracy. Schmitt pisze: „naturą katolickiego kościoła jest *complexio oppositorum*... Od dawna kościół chlubi się tym, że jednoczy w sobie wszystkie formy państwa i władzy, że jest autokratyczną monarchią”. „Każda partia, reprezentująca silnie wyrażany światopogląd, może zgodnie z taktyką politycznej walki wchodzić w koalicje z wszelkiego rodzaju ugrupowaniami. Dotyczy to w tym samym stopniu socjalizmu, co katolicyzmu”. „Główna rozbieżność katolicyzmu związana jest z precyzyjnym dogmatyzmem oraz wolą podejmowania decyzji, które łączą się w nauce o nieomyślności papieża”. Szkic ten jest wielką apologią Kościoła i atakiem przede wszystkim na liberalizm, lecz również na socjalizm i anarchizm.

Obszerna, ponad siedemdziesięciostronicowa rozprawa: „Duchowa i historyczna sytuacja dzisiejszego parlamentaryzmu” opublikowana po raz pierwszy w 1923 i ponownie wydana w 1926 roku jest poświęcona „różnicy między parlamentaryzmem i demokracją” oraz pojęciu dyktatury. Jest ona atakiem na parlamentaryzm charakterystyczny dla Republiki Weimarskiej, lecz również na parlamentaryzm i liberalizm w ogóle. Przedstawia też bardzo dziwaczne rozumienie demokracji. Schmitt pisze: „Wiara w parlamentaryzm, w rządzenie przez dyskusję, charakteryzuje świat myśli liberalnej. Nie wiele ma natomiast wspólnego z demokracją. Liberalizm musi zostać oddzielny od demokracji”. Według Schmitta rzeczywista demokracja polega na tym, że tych, którzy są równi, traktuje się w równoprawny sposób, a równocześnie dąży do wykluczenia lub unicestwienia wszystkich tych, którzy nie są zaliczani do równych. „Polityczna siła demokracji polega właśnie na zdolności przewyciężenia i usuwania tego, co obce, elementów nierówności zagrażających homogenicznemu charakterowi demokratycznego społeczeństwa”. „Od XIX wieku równość znajduje swój wyraz przede wszystkim w przynależności do danego narodu, w narodowej homogeniczności”. Państwo może w swych własnych granicach wykluczyć z życia politycznego część społeczeństwa, nie przestając być państwem demokratycznym. W praktyce politycznej nie ma równości bez nierówności. Demokracja zakładała zawsze według Schmitta istnienie ludzi, którzy byli częściowo lub całkowicie pozbawieni praw i nie mogli sprawować politycznej władzy. „Ludzi tych nazywano barbarzyńcami, ludźmi niecywilizowanymi, ateistami, arystokratami, lub kontrrewolucjonistami”.

Państwo może być demokratyczne i nie opierać się na fundamencie równego i powszechnego prawa wyborczego, jak np. w przypadku imperiów Anglii, Francji i innych mocarstw. W sferze rzeczywistości politycznej „nie ma miejsca dla powszechnej równości wszystkich ludzi na ziemi”. „Parlament z perspektywy demokracji wydaje się niezrozumiałą i przestarzałą instytucją”. „Historia demokracji zna przykłady różnych form dyktatury, cezaryzmu, oraz innych niezwykłych metod wyrażania woli ludzi i kształtowania jednorodności w państwie”.

W omawianej pracy Schmitt dąży do wykazania: „Jak dalece parlament utracił moralne i duchowe zaplecze i stał się zimną, bezduszną maszyną, która funkcjonuje już tylko siłą mechanicznego bezwładu”. Różnica między parlamentaryzmem a demokracją polega według Schmitta na tym, że: „Dla zdefiniowania demokracji decydujące jest zjawisko jednorodności. Istota demokracji polega na tym, że wszystkie decyzje powinny dotyczyć tylko tych, którzy je podejmują”. Demokracja jest pojęciem wieloznacznym, zależnym od danej epoki i panujących warunków. Może więc mieć według Schmitta charakter wojskowy, lub populistyczny, być absolutystyczną, centralistyczną, postępową, reakcyjną itp. Demokracja ma wyrażać wolę ludu. Na czym ta wola ludu polega? Schmitt, tak ją sofistycznie „wyjaśnia:” „Wola ludu jest zawsze identyczna z wolą ludu, niezależnie od tego, czy decyzję podjęto na podstawie milionów kart oddanych w głosowaniu, czy podjął ją jeden człowiek bez głosowania, czy też cały naród jednogłośnie, czyli przez aklamację, ponieważ sama decyzja ludzi w pełni uosabia jego wolę”.

Ważną kwestią jest sposób kształtowania woli ludu i to, kto dysponuje środkami kształtowania woli ludu: „wojsko, władza polityczna, propaganda, prasa, organizacje partyjne, zgromadzenia, ministerstwo edukacji i szkoła. W szczególności chodzi o to, że władza polityczna może sama kształtować wolę ludu”. Dzięki różnym metodom wychowawczym można sprawić, że: „lud trafnie rozpozna swoją wolę, będzie ją we właściwy sposób kształtował i poprawnie wyrażał... Konsekwencją takiego wychowania jest dyktatura... Warto o tym pamiętać, ponieważ dowodzi to, że dyktatura nie jest przeciwieństwem demokracji”. Wiara, że władza pochodzi od ludu podobna jest do wiary, że każda władza pochodzi od Boga. Stąd konieczność uprawiania oryginalnej naukowej analizy demokracji, którą Schmitt nazywa właśnie „teologią polityczną”. Rozdział ten kończy stwierdzeniem, że „możliwa jest demokracja bez parlamentaryzmu, jak i parlamentaryzm bez demokracji, a dyktatura nie jest sprzeczna z demokracją, tak jak demokracja nie musi oznaczać przeciwieństwa dyktatury”. Czy Schmitt jest prekursorem Orwella?

„Pojęcie Polityczności,” praca opublikowana w 1932 roku, jest chyba najbardziej oryginalną i reprezentatywną dla poglądów Schmitta. Uważa on, że tak jak w etyce podstawowym rozróżnieniem jest dobro i zło, w estetyce piękno i brzydota, w ekonomii zysk i strata, tak: „*Specyficznie polityczne rozróżnienie, do którego można sprowadzić wszystkie działania i motywy, to rozróżnienie przyjaciela i wroga*”. „Polityczny wróg nie musi być moralnie zły, estetycznie odpychający, ani też nie musi być postrzegany jako ekonomiczny konkurent”. „Narody jednoczą się wokół przeciwstawnych pojęć przyjaciela i wroga”. To przeciwieństwo zachowuje swoje znaczenie dla każdego narodu jako politycznego bytu.

„Każde przeciwieństwo religijne, moralne, ekonomiczne, etniczne lub jakiegokolwiek inne przekształca się ostatecznie w przeciwieństwo polityczne, o ile jest dostatecznie silne, by faktycznie podzielić ludzi na przyjaciół i wrogów”. Polityczność polega więc przede wszystkim na trafnym odróżnieniu przyjaciela od wroga. Pojęcie polityczności nie ma własnego, konkretnie określonego zakresu „oznacza jedynie stopień intensywności zjednoczenia lub rozproszenia jakiejś zbiorowości ludzkiej”, wynikający ze sprzeczności religijnych, gospodarczych, etnicznych, kulturowych.

„Państwo stanowi miarodajną jedność... W gestii państwa jako politycznej jedności leży prawo do wojny (*jus belli*)”. Prawo to zezwala państwu wymagać od swoich obywateli „aby byli gotowi poświęcić własne życie i jednocześnie odbierać życie innym – zabijać ludzi walczących po stronie wroga”. „Państwo ma prawo do samoobrony i tym samym decydowania o koniecznych środkach tej samoobrony, tak, że stare powiedzenie, iż atak jest najlepszą obroną, może być stosowane w praktyce”. Schmitt próbuje wykazać, że niemożliwe jest w praktyce odróżnienie wojen agresywnych, obronnych i sprawiedliwych. Uważa, że istnieją czy istnieć mogą „sprawiedliwe wojny agresywne”.

Głównym zadaniem państwa jest zaprowadzenie wewnętrznego „pokoju, bezpieczeństwa i porządku” i w związku z tym określa ono nie tylko zewnętrzne, lecz i wewnętrzne wroga. „Kiedy brakuje rozróżnienia na przyjaciół i wrogów wówczas zamiera życie polityczne”. „Polityczne myślenie oraz polityczny instynkt przejawiają się w praktyce i w teorii jako zdolność rozróżniania przyjaciela i wroga. Wielka polityka osiąga punkt kulminacyjny w momencie, gdy wróg zostaje rozpoznany w całej swej konkretności i wyrazistości”. O konieczności wykluczenia części społeczeństwa: wrogów, obcych z życia politycznego zgodnie z koncepcją „polityczności” Schmitta już pisałem.

Według Schmitta przekonanie o dobrej lub złej naturze człowieka często służy za kryterium rozróżnienia między teoriami władzy autorytarnej i liberalnej. „Prawdziwe teorie polityczne muszą zakładać, iż człowiek z natury jest zły lub przynajmniej, że jest on istotą problematyczną, niespokojną i niebezpieczną”. Takimi prawdziwymi myślicielami politycznymi byli m.in. Machiavelli, Hobbes, Bossuet, Fichte, de Maistre, Donoso Cortés, Taine, Hegel. Hobbes jest dla Schmitta „jednym z największych prawdziwie systemowych myślicieli politycznych, który słusznie zauważył, że to właśnie przekonanie ludzi o tym, iż reprezentują prawdę, dobro i sprawiedliwość, rodzi najgorsze konflikty, *bellum* wszystkich ze wszystkimi”. Sądzę, że Schmitt wyraźnie zniekształcił pogląd Hobbesa dotyczący „wojny wszystkich ze wszystkimi”.

Wizję natury ludzkiej Hobbesa „uznać należy za najważniejsze założenie specyficznie politycznego sposobu myślenia”. Schmitt uważa za błędne poglądy wielu myślicieli od czasów Konfucjusza do czasów współczesnych, co najmniej tak samo lub jeszcze bardziej wybitnych od wymienionych przez niego myślicieli, którzy zakładali, że człowiek z natury jest dobry, że zdolny jest do intelektualnego i moralnego doskonalenia, oraz że uznawanie właśnie takich wartości jak prawda, dobro, wolność, sprawiedliwość, empatia, tolerancja, współpraca, racjonalna dyskusja prowadzą do kształtowania obywatelskich, otwartych pokojowych społeczeństw.

Ostatni dziesięciostronicowy rozdział „Pojęcia polityczności” jest w całości poświęcony atakowi na liberalizm. Brak miejsca nie pozwala mi na omówienie antyliberalnej argumentacji Schmitta zawartej w tym rozdziale. Ograniczę się do stwierdzenia, że jest ona swego rodzaju podsumowaniem czy syntezą zawartych w omówionych już pracach Schmitta jego poglądów, szczególnie w pracy o parlamentarystyce. Optymistyczne jest jednak i chyba słuszne stwierdzenie Schmidta: „żaden system polityczny nie przetrwa nawet jednej generacji opierając się jedynie na technice utrwalania władzy”. Mam nadzieję, że nawet jednej kadencji.

Na tym zamierzałem zakończyć omówienie książki Carla Schmitta. W redakcji „Dziś” jednak zanim zdążyłem nieśmiało zaproponować jej opublikowanie, redaktor profesor Stefan Opara poinformował mnie, że w jednym z najbliższych numerów „Dziś” opublikuje polemikę z moim poglądami dotyczącymi Schmitta. Bardzo mnie to ucieszyło. Sądziłem, że polemika ta da może odpowiedź na moje tytułowe pytanie. Wnikliwie przeczytałem tekst dr Macieja Łagody i pragnę odpowiedzieć na postawione mi w bardzo kulturalny sposób zarzuty.

Bezpośrednie zarzuty są dwa:

1. Mylne podanie okresu pełnienia przez Schmitta funkcji prezydenta Narodowo-Socjalistycznego Stowarzyszenia Prawników 1933-1945.

2. Schmittowi „nie chodziło o niemiecką doktrynę Monroe dla Europy”, – jak ja piszę – „lecz o taką doktrynę dla Niemiec, w ramach Europy” jak pisze dr Łagoda.

Ad. 1. Dr Łagoda ma rację. Schmitt był prezydentem wspomnianego Stowarzyszenia jedynie w latach 1933-1936. Mój błąd ewidentny. W artykule o Schmittcie chodziło mi nie o jego biografię, lecz o jego poglądy. Chciałem jedynie wskazać, że był on nie tylko twórcą teorii państwa i prawa, wykorzystanej przez NSDAP dla legitymizacji swoich totalitarnych rządów, lecz również faworyzowanym szczególnie przez Hermana Göringa, członkiem tej organizacji do końca wojny w 1945 roku. Powinienem być napisać: „Carl Schmitt po wstąpieniu do nazistowskiej partii został m.in. mianowany przez Hermana Göringa już w maju 1933 r. członkiem Pruskiej Rady Państwa, awansował w tym roku na prezydenta wspomnianego Stowarzyszenia, został wydawcą głównego czasopisma prawniczego „Deutsche Juristen-Zeitung”, oraz otrzymał powołanie na profesora prawa Uniwersytetu w Berlinie. To ostatnie stanowisko piastował do 1945 roku”. W okresie 1933-1936 pisał z uznaniem o nazistowskiej „legalnej rewolucji i chwalił Hitlera jako „obrońcę prawa”.

Jest faktem, że C. Schmitt został brutalnie zaatakowany przez SS-mańskie pismo „Das Schwarze Korps”, prawdopodobnie z inspiracji Himmlera lub Rosenberga, o czym piszą dr Łagoda i Marek A. Cichocki. Konstatacja dr Łagody jednak, że Schmitt w związku z tym „został zmuszony do rezygnacji ze *wszystkich* funkcji”, czy Marka Cichockiego, że Schmitt został „odsunięty na boczny tor” są mówiąc eufemistycznie zbyt dużym uogólnieniem. W 1936 r Schmitt zmuszony został do rezygnacji z *niektórych* swych funkcji, m.in. prezydenta nazistowskiego Stowarzyszenia Prawników i wydawcy „Deutsche Juristen-Zeitung”, lecz jak stwierdza Harold Kleinschmidt, autor wyjątkowo solidnie udokumentowanej pracy o Schmittcie, jako teoretyku stosunków międzynarodowych: „Schmitt stracił w 1936 roku niektóre stanowiska, pozostał jednak nietknięty w swej berlińskiej profesurze i Pruskiej Radzie Państwa do 1945 r. [4]. Praca Harolda Kleinschmidta ukazała się w ramach „Studiów Polityki Międzynarodowej” wydawanych okazjonalnie przez Uniwersytet Bundeswehry w Hamburgu, który od kilku lat nosi nazwę Uniwersytetu Helmuta Schmidta. Wydawcami tych „Studiów” są znani profesorowie August Pradetto, Manfred Kamp, Christian Hacke. We wstępie do pracy Kleinschmidta stwierdzają, że C. Schmitt „pełnił funkcję profesora prawa Uniwersytetu w Berlinie do 1945 roku”. Schmitt sporo publikował i po 1936 roku opracowywał m.in. ekspertyzy dotyczące reformy prawa karnego

i polityki kolonialnej. Było to możliwe dzięki wstawiennictwu w 1936 r. Göringa, który był w pełni przekonany o lojalności Schmitta, i spowodował, że: „ataki na Schmitta w tej formie nie powtórzyły się do końca wojny” [5]. Tyle w sprawie pierwszego zarzutu.

Ad. 2. Szczerze mówiąc nie rozumiem, na czym polega zarzut dotyczący określenia „*niemiecka doktryna Monroe dla Europy*”. Harold Kleinschmidt poświęca we wspomnianej pracy cały rozdział tematowi: „*Grossräume: Schmitt über Kolonialismus und Monroe Doktrin*” („*Wielkie Przestrzenie*”: <Schmitt o kolonializmie i Doktrynie Monroe>” [6]. Schmitt zajmuje się problematyką „*Wielkich Przestrzeni*” w pracach publikowanych w latach 1939-1944, które Kleinschmidt skrupulatnie wymienia i na nie się powołuje. Z uwagi na brak miejsca nie będę ich wymieniał, tym bardziej, że niektóre z nich mają typowo niemieckie bardzo długie tytuły. Carl Schmitt pracował od 1938 w grupie roboczej (Arbeitsgemeinschaft) Akademii Niemieckiego Prawa nad ideologiami ekspansji terytorialnej. 1 kwietnia 1939 r. wygłosił w Uniwersytecie w Kilonii odczyt o prawnomiędzynarodowym porządku „*Wielkich Przestrzeni*” i zakazie interwencji obcych mocarstw [7]. Opublikowana w 1939 r. praca ta miała tylko do 1941 cztery nakłady. Schmitt pisze w niej, że doktryna Monroe poddaje amerykański kontynent „kontrolni rządu USA, który przyznaje sobie prawo do interwencji na tej wielkiej przestrzeni (Grossraum), odmawia zaś tego prawa wszystkim innym rządóm”. Schmitt wyciąga z tego wnioski, że nikt nie może przyznawać USA prawnomiędzynarodowej legitymizacji tego stanowiska i odmawiać takiego prawa Rzeszy Niemieckiej. „Ta interpretacja – pisze Kleinschmidt spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem nazistów. Hitler przywłaszczył ją sobie i wysłał w 1939 roku notę do prezydenta Roosevelta, w której ogłaszał <Niemiecką Doktrynę Monroe> dla Europy. Schmitt został telefonicznie powiadomiony, że Hitler zastrzegł sobie wyłączne prawo dotyczące treści i formy <Niemieckiej Doktryny Monroe> – przyjął to do wiadomości i milczał”.

Dr Łagoda pisze, że Schmittowi nie chodziło o „*niemiecką doktrynę Monroe dla Europy*”. Kleinschmidt natomiast pisze, że Schmitt próbował skonstruować rodzaj „*doktryny Monroe*” dla Niemiec i zastosować ją wobec Europy. Schmitt był według niego nie tylko propagandystą kolonializmu w sensie żądań Hitlera restytucji niemieckich kolonii sprzed pierwszej wojny światowej, lecz dążył też do uzasadnienia niemieckiej militarnej ekspansji na Europę środkową i wschodnią. Między 1938 a 1944 rokiem Schmitt zradycalizował rewizjonizm (granic – M. D.), który głosił od połowy lat 1920-tych. To podobało się nazistom, a naziści nadal pozostali atrakcyjnymi dla Schmitta”.

Dr Łagoda pisze, że Schmitt z dużą dozą realizmu dostrzegwał, że Wielka Brytania ma własną „*doktrynę Monroe*, którą wykorzystuje we własnym interesie”. To prawda. Warto jednak sprecyzować na czym brytyjska „*doktryna Monroe*” polegała. W 1925 roku rząd brytyjski opublikował notę, w której stwierdzał, że ma on nadal prawo, na podstawie własnej decyzji prowadzić wojny na terytorium Imperium Brytyjskiego. Schmitt uważał tę notę za podstawę poglądu, że „*wojny kolonialne nie są wojnami w znaczeniu prawa międzynarodowego*” i wyciągnął z tej brytyjskiej doktryny wniosek, że „*Rzesza Niemiecka również ma prawo stania się mocarstwem kolonialnym*”. We wspomnianej pracy Schmitt rozróżnia dwie

kategorie suwerennych państw. Do pierwszej należą państwa, które mają prawo do zagospodarowania „Wielkich Przestrzeni” i takich, które tego prawa nie mają m.in. dlatego, że nie są zdolne do samoobrony. Do pierwszych należą USA, Imperium Brytyjskie, Francja, a nawet Australia. Niemcy, posiadający „zdolność do samoobrony” mają wg Schmitta również prawo do stania się mocarstwem. Do drugiej kategorii należą pozostałe państwa.

W swojej eksplikacji „doktryny Monroe” dr Łagoda pisze, że jest ona „po prostu bezpośrednią konsekwencją podziału na przyjaciół i wrogów, a jest to podstawowe pojęcie u Schmitta, budzące zresztą dużo emocji”. Bezsportny jest pogląd, że podział na przyjaciół i wrogów jest podstawowym pojęciem u Schmitta. Nie wynika jednak z tego pojęcia, ani logicznie, materialnie, pośrednio, bezpośrednio jako jego konsekwencja żadna „doktryna Monroe”. Na temat postawionego przez dr Łagodę pytania o analogiczną „doktrynę Monroe” dla Unii Europejskiej nie będę się wypowiadał. Uważam je za źle postawione. Podtrzymuję twierdzenie, że Schmitt opracował niemiecką wersję doktryny Monroe, oraz że Hitler przywłaszczył ją sobie jako „niemiecką doktrynę Monroe dla Europy”. Tyle na temat bezpośrednio do mnie skierowanych zarzutów.

Brak miejsca nie pozwala na obszerniejsze ustosunkowanie się do wielu ważnych kwestii poruszonych w artykule dr Łagody. Ograniczę się do kilku uwag. Jestem pełen podziwu dla erudycji dr Łagody, jego znajomości dzieła Schmitta i skrupulatności 30 przypisów w stosunkowo krótkim tekście. Cenne jest jego wskazanie na wieloznaczność wielu koncepcji Schmitta oraz na fakt, że miał on czy nadal ma licznych zwolenników i przeciwników i to zarówno z prawej jak i lewej strony sceny politycznej. W tekście dr Łagody jest sporo ciekawych informacji dotyczących recepcji poglądów Schmitta w Polsce. Wiele z nich były dla mnie nowością. Dr Łagoda pisze, że nie jest jego intencją „jakakolwiek apologia poglądów Carla Schmitta”. Wydźwięk jego polemiki jest jednak dla Schmitta bardzo pochlebny.

Bardzo ucieszyła mnie opinia dr Łagody o profesorze Bronisławie Łagowskim. Od lat czytam z największym zainteresowaniem jego wyśmienite, mądre, odważne felietony w „Przeglądzie”. Przyznam, że każdy numer „Przeglądu” zaczynam od lektury felietonu profesora Łagowskiego i smutno mi jest, gdy w którymś z nich jego felietonu nie ma. Uważam profesora Łagowskiego za jednego z najbardziej wnikliwych, wszechstronnych obserwatorów i racjonalnych krytyków aktualnej polskiej sceny politycznej, polskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Poza niektórymi nie istotnymi szczegółami w pełni podzielałam wyrażane w „Przeglądzie” i innych pismach jego poglądy.

Dr Łagoda stwierdza słusznie: „Fakt, że Schmitt był (koniunkturalnym) członkiem partii nazistowskiej, nie powinien zamykać oczu na to, co w jego myśli cenne i warte uwagi”. Podzielałam ten pogląd i tak podchodzę do omawiania dzieł autorów o różnych afiliacjach politycznych. Próbowałam zrozumieć treść poglądów Schmitta zawartych w omawianej książce w abstrakcji od jego przynależności do NSDAP. Lektura wybranych tekstów utwierdziła mnie w poglądach wyrażonych w artykule w „Trybunie” i tych, które wcześniej tu skreśliłem.

Wbrew temu co pisze Marek Cichocki we wstępie do omawianej książki o Schmittcie, jako o wybitnym myślicielu podejmującym filozoficzne pytania o po-

nadczasową naturę polityki, uznaje go za jednego z najciekawszych myślicieli politycznych XX wieku, a jego poglądy za ważne i aktualne, o niezaprzeczalnym walorze ponadczasowym, oraz sugestiom dr Łagody, że „lewica nie powinna abstrahować od Schmitta,” uważam nadal głoszoną przez Schmitta ideologię i propagandę za pronazistowską, totalitarną, ekspansjonistyczną, anachroniczną i szkodliwą. Sądzę, że ma racje Adam Leszczyński nazywając we wspomnianym artykule Carla Schmitta „czołowym prawnikiem reżimu hitlerowskiego”. Był nim na pewno w latach 1933-1936 [8].

Przyznam, że bardziej przekonuje mnie opinia wyżej wspomnianych profesorów z Hamburga i Bonn, aniżeli opinie Marka Cichockiego i Macieja Łagody. Wspomniani profesorowie, tak piszą we wstępie do pracy Kleinschmidta: „Carl Schmitt jest przede wszystkim znany jako ojciec duchowy autorytarnej teorii państwa, którą uzasadniał w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Zawarte w niej poglądy służyły Narodowym Socjalistom do legitymizacji tworzenia totalitarnych struktur władzy”. Sądzę też, że racje ma Kleinschmidt, kiedy w podsumowaniu wspomnianej pracy pisze, że Schmitt „jako teoretyk stosunków międzynarodowych poruszał się raczej w zakresie propagandy, a nie rzetelnej nauki, był ideologiem broniącym kolonializmu i niemieckiego ekspansjonizmu”. Stwierdza też, że Schmitt jako teoretyk państwa, prawa i stosunków międzynarodowych należy „do trudnego dziedzictwa niemieckiej historii XX wieku”. Sądzę, że Niemcy (nie wszyscy) w poważnym stopniu to „trudne dziedzictwo” przezwyciężyli. Nie sądzę by celowe było ożywianie tego dziedzictwa w Polsce.

Nie wiem czy Schmitt jest jednym z inspiratorów PiS'owskiej ideologii IV RP. Powtarzam, że fundamentalna kategoria „polityczności” Schmitta rozróżniania *przyjaciela i wroga*, do której sprowadzić można wszelkie polityczne motywy i działania jest nie tylko anachroniczna, lecz niezwykle niebezpieczna i szkodliwa. Jest oczywiste, że tą kategorią i prawie wszystkimi wynikającymi z niej konsekwencjami opisanymi przez Schmitta posługują się w praktyce przywódcy PiS zarówno w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej.

W erze globalizacji i współzależności w zasadzie wszystkich państw świata dominującą tendencją polityki zagranicznej i bezpieczeństwa międzynarodowego państw dużych i małych, a w szczególności Polski, powinno być dążenie do autentycznego partnerstwa w rozwiązywaniu własnych i wspólnych, regionalnych, kontynentalnych, globalnych problemów, kryzysów, wyzwań. Poleganie na „pojęciu polityczności”: odróżniania w polityce wewnętrznej i zagranicznej przyjaciół i wrogów, prowadzi do sytuacji, w której wiele państw widzieć będzie w Polsce, o ile nie wroga, to, co najmniej kraj, który utrudnia rozwiązywanie wspomnianych problemów, kryzysów i wyzwań: politycznych, ekologicznych, energetycznych, ekonomicznych, humanitarnych i innych.

Marian Dobrosielski, prof. zw. dr hab., historyk, politolog, dyplomata

Artykuł niniejszy ukazał się w „Przeglądzie Socjalistycznym” nr 4/2006. Ze względu na aktualność przedrukujemy go za zgodą Autora.

Przypisy:

[1] Carl Schmitt, *Teologia Polityczna i Inne Pisma*, Wybór, Przekład i Wstęp Marek A. Cichocki, Społeczny Instytut Znak, Kraków 2000 r, str. 250. Fundacja im. Stefana Bato-rego.

[2] „*Narodowy Socjalizm i Prawo Międzynarodowe*”, Berlin 1934, str. 11-13. (Cytuję za Harold Kleinschmidt, Carl Schmitt als Theoretiker der Internationalen Beziehungen, Hamburg 2004, str. 22)

[3] Cytuję za: *Historia idei politycznych*. Wybór tekstów, Tom II, Stanisław Filipowicz i inni, Warszawa 2002 str. 225-226.

[4] Harold Kleinschmidt, Carl Schmitt als Theotiker der Internationalen Beziehungen, Hamburg 2004 str. 30

[5] Ibidem str. 30

[6] Ibidem str. 31-36

[7] Carl Schmitt, „*Völkerrechtliche Grossraumordnung mit Interventionsverbot für raumfremde Mächte. Ein Beitrag zum Reichsbegriff im Völkerrecht*“, Berlin 1938 r. Dr Łagoda wymienia ją w swej polemice ze mną.

[8] Andreas Koenen w swej obszernej rozprawie „Der Fall Schmitt. Sein Aufstieg zum Kronjuristen des Dritten Reiches,” Darmstadt 1995 („Sprawa Schmitta. Jego awans na koronnego prawnika Trzeciej Rzeszy”) obszernie to wyjaśnia.

Zdzisław Bombera

Technologia a struktury społeczne, własność rzeczy i ludzi

Z pozoru wydaje się, że chaos dominuje w tworzeniu się historycznych struktur społecznych. Bierny i nawet obiektywny obserwator podtrzyma takie wrażenie. Jak zwykle i w tym przypadku pozory mylą. W istocie puls życia poddany jest impulsom i siłom wewnętrznym i zewnętrznym, co do struktury i kierunku ewolucji. Każdocześnie formułują się tzw. siły wytwórcze. Stanowią je ludzie ze swoimi zdolnościami, umiejętnościami dla przystosowywania przyrody do środowiska społecznego.

Istnieje sprzężenie zwrotne pomiędzy technologią (sposoby wytwarzania), a strukturami społecznymi. Są to złożone procesy dalekie od zwykłej mechaniki. W danym czasie historycznym mamy określony stan struktury społecznej zdeteminowany technologią odzwierciedlającą naukowe poznanie technik wytwarzania.

Czy wiedza o stanie struktur społecznych ma tylko znaczenie poznawcze, czy też posiada znaczenie praktyczne?

Oto do Sejmu nie weszła Zjednoczona Lewica i w związku z tym rodzą się z tym fundamentalne pytania. Czy Lewica w Polsce ma bazę społeczną? Redaktor Naczelny „Wprost” odpowiada, że w Polsce każda partia w swoim programie ma pakiety lewicowe. Znana aktorka żyjąca z pracy w tym zawodzie pyta, a kto będzie reprezentował nasze interesy? Właśnie kto[1]?

Nauki społeczne – ekonomia polityczna, socjologia, psychologia – posiadają instrumentarium objaśnienia tematu. Kluczem wyjściowym jest stosunek do własności, to identyfikuje klasy i warstwy społeczne ludności. Słowem, co jest źródłem utrzymania:

- praca własna,
- praca na własnym utrzymaniu z dochodów od kapitału.

Zechcemy rozdzielić nasze współczesne polskie społeczeństwo pomiędzy te źródła utrzymania. Praca, ta własna; znaczna część inteligencji, naukowcy, nauczyciele, pracownicy, robotnicy najemni w mieście i na wsi, pracownicy w handlu i usługach. Są tu wszyscy obywatele, którzy posiadają ręce i kwalifikacje do pracy. Praca na własnym utrzymaniu; gospodarstwa rolne na wsi, rolnicy pracują na swoim, są właścicielami i pracownikami. Przetwórstwo płodów rolnych,

masarnie, rzeźnie, sadownicy. Fermy kurze i gęsie, obory krów do produkcji mleka, chlewnie. Pojawiają się duże gospodarstwa farmerskie stosujące pracę najemną. W większości to gospodarstwa średniej wielkości wytwarzające dla siebie i nadwyżki na rynek.

W przestrzeni gospodarczej kraju rozmieszczone są mini i mikro przedsiębiorcy. Są setki, tysiące takich drobnych tworców, z grubsza można je podzielić na dwie grupy według pełniących funkcji. Jest tu duża zmienność. W ciągu miesiąca tyle się rejestruje, co likwiduje. Jedne z nich pełnią funkcje usługowe w zakresie potrzeb ludności. Usługi kuśnierskie, szklarskie, fryzjerskie, remontu mieszkań, lekarskie, szczepienia psów i kotów. Kuźni już nie ma, bo nie ma koni do podkuwania. Piekarnie, ciastkarnie, nowe usługi powstają w związku z wymaganiami UE dotyczącymi ochrony środowiska.

Druga grupa tych makro i mikro przedsiębiorstw obsługuje wielkie koncerny produkcyjne. Te przedsiębiorstwa istnieją tak długo jak potrzeby poddostawców nie zmiatają technologii lub konstrukcji wyrobu. Wielkie wytwórnie to w zasadzie montownie produktu, który powstaje na drodze szerokiej kooperacji. Fabryka samochodów nie wytwarza wycieraczek do szyb, ani materiału na siedzenia i oparcia, i temu podobne. Stocznia produkująca statki, okręty nie wytwarza blach konstrukcyjnych ani silników. Produkt powstaje w szerokiej kooperacji produkcji krajowej, a bywa i międzynarodowej.

Kapitalizm w Polsce idzie szlakiem wyznaczonym przez międzynarodowe koncerny i banki. Tęgo faktu nie zagłuszą najliczniejsze pochody suwerenności i Niepodległości 11 listopada.

Źródła pierwotnej akumulacji od 1990 r. są krajowe, to denacjonalizacja majątku o własności (państwowej) obywatelskiej. Główny proces polegał na powszechnej prywatyzacji bez względu na sytuację ekonomiczną przedsiębiorstwa. Państwo polskie i obywatele zostali wywłaszczeni z majątku narodowego. Obywatele otrzymali tzw. świadectwa udziałowe. Otrzymał je każdy obywatel, który do dnia 31 grudnia roku poprzedzającego rok emisji świadectw udziałowych, tj. „do końca 1994 roku ukończył 18 lat”[2].

Prywatyzacja powszechna uruchomiła proces formowania się nowej struktury klasowej. Znikły z krajobrazu społeczno-gospodarczego mateczniki klasy robotniczej, takie jak stocznie budowy statków, Ursus, Kasprzak i setki innych. Z fotografii zwykłych dni „znikła” klasa robotnicza. Struktura społeczna rozdwoiła się na trzy kierunki. Pierwszy, to kadra kierownicza i działacze „Solidarności” lokują się w spółkach w roli właścicieli. Drugi, robotnicy otrzymują świadectwa udziałowe, których szybko się pozbywają na rzecz tworzonych funduszy. Trzeci, to wyjazdy zagraniczne za pracę lub rejestracja w urzędach zatrudnienia.

Przemiany własności prowadzą w rezultacie do nowego ustrukturyzowania pozycji klas i grup społecznych. Stratedzy społeczni, a i politycy oczekiwali na uformowanie się tzw. średniej klasy. Klasa taka, jak dotychczas nie ujawniła się. Potwierdzeniem są ostatnie wybory do Sejmu – 25.10.2015 r. Ta warstwa klasowa, póki co nie ma własnej samoświadomości. Nie ma zatem powodów do przypisywania jej jakiegokolwiek kulturotwórczej roli.

Oligarchowie zajęci są własnymi biznesami. Przemieszczają się między spółkami. Pilnują dyskretnie pozycji w agendach rządowych.

Formułujący się w Polsce kapitalizm nie ma nakładki na struktury własności i klasowe w feudalizmie. Dominuje tam własność prywatna ziemi i ludzi. Chłopi i ich rodziny przypisani są do właścicieli ziemskich. Nie mogą przenosić się do innych miejscowości, czy zawodów. Szlachta nie jest jednolitą klasą. Są tu magnaci, wielcy posiadacze wsi z chłopami. Jest szlachta folwarczna z własnymi folwarkami. Szlachta zagrodowa zbiedniała. Z czasem obok folwarków powstają zagrody wiejskie wyposażone w ziemię w zamian są świadczone nieodpłatnie pracą na rzecz właściciela. Renty zmieniają się z odrobkowej na produktową i pieniężną. Własnościowo i technologicznie powiązane są folwarki, w których w sezonie brakowało rąk do pracy, a częściowo wyzwolonych wiejskich chłopów (włościan). Ukształtowały się w tym względzie proporcje folwark – wieś. Tym nie mniej cały system ekonomiczny trzymał się na pracy i wyzysku warstwy chłopskiej. Szlachta rzadko zajmowała się organizacją produkcji. W folwarkach byli przygotowani do tej roli rządcy. Handlem płodami i zaopatrzeniem dworu w jego potrzeby zajmowali się Żydzi. Ci ostatni prowadzili wyszynk, tak między wioską a folwarkiem.

Funkcje państwowo-twórcze i kulturowo-twórcze szlachty i magnaterii zostały uwiecznione w badaniach historyków, w licznych powieściach i dziełach sztuki. Sławę tego ludu głosi „Ustawa Rządowa, Prawo uchwalone dnia 3 Maja Roku 1791”. W rozdziale IV chłopci i włościanie, czytamy:

„Lud Rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze w krajowych źródło, który najliczniejszą w Narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość, ludzkość o obowiązki Chrześcijańskie, jako i przez własny Nasz interes dobrze zrozumiany, pod opieką Prawa i Rządu Krajowego przyjmujemy ...”.

Powstały też do dni dzisiejszych nie zawsze zagospodarowane dwory i pałace magnatów i szlachty. Nic nie wskazuje na to, by drobni przedsiębiorcy byli historycznymi zmiennikami polskiej szlachty. To prawda, że wielu z nich podejmuje się renowacji pałaców i dworów. Od czegoś trzeba zacząć. To co jest subiektywne, chciałoby się, by tak było automatycznie nie przenika do sfery realnej, by przesądzić, jak będzie.

Polityka gospodarcza zderza się z obiektywnie działającym prawem ekonomicznym, takim jak: prawo koncentracji produkcji, centralizacji kapitału, proporcjonalności rozwoju. Świadome wykorzystanie tych praw to sztuka zachowania się podmiotów ekonomicznych w grze sił rynkowych.

Odkryte zostało współczesne podstawowe prawo kapitalizmu. Kapitalizm to nasza Polska rzeczywistość. Uczynił to Thomas Piketty w dziele „Kapitał w XXI wieku”. Ma ono taką treść: „Główna siła destabilizująca związana jest z faktem, że stopa prywatnego zwrotu z kapitału „r” może być znacząco i trwale wyższa od stopy wzrostu dochodu i produkcji „g”. „Raz zgromadzony kapitał sam się reprodukuje, rośnie szybciej, niż rośnie produkcja”[3].

Konkluzja zawarta w tym prawie jest rezultatem wieloletnich szerokich badań empirycznych. Nie jest to zatem prawo dedukcyjne, lecz obiektywnie istniejąca tendencja we współczesnych gospodarkach kapitalistycznych.

Zdzisław Bombera, prof. zw. dr hab., ekonomista

Przypisy:

- [1] TVP1 „Świat się kręci”, XI 2015 r.
- [2] Leksykon prywatyzacji, PWE 1996.
- [3] T. Piketty. Kapitał w XXI wieku, s. 723.

Janina Łagoda

Solidarność na rozstajach

Corocznym zwyczajem odbyliśmy sierpniowe repetytorium z definicji solidarności, tej pisanej dużą literą oraz zwyczajnej, obiegowego użytku. Roztrząsania nad każdą z nich, to wehikuł zaklęć z przełożeniem na oczekiwania narodowej wspólnoty. Efekty okazują się skromne. Solidaryca napuszona wybiórczą świątecznością oraz wyrafinowanymi bogobojnymi frazesami, przyćmiła tę codzienną błędzącą w międzyludzkich więziach. Uroczystości dobiegły kresu. Politycy w samozachwycie wyrecytowali cnotliwe formułki i krygując się w taktach paradnych występów oraz *dyplomatycznych* unikach, odrąbili ustawowy nakaz świętowania. Nie szczędzili też sobie wzajemnych uszczypliwości, choć kiedyś byli razem. Nastął dzień powszedni i wraz z nim moralne dylematy zahaczające wprost lub pośrednio o efekty tamtego ogólnonarodowego zrywu. W tym roku obchody dodatkowo wpisały się w prezydencko – parlamentarne rywalizacje, spłaszczające tamten mit, nadając mu pozory autentyczności. Tamte lata też obfitowały w dylematy.

Upojna Solidarność

Pierwotne emocje, które stanowiły własność niemal całego narodu, także tych zasiadających wówczas na eksponowanych stanowiskach w urzędach o różnej mocy sprawczej, a dzisiaj postponowanych, zostały niejako sprywatyzowane i – upraszczając kwestię – stały się własnością, w nazwie i przywilejach, Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego *Solidarność* (NSZZ „S”). Aktu notarialnego nie było, to tym bardziej uzurpatorskie fakty muszą być poddawane społecznemu osądowi.

W kraju jest wiele związków zawodowych dbających o godność żyjących z własnej pracy. Tworzą mniej lub bardziej skuteczne odwoły, lecz zostawiają w pokoju tamten naturalny wspólny emocjonalny ruch. Unikają też politykierskich konszachtów z rządzącymi. Przecież związek zawodowy, jak by się nie nazywał, to sformalizowane przedstawicielstwo świadczących pracę, a barometrem uczciwości intencji jest kompromis związkowych postulatów i możliwości

rządu. Istota tego dualizmu powinna być lekkostrawną prozą dla wszystkich, którzy odbyli elementarne nauki o społeczeństwie. Zdarzają się jednak niechlubne wyjątki.

Liczebność dzisiejszego NSZZ „S” i przejęcie imponderabiliów tamtego spontanicznego ruchu wówczas pracowniczego, ale o systemowo-politycznych ideach, nie upoważnia do autorytaryzmu. Flagi, związkowe stroje, emblematy etc., to tylko blichtr pozbawiony głębszego przesłania. A dokładając do tego sztuczność organizowanych kosztownych manifestacji, protestów itp. wyzwała niedosyt nie tylko szczęściarzy-etatowców czy nawet śmieciówkarzy, ale także i u papierowych z nakazu przedsiębiorców (tzw. samozatrudnienie). Jeśli dzisiejszy *spadkobierca* dawnego oczarowania, dostrzega te problemy, to chwala mu. Wydaje się jednak, że pospolitość zachowań rzekomego sukcesora dawnego entuzjazmu rodaków pozostaje w oddaleniu od codzienności. Łączenie tamtych wydarzeń z atmosferą dnia dzisiejszego jest płaskim zabiegiem, który deprecjonuje historyczne fakty. Dość spojrzeć na postęпки (prawdziwe lub nie, ale medialnie szokujące) obecnych dziedziców idei, aby żywe stało się porzekadło: *nie o taką Polskę walczyliśmy*. Warto więc się zastanowić nad potraktowaniem dawnego uniesienia jako wartości uniwersalnej, a nie wtlaczać ją w bieżące uzurpatorskie koneksje z wyrazistym jednostronnie partyjnym przesłaniem.

Na przywódcach NSZZ – „S” społeczne recenzje nie robią wrażenia, a losy zatrudnionych pozostają w sferze hasel. Pełno ich chociażby w wystąpieniach przedstawicieli tego Związku, którym pomyliły się konstytucyjne uprawnienia władz Rzeczypospolitej z posłannictwem pracowniczej organizacji nacisku. Doszli chyba do wniosku, że rząd niczego nie może i nic nie potrafi załatwić, dlatego usiłują przylgnąć do nowego Prezydenta RP, stawiając go w kłopotliwej sytuacji, bo jego konstytucyjne uprawnienia są jednoznaczne. To nie prezydent zawiaduje gospodarką, a tam właśnie tkwią pracownicze interesy. Czy taką związkową opcję można nazwać skutecznym działaniem? Konia z rzędem temu, kto uczciwie odpowie na to pytanie, bo politykierstwa tutaj w nadmiarze, a wyrobniczy cierpią. Związek rządu zastępować nie może, ale pertraktować z nim musi dla dobra zatrudnionych i to bez względu na przedziwność politycznych relacji.

Wszystko przez ludzi i dla ludzi, jak głosi stara sentencja. Aktywiści „S” chyba jej nie zgłębili. Tkwią w hipokryzji. Okazuje się, że nie wolno traktować Związku, w tym przypadku o przywłaszczonej *solidarnościowej* proveniencji, jako panaceum na wszelakie dolegliwości RP. Błąd to strategiczny. Lekceważenie rządu, obojętnie jaki by on nie był, ale zarządza państwem i usiłowanie przyspawania się do prezydenta RP jest wyrachowanym zabiegiem mającym wzmocnić emocjonalnie ważność przywódców „S”, i to w momencie, kiedy aktualny rząd dobiega kresu. Polityczne wyliczenia przewodniczącego „S” są proste, jak znana z sentencji konstrukcja cepa: prezydent, to perspektywa co najmniej pięciu lat; rząd z chwilą zakończenia parlamentarnych wyborów upada, a to koniec października 2015 roku. Nastanie inny, a może i ten sam i co wówczas? Dla kalkulacji o takich parametrach zbędny jest wysublimowany umysł. Przewodniczący „S” ma chyba z tym kłopoty. Upaja się przedołtarzowymi aroganckimi mowami, groźbami, tłumaczeniami się z medialnych zarzutów, co do rzekomo marnotrawnego trybu życia na koszt Związku itp., zapominając o subtelnościach powierzonej mu misji. Trybunowymi mowami niewiele moż-

na uczynić dla dobra kraju; co najwyżej podgrzać umysły komilitonów i rozdrażnić jaźń tych, którzy egzystują w niegodziwych warunkach. Czy były komandos to zgłębił, a może nadal buja w obłokach na co sugeruje spadochroniarska odznaka w klapie jego garnituru.

Wycinek historii

Solidarność lat 80. doczekała się wszechstronnego opisu, ale co dnia jest wzbogacana nowymi faktami, które w natłoku tamtych zdarzeń pozostawały w cieniu. Dzisiaj są warte naświetlenia, bo dopełniają malatury owego pospolitego poruszenia. W tym wszystkim ważne jest wyciąganie poprawnych wniosków, bo to fragment historii wszystkich Polaków. Tamto ożywienie ogarnęło cały kraj. Nie tylko tych, którzy zawładnęli wówczas stoczniami, kopalniami czy innymi zakładami pracy. Udzieliło się rolnikom, nauczycielom, medykom, studentom, jak i tym, którzy wówczas ponosili odpowiedzialność za ład i porządek w kraju oraz obronę naszych granic. Tam też duch *Solidarności* porażał.

Z jednej strony na tych ostatnich spoczywał obowiązek sterowania państwem, a więc wypełniania powinności wobec obywateli i kraju, co nakazywała konstytucja, jak i międzynarodowe umowy. Z drugiej zaś nie pozostawali obojętni na atmosferę ogólnonarodowego zrywu. Stanęli na rozstajach. Zatrzymanie pracy urzędów i podjęcie przez nich protestu (wobec kogo?) byłoby równoznaczne z niekontrolowanym rozwojem wydarzeń, a w konsekwencji tragedią. Dlatego też obrano kurs na porozumienie. Rezultatem tego stały się szczecińskie, gdańskie, jastrzębskie, a za nimi inne ugody, które trwale wpisały się w historię Rzeczypospolitej. Ten fakt formalnego konsensusu, jest obchodzony począwszy od 2005 roku, jako Dzień Solidarności i Wolności (31 sierpnia).

Znaleźliśmy się więc w jakimś bliżej niezidentyfikowanym wehikule o emocjonalnym napędzie, zatrzymującym się tylko na wybranych stacjach patriotycznych uniesień, mających podkreślać naszą narodową solidarność i umiłowanie wolności, a więc te cechy, które są nieodzowne w codziennym tworzeniu niezniszczalnej opoki dla funkcjonowania szczęśliwego społeczeństwa w dowolnym czasie oraz miejscu. Dotarliśmy więc do wartości wspólnych, a ich próby zawłaszczania są bliskie kradzieży praw autorskich.

Pojęciowe odświeżne dylematy

Solidarność to postawa moralna zakładająca zgodność poglądów w określonej dziedzinie. Chodzi więc o wzajemne wspieranie się osób, ugrupowań etc. wokół reprezentowanych zapatrywań. Bliskie to spolegliwości, terminu użytego przez prof. Tadeusza Kotarbińskiego (1886-1981) w jego pracach o dobrej robocie, czyli o skutecznym działaniu (prakseologia). Skrótowo chodzi więc o wspólne zaufanie, życzliwość, wrażliwość itd. Te przykładowo wyliczone przymioty składają się m.in. na ogólne pojęcie solidarności społecznej, co ważyło na elementarnych cechach owej narodowej fascynacji lat 80. Wówczas były to czyny, których istotę można wprawdzie mierzyć różnymi sposobami, ale dzisiejsze nawiązywanie do tamtych dni, to w zasadzie odmienianie słowa *solidarność* przez

wszystkie przypadki, tworząc mało klarowne maziłło. Jest to raptem hasło rzucone w przestrzeń publiczną bez praktycznego oprzyrządowania, ale obliczone na emocjonalne wypełnianie urn wyborczych. Konsekwencji tego permanentnie doświadczamy.

Generalizując, solidarność społeczna, to tworzenie wspólnego dobra równo dostępnego dla wszystkich, którzy budują, ale i doświadczyli jakiejś niesprawiedliwości, nieszczęścia itp., a teraz potrzebują wsparcia i pomocy. Dotyczy to nie tylko tzw. opozycjonistów, ale i ich dawnych oponentów. Gest tolerancji, to skuteczne narzędzie pod warunkiem, że zna się instrukcję jego obsługi. Dzisiaj obserwujemy zjawisko nieco inne, bo społeczeństwo jest bardziej skłonne do podejmowania spektakularnych, żywiołowych, odświętnych aktów solidarności społecznej o niewielkim praktycznym wymiarze, niż zagłębiać się w uniwersalne przesłania. Telewizyjno-radiowo-prasowe, ale i blogerskie zwarcia politycznych etatowych komentatorów jedynie pogłębiają rozterki. Przecież kilku *mędrców* nie rozwiąże historycznych zawłości ani współczesnych dylematów. Groza deprecjacji wiedzy o dziejach Polski u wielu z nich jest przeogromna, ale usiłują wypełnić nią przestrzeń publiczną, bo nie mają pomysłu na kreowanie przyszłości, a to jest przecież jedyne zadanie dla polityka. W innych państwach nie jest znane pojęcie polityki historycznej, lecz u nas to powszechne zakłęcie, zaś polityk i historyk, to różne profesje.

Wolność, drugi człon oznajmiający to święto, kojarzy się najczęściej z brakiem przymusu, ze swobodą w przyjmowaniu dostępnych opcji, likwidacją ograniczeń ze strony władz, ale i określeniem formuły zabezpieczania praw intelektualnych, pracowniczych, bytowych itd. Wolność można też traktować jako wybór pomiędzy dyktaturą rządu, a dyktaturą spiskowców, co zauważył J. Donoso Cortes (1809-1863), hiszpański pisarz i dyplomata, autor m.in. eseju o socjalizmie. Ale są też chwile, gdy wolność dzwoni kluczami dozorców (St. J. Lec, 1909-1966). Tak na dobrą sprawę nie wiadomo o jaką definicję wolności nam idzie. Czy przykładowo chodzi o platońską, gdzie wolność jest dobrem, w którym dusza chce uczestniczyć, czy o kartezyjańską z jej zawołaniem, że jest źródłem swobody człowieka; czy egzystencjalną, wedle której człowiek jest skazany na wolność. Z wyborem mamy problem i najczęściej dryfujemy ku sarmackiej anarchii.

Tych filozoficznych roztrząsań można przytoczyć wiele. Rzecz w tym, jaka koncepcja przyświecała inicjatorom wyznaczenia dnia jednoczesnego czczenia w sposób szczególny i *solidarności* i *wolności*. Tego nie wiemy. Natomiast z wystarczającą dokładnością można określić moment, kiedy to solidarnościowo - wolnościowe więzy zaczęły się rozluźniać. Stało się to po czerwcowych wyborach roku 1989 (czyt. plebiscycie), kiedy upojono się polityczną demokracją i procesem tzw. liberalnego urynkawiania gospodarki. Wówczas niemal rewolucyjny, w chaosie poczęty, podział dóbr narodowych, przynależnych do PRL, wywarł zgubne piętno na wyidealizowanym pojęciu wolności i solidarności społecznej. To w tamtym czasie należy doszukiwać się nieszczęść dnia dzisiejszego. Degradacja owych wzniosłych haseł trwa nadal. Ekonomiczno-społeczne przekopy pogłębiają się. Raptem dla sprawujących władzę obca stała się refleksja o tym, jak żyją inni, którzy nie *ukradli miliona złotych* i w czym mogą im pomóc rządzący. Odświętnie wygłaszane gładkie przemówienia dostatku nie two-

rzą. Nie każdego stać na godziwe mieszkanie i wyczynianie na koszt państwa łózkowych fanaberii z umiłowanym psiakiem – z całym szacunkiem dla troski o te i inne stworzenia. Wprawdzie nie ma o tym mowy w 21. gdańskich postulatach, ale niewiele z nich zrealizowano, bodaj dwa: wolne soboty i transmisje mszy świętych. Zatem przed kierownictwem NSZZ „S” ogrom pracy, a nie zapowiedź pieniackich procesów. Tego mamy pod dostatkiem, zaś chleba nie dla wszystkich starcza. Nie znajdzie się go też na warszawskim bruku nawet podczas zapowiedzianych wyrafinowanych manifestacji w wykonaniu organizacyjnie umundurowanych związkowych żołnierzy. Źródła pracowniczego dobrobytu, to solidna robota i *sprawiedliwy*, na miarę obywatelskich cnót, podział jej efektów. Do szefów związku zawodowego o *solidarnościowej* proveniencji nie dociera to, że wówczas wystrajkowali kapitalizm, a teraz z nim walczą, budząc klasyków jego krytyki. Może ponownie zmierzają ku socjalizmowi z czego nie zdają sobie sprawy?

Propagandowy wymiar święta

Wydaje się, że nie idzie tutaj o definicyjne formułki, ale o to, aby znaleźć pretekst do honorowania tych, którzy *w warunkach nie do końca suwerennego państwa, gwałcącego prawa człowieka dawali świadectwo wolności i wierności idei polski niepodległej i podejmowali walkę o przywrócenie praw obywatelskich i pracowniczych, ale i dla dobra tych, którzy położyli kres komunistycznemu zniewoleniu*, co odnotowano w uzasadnieniu ustawy o fetowaniu *Solidarności*. Są to raczej sformułowania konfrontacyjne, a nie spolegliwe. Na marginesie pozostała cała reszta społeczeństwa, która nie tylko odbudowywała kraj po wojennej zawierusze, ale dla poprawności funkcjonowania państwa i bytu narodu musiała wpisywać się w pojałtańskie paradygmaty przyziemnych rozwiązań. Ta rzesza ludzi nie ma praktycznie przyzwolenia na uczestniczenie w tym święcie, a była stroną owych pojednawczych aktów sprzed 35. lat.

Założeniem przy stanowieniu święteczności była chęć szczególnego wyróżniania rzekomych bojowników, ale i wmawiania po raz kolejny Europie i światu, że te *solidarnościowe* wydarzenia zapoczątkowały przełom w historii krajów pojałtańskiego podziału. Ponoć bez polskiego Sierpnia i wcześniejszych zrywów nie obalono by muru berlińskiego i nie byłoby zjednoczonej Europy. Rodzima *Solidarność*, aczkolwiek z namaszczenia robotnicza o niezłych umiejętnościach zawodowych i technicznym oprzyrządowaniu, nie miała nawet fizycznego udziału w rozbiórce owego muru. Na destrukcji wprawdzie znamy się nieźle, lecz w tym przypadku mur zdemontował intelekt tych, którzy prowadzili i nadal zarządzają polityką globalną. A do nich nam zawsze było i jest daleko. Przykład, to chociażby konflikt ukraińsko-rosyjski, gdzie przez chwilę, pozornie byliśmy najważniejszymi rozjemcami. Dzisiaj nas usadowiono w odległym rzędzie teatrum głównych wydarzeń. Także nasz stosunek, ten urzędowy oraz człowieczy do uchodźców syryjskich nie przynosi chwały, mimo głoszenia *solidarnościowych* zaklęć. Klasycznie zapętliliśmy się w niedorzecznym węźle społecznych animozji. Do pierwotnej *solidarności* droga daleka i wyboista.

Mesjanizm nigdy rodaków nie opuszczał. Jest to nasz filozoficzny patent, ale trudno przyswajalny przez międzynarodowe otoczenie. Zdaje się, że wszyscy

o tym wiemy, ale czego nie czyni się dla słupków wewnętrznego elektorskiego poparcia. A nuż *załapie*, jak mawiał barejowski gospodarz domu. I załapuje. Jesteśmy pod urokiem własnych fantazyjnych myśli, zaś każda – nawet subtelna uwaga z zewnątrz powoduje niewyobrazalny gniew na świat cały. Nie możemy sobie wmawiać, że jesteśmy nadzwyczajnym narodem, bo w ten sposób obrażamy innych, którzy także posiadają własną godność i szlachetne spojrzenie na nurtujące ich problemy, ale – jeśli już – to eksponują je w wyważonym stylu. Skromność jest darem.

Świętować, czy w dystansie obchodzić?

Nad prawie jednomyślnością Sejmu RP stanowiącego o owym święcie zawały chyba emocje i to te, które optują za zerwaniem historycznych więzi z poprzednim systemem. Utopia? Chyba tak, bo przecież nie sposób wymazać żadnego z rozdziałów historycznego trwania Rzeczypospolitej, a to tysiącletnia historia, wpisująca się w dzień dzisiejszy. Zdaje się, że autorzy tego kuriozum znaleźli się w pułapce. Usiłują wykarzcować PRL z pamięci narodu, ale ustawicznie odwołują się do tego rozdziału wspólnych dziejów. Zresztą tam ich rodowe korzenie, od których nie sposób się odciąć. Sami przecież mają wiele do zawdzięczenia *ludowemu systemowi*. Skąd raptem pojawiło się u nas tyłu Pawlików Morozowów? Efekty takich zachowań nie zmieniają systemów politycznych, a co najwyżej demolują normy moralne macierzystego społeczeństwa, nie wspominając o międzynarodowych opiniotwórczych refleksach.

Opozycyjny rodowód święta został dodatkowo podcyfrowany ustanowionym w 2010 roku Krzyżem Wolności i Solidarności. W praktyce stanowi nagrodę niemal zastrzeżoną dla działaczy dawnej tzw. opozycji. Wszystko więc dzieje się w zaklętym kombatanckim kręgu. Wnioski o wyróżnienie są filtrowane przez prokuratorski Instytut Pamięci Narodowej (IPN), który i w tym przypadku również nie może się obyć bez dokumentacji, ale interpretowanej na swój polityczny sposób, pozostawionej przez agendy PRL. Nie da się więc zamazać tego rozdziału naszej państwowości. Zresztą niemal całe podstawowe tworzywo owej prokuratorsko - badawczej Instytucji pochodzi z urobku PRL-owskiej administracji, która funkcjonowała w oparciu o konstytucyjne reguły. Zatem dezawuowanie tamtych lat stoi na kruchym fundamencie, a zapal wielu destruktorów trafia w powietrze, a nie w tworzenie codziennej obfitości. Szkoda!

Sklejając *Dzień Solidarności i Wolności* z *Krzyżem Wolności i Solidarności* (toporna gra słów) dochodzi się do wniosku, że obydwie symbole mają niewiele wspólnego z solidarnością społeczną i wolnością obywatelską. Te świąteczne imponderabilia są raczej bliższe segregacji społecznej i ograniczaniu wolności jednostki, niż sprzyjaniu solidarnościowym ideałom.

Zastanawia też to, że w ponoć demokratycznym państwie rządzący tworzą w tak prostacki sposób pokaźne zastępy wykluczonych. I w tym punkcie warto rzucić mniej zastygłym, a bardziej giętkim okiem na praktyczne reguły stosowane w poprzednim systemie, który nie był naszym pomysłem, ale godnie sobie z nim radziliśmy. Inteligencja rodaków pozwalała wówczas sublimować stosunki społeczne. Starczy spojrzeć chociażby na artystyczne, ale i na te badaw-

czo – naukowe, a także gospodarcze sukcesy. Niwelowano również wojenne i powojenne polityczne podziały narzuconych ideologicznych opcji. Przykładowo nie przemilczano ofiarności polskiego żołnierza walczącego u boku zachodnich aliantów. Może proporcje niekiedy były nieco zachwiane, ale dzisiaj w rocznicowych oficjalnych zadęciach nie sposób usłyszeć o krwawych ofiarach tych spod Lenino, czy zdobywających Berlin. Monte Cassino, Tobruk, brytyjskie dywizjony lotnicze itp. stanowią poprawność w recenzowaniu naszego poddaństwa wobec zachodnich sił, które pozostawały w tamtych czasach w kordialnych układach z Kremlen. To przecież z tamtych kontraktów pochodził powojenny kształt RP, a najmniej do powiedzenia mieli polscy żołnierze wspomagający politykę trzech globalnych aliantów. Teraz ci polegli i jeszcze żyjący poddawani są segregacji wedle doczesnych kryteriów polityką upstrzonych. Współczuć należy owym naiwnie interpretującym słowo wolność i nierozważnie rozdzielających pokłony oraz ciosy niektórym ówczesnym wielkim aliantom, którzy i dzisiaj żyć bez siebie nie mogą. Nadal więc aktualny pozostaje tekst piosenki A. Boguckiego, będącą przebojem chóru Czejanda.

Spoglądając racjonalnie na nasze niedawne losy i abstrahując od innych okoliczności, dojść można i do takiej refleksji, że tamten *solidarnościowy* gniew winien być w zasadzie skierowany przeciwko Wielkiej Trójce, a nie li tylko w stronę warszawskiego *białego domu* (b. siedziba KC PZPR) i Kremla. W takiej to może retrospekcji należałoby postrzegać tamtą rzeczywistość. Najłatwiej bić na odlew najbliższej stojących, mimo ich dorzecznych intencji w tamtych politycznych realiach.

Co my świętujemy?

Dzień Solidarności i Wolności w zamyśle jego inicjatorów jest upamiętnieniem rocznicy porozumień sierpniowych, zawartych pomiędzy tzw. *komunistyczną* władzą, a przedstawicielami robotniczych *solidarnościowych* komitetów strajkowych *utworzonych z woli ludu*.

Dzisiaj problem polega na tym, że w polu widzenia świątecznego pensjonarskiego krygowania się, pozostała tylko jedna strona składająca cyrografy pod wspólnymi aktami. Z domniemań wynika, że druga strona tzw. państwowa była efemerydą, której cielesności nie sposób oznaczyć, a w dzisiejszej propagandzie niezmiernie trudno dostrzec ich długopisowe ślady na, bądź, co bądź, wspólnych dokumentach. Chyba ich odszukanie pozostawiono archeologom, kryminalistkom, historykom etc. Dla ułatwienia jeden z dowodów pozostaje w Jasnogórskim Skarbcu. Takie zachowania dodatkowo osłabiają solidarnościowe więzy. A mogło być przyzwoicie.

Z corocznego ustawowego nakazu świętowania wynika, że to, co wówczas się stało było wyłączną zasługą ówczesnych przywódców *Solidarności*, którym dzisiaj trudno przyznawać się do tego, że świadomie *knowali z komuną*. Racjonalizm podpowiada, iż innej drogi nie było. Gdzie się więc podzielała *solidarnościowa* odwaga? Z dzisiejszej perspektywy pozostaje zaledwie jednostronny koncert zwycięstwa. Wystarczy przykładowo spojrzeć na listę zapraszanych gości z tej i innych okazji na prezydenckie, bądź premierowskie salony.

Trzeba było przeżyć i ten świąteczny dzień, bo wyboru nie było, z całym balastem wzniosłych przemówień, medalowania rokoszan, okolicznościowych festynów, świątobliwych obrządków etc. Triumfalizm tzw. zwycięzców wobec tych, co wówczas również szanowali jedyną Ojczyznę, jaką nam dano, jest przeogromny.

Utrata państwa jest tragedią, ale kolejne wyznaczanie jej ram, przez możliwych tego świata też nas nie satysfakcjonuje. To nieuleczalna choroba do szczytu niszcząca instynkt samozachowawczy. Dlatego też, każdy z rządzących, zwłaszcza o tzw. opozycyjnym biogramie musi brać pod uwagę losy Rzeczypospolitej na przestrzeni dziejów i zaprzestać kopania transzei wykluczeń w obrębie własnego państwa. Wydaje się, że takie przesłanie winno przyświecać owemu *Świątu*. Należy wreszcie pojąć, że rozwarcie jałtańskiej strefy wpływów, to nie polski wynalazek, lecz spadkobierców trójprzymierza (Gorbaczow, Reagan, Thatcher). Nasze wolnościowo - solidarnościowe zachowania, to tylko jeden z komponentów europejskiej politycznej mikstury, a nie wszechmogący patent, powalający globalistów. Gdzieś się zapodziały realizm i skromność również.

W takiej to retrospekcji należałoby postrzegać tamtą rzeczywistość. Syntezą dobrych zapowiedzi był Okrągły Stół, a po nim wybór *komunistycznego prezydenta* i desygnowanie przez niego, *niekomunistycznego* premiera, a także udział *komunistów* w *niekomunistycznym* rządzie; później odwrotnie itp. Dzisiaj tamte osoby znaczące zarówno w PRL-u, jak i w następnej RP są postponowane. Gorzej, bo niektórych stawia się przed sądem, a w okolicach świątecznego dnia gdzieś się zawsze zapodziewa idea solidarności i wolności. Sprowadza się ją do prozaicznych kombatanckich zachwyty nad uciążliwościami bycia w *konspirze*, ale jak się okazuje tolerowanej, a niekiedy i pielęgnowanej przez dawne władze. IPN stroni od tych faktów, ale i rządzący również, nie szczędzą narodowego grosza na realizowanie faktur wystawianych przez tzw. solidarnościowych bojowników o powtórkę z kapitalizmu. Płaci za to budżet wolnej Polski. Kolejny to paradoks w naszej historii, kiedy to *ideowe* wiarusy bez skrupułów domagają się zaległego żołdu od tych, w imię których, ale i swoim rzucali się na barykady, które bez ich udziału zostały zmiecione przez obce mocarstwa. Materialnie fakturowane czynów konspiracyjnego bohaterstwa nie mieści się w dotychczasowej skali rodzimego patriotyzmu. A może to kolejny światowy unikat. Owe potencjalne odszkodowania po roku 1918 i 1945 opiewały co najwyżej politycznym dostępem do sprawowania władzy. Honorowo zachowali się przykładowo bojownicy zwycięskiego, ponad wszelką wątpliwość, Powstania Wielkopolskiego. Czyż dzisiaj godzi się więc tę wybiórczą *solidarnościową* wolność dodatkowo obciążać fiskalnymi paragonami? Nie spłaszczajmy ideałów, przysypując je merkantylizmem, bo zaczyna to przypominać istotę wojsk zaciężnych w unikatowej krajowej aberracji.

W emocjonalnym zadęciu atakujemy i pouczamy tylko jednego z globalistów, tj. Rosję, miast z nią, jako granicznym sąsiadem, prowadzić intensywną wymianę gospodarczą, kulturalną, sportową, załatwiać inne korzystne dla nas interesy, także w międzynarodowej politycznej skali (*vide*: USA, Wielka Brytania, Francja, Niemcy etc.), to wpisujemy się na proskrypcyjną listę politycznych przeciwników o irracjonalnej argumentacji. Tak postępujemy chyba tylko dlatego, że dawna kremlowska *komunistyczna* władza, w porozumieniu ze swoimi odwiecznymi

partnerami zrezygnowała z nadrzędności nad nami i bez rozlewu krwi zaordynowała Polsce wolność. To nam chyba nie zaimponowało. Minęły bezpowrotnie czasy hetmana koronnego Stanisława Żółkiewskiego, który po wojennych bataliach i politycznych negocjacjach usadowił na kremlowskim tronie, syna króla Zygmunta III. Było to dawno i trwało krótko, ale ambicje pozostały i one chyba napełniają rusofobiczną atmosferę. Rok 1920 nieco retuszuje niedosyt dzisiejszych władców. Zawsze to jakaś promocja doraźnie przydatna, ale nie prowokujemy innych. Sukcesy mogą mieć różne odcienie. Warto więc niekiedy pochylić się nad Rzeczpospolitą i urealnić składane wobec niej gesty.

Betonowanie idei

W przeróżnych osądach absolutu tamtego solidarnościowego ruchu społecznego, może i dobrze się stało, że usiłuje się go zasklepić w muzealnej bryle, której architektoniczny kształt przypomina niedokończony kadłub statku, posadowiony w bliskości martwego dzisiaj stocznioowego sąsiedztwa, gdzie wówczas *wszystko się zaczęło*. Prowokacja, znak czasu, a może okrutna rzeczywistość będąca efektem żywiołowych przeobrażeń na miarę naszego romantyzmu?

Dorobiliśmy się więc kolejnej budowli, tj. pomnika o symboliczno-propagandowym wymiarze, gdzie zdeponowano ideę *solidarności*, a więc kategorię moralną, która wprawdzie stanowiła fundament założycielski *solidarnościowego* ruchu lat 80., jednak nie wypełnia bezbrzeżnie szlachectwem umysłów wszystkich Polaków. Oczekiwania były różnorakie, i nie zawsze zespały się z abstrakcyjnymi zawołaniami.

Miał przywrócić żywotność zrujnowanej stoczni, wybudowano w jej pobliżu kosztowny symbol upadłości, bez przełożenia na zwyczajną ludzką solidarność. Aby podkreślić niezwykłość pomysłu nazwano ten materialny kształt Europejskim Centrum Solidarności (ECS). Wizję zaaprobował ówczesny przywódca stocznioowego strajku, który teraz w ekskluzywnych okolicznościach (posiada tam swoje *okienko*) i bagażem imponderabiliów spogląda na zrujnowany, także przy swoim udziale stocznioowy naprawczy warsztat wózków akumulatorowych, dawne źródło jego i rodziny utrzymania. Pancerna to wrażliwość w stylu: ja sobie poradziłem, to i innych też na to stać. Zapomnienie o tych, którzy wsparli karierę łatwo przychodzi, ale winno pozostawiać moralny dyskomfort. Stało się to chyba obce dla dzisiejszej ikony tamtych lat. Kolejny powód, aby klasykę *solidarności* w bryle zasklepić, a klucze dostępu przekazać we władanie solidnym historykom, uwolnionym od partyjnych nawisów.

Nie bylibyśmy sobą, żeby tej budowli nie przypisać miana pierwszego na świecie Muzeum Solidarności. Ciekawość jednak wzbudza to, które z państw odważyłoby się ową szlachetną cechę człowieka aresztować w niedokończonym statku bez nawigacyjnych szans. Nasza inwencja jest rozbijająca, ale niezbyt naturalnie trafia do wyobraźni, nawet *solidarnościowo* przychylnych Polaków. Z pietyzmem dbamy o megalomański i propagandowy wymiar fanaberii, które z oficjalnych założeń winny być skromne. Rzeczywistość pisze zazwyczaj inne scenariusze. I w takiej to oto oprawie moralne paradygmaty *Solidarności* zostały zacumowane u nabrzeża Zatoki Gdańskiej.

W tym złożonym procesie nadal najważniejszymi pozostają międzynarodowi globaliści, także ci z dawnych lat. Oni nic nie stracili na swojej mocarstwowości. Są moderatorami, także polskich spraw. Powraca więc problem równoważenia tamtej idei z dzisiejszą praktyką. Nie wstydzmy się tego i nie zasklepiajmy się w zaścianku.

Spadkobiercy

Pamiętek po dawnej *Solidarności* mamy wiele. Są rozsiane po całym kraju i to bez powszechnego zamiaru ich przenoszenia do Gdańska. Fascynacja nimi jest zróżnicowana, ale tłoku przy podziwianiu nie ma. Jeśli ktoś odczuwa potrzebę zgłębienia tajemnic *Solidarności*, to nie musi trafiać w aż tak wyrafinowane ekskluzywne miejsce. ECS wyrosło chyba po to, aby stworzyć posady i sprzyjać kombatanckim spotkaniom. Pierwsza jaskółka tego zamysłu, to uroczystość jego otwarcia. Wśród gości nie sposób było wypatrzeć tych, z którymi ówczesna *Solidarność* musiała paktować. Jest to skrzętnie skrywane. Hipokryzja, zapomnienie, zwykłe przeoczenie, a może już na zawsze rozstaliśmy się z tą cnotliwą, lecz nadal unikatową cechą, zdefiniowaną jako rodzimą *solidarność*?

Na pierwszy rzut oka ECS stanowi polityczną afirmację tego wszystkiego, co czynili bojownicy o tzw. wolną Polskę i to we własnym kraju, a więc w miarę w bezpiecznych relacjach. Znakomita większość społeczeństwa aprobowała status naszego państwa po 1945 roku, mimo że karmiła się *octem* w otoczeniu pustych sklepowych półek. Na tej *odżywcze* wyrosły jednak zastępy znamienitych obywateli, ale także rokoszan i to wcale nie o tandetnych posturach. Wydaje się, że interaktywny muzealny obiekt to kolejny przyczółek niwelowania PRL, a w połączeniu z IPN, podsyca rozdwojenie jaźni, wbijając klin w jedność rodaków wbrew *solidarnościowej* definicji tego ruchu.

* * *

Nie deprecjonujmy *solidarnościowego* uniesienia tamtych lat, ale nie czynimy z tego narzędzia spełniania wyrachowanych jednostkowych ambicji, lecz użyjmy je dla poskromienia naszego fantazyjnego snu o mocarstwowości. Budowanie i kruszenie *solidarnościowych* fundamentów, to takie nasze swoiste perpetuum mobile.

Smutnym etalonem dla rodaków zapewne były rocznicowe obchody święta *solidarnościowej* erupcji. Jeśli dzisiaj w wyniszczających szrankach stanęli sami jej inicjatorzy i późniejsi apologety *solidarnościowego* poruszenia, to czego oczekiwać od większości narodu? Iluzjonista też wyrzuca królika z szapokłaka ale jest to ulotne oczarowanie i o magię idzie. Może się okazać, że za chwilę każdy z animatorów tamtego rozdziału historii będzie ją celebrował wedle własnej liturgii. Polityka zamazywania niewygodnych faktów pogłębia podziały, rozrywając międzyludzkie więzy, używając już tak urodzajną glebę egoizmu. A to na pewno stanowi przeciwwagę dla *solidarności społecznej*. Świat, ale przede wszystkim rodacy to recenzują. Niechaj politycy RP zachowają umiar i omijają rozstaje.

Janina Łagoda, publicystka

Jerzy Oniszczyk

Homer: zasada miary, *hybris* i absurd „sprawiedliwości”

Wstęp. Znaczenie eposu dla myślenia o władzy i sprawiedliwości

Rozważania najstarszych filozofów (począwszy od Jończyków z Miletu) nie pojawiły się nagle z tzw. niczego. Poprzedzało je myślenie o charakterze mitologicznym, poetyckim. Kwestią jest, na ile te wczesne opowieści podejmowały zagadnienia ważne dla późniejszych rozważań filozoficznych, a także politycznych i prawnych, a zwłaszcza zastanawiały się nad pytaniami o charakter kosmosu, o zasady natury, siły i reguły kierujące wszechświatem, nad porządkiem społecznym, władzą, prawem, sprawiedliwością czy *polis*.

Fundamentalne znaczenie dla odpowiedzi na te pytania przypisywane jest dziełom największych epickich twórców, tj. legendarnego Homera, którego poezje powstały po 750 r. p.n.e., i Hezjoda, tworzącego od ok. 700 r. p.n.e.. Refleksja Hezjoda postrzegana jest jako swoista kontynuacja pracy Homera, gdy arystokracja rodowa zastąpiła już ustrój patriarchalny. Zanikanie ustroju patriarchalnego, w którym jednostka nie miała znaczenia politycznego, oznaczało odchodzenie od władzy królewskiej, którą cechował duży woluntaryzm. Homer był jeszcze poetą ideałów i świata starożytnych dworów. Jego epika opisywała z założenia świat Greków mykeńskich sprzed 1100 r. p.n.e. – achajskich wojowników, władców zajętych wyprawami wojennymi (*Iliada*) i wędrownkami (*Odyseja*). Jednak jego eposy nie powstały w oderwaniu od rzeczywistości, w której tworzył; był jej obserwatorem i opisywał różne jej przejawy. W jego dziełach, oprócz próby przedstawienia czasów sprzed XII w. p.n.e., są też obecne późniejsze wyobrażenia i wiedza, tj. od wieków ciemnych (ok. 1100-800), aż do odrodzenia greckiego (VIII w. p.n.e.). W poetyckim świecie Homera występują więc elementy różnych epok. Jego arystokratyczna poezja dotyczy wyidealizowanej epoki przodków, pełnej bohaterów i ich wyjątkowych czynów oraz dramatycznych klęsk. W pieśniach Homera nie pojawia się lud z jego sprawami, nie snuje on też refleksji z własnego życia. Dostarcza zaś poezji pałacowej, która służy rozrywce, ale też refleksji nad minioną epoką i rzeczywistością ludzi w wykształcającej się *polis*.

Prace Homera oceniane są jako pierwsza, wielka próba scharakteryzowania istoty i reguł starszej rzeczywistości; ilustrują one wyobrażenia warstwy wyższej, której kultura kształtowała tradycję i jej przekaz[1]. Homer pojawia się więc jako przekaziciel pewnej tradycji. Ale w jego mitologicznej narracji pojawia się też wielokrotnie problematyka charakterystyczna dla najstarszych przedstawicieli myśli filozoficzno-politycznej i prawnej. W formie załączkowej pojawiło się wiele podstawowych zagadnień filozoficznych.

Należy wreszcie odnotować szczególną rolę Homera (i Hezjoda) dla zrozumienia późniejszych, coraz bardziej złożonych systemów etycznych, politycznych i prawnych. Zwłaszcza chodzi o trudne do przecenienia znaczenie Homera jako pierwszego kronikarza zapisującego najwcześniejszą tradycję i jakiegoś jej literackiego „współtwórcę”. To owa tradycja wniosła zasady, na których opierały się późniejsze wizje etyczne. Pojmowanie współczesności bez tych korzeni jest niepełne, czy też, jak się dodaje, aby zrozumieć ideały etyczne, wzory osobowe konieczne jest sięgnięcie do wizji pierwszego wielkiego poety[2].

Heroiczny świat rywalizacji. Etyka doskonałości

Kwestia doskonałości bohatera

Pieśni homeryckie przedstawiają głównie świat różnorodnych rywalizacji, które mają wykazać niezwykłość bohaterów. Tradycja heroiczna sięga do nadzwyczajnych cech bohaterów w postaci ich waleczności i siły. To głównie z rywalizacją związane są przekonania moralne ujęte w poematach Homera, ujawniane w opisach postępowania i w wypowiedziach bohaterów *Iliady* i *Odysei*. W przeszłości ich postawy stały się wzorcami takich cnót, jak: bohaterstwo (Achilles), mądrość (Nestor), odwaga (Odyseusz), wierność (Penelopa). Próba refleksji etycznej Homera nie prezentuje jeszcze krytycznego podejścia, natomiast odnajduje się w niej pewien spójny namysł uznający, że „człowiek, który czci bogów i jest im posłuszny, ma zawsze przewagę nad ludźmi zarozumiałymi i nikczemnymi; ci zaś nie mogą wymknąć się boskiej pomście”[3]. Dla pierwszych wielkich filozofów wzory herosów stanowią podstawę refleksji. Przecież podczas swojego procesu Sokrates odnosi się do wyobrażonej krytyki, że sam wywołał sytuację, która zagraża jego życiu. Odnosząc się do niej filozof przedstawił wielce znaczącą myśl: „Wynika z tego, że bohaterowie, którzy zginęli pod Troją, a zwłaszcza syn Tetydy nie są godni szacunku (...) kiedy Tetyda ostrzega Achillesa »synu mój, jeśli pomścisz śmierć twego towarzysza Patroklesa zabijając Hektora, ty sam wkrótce potem umrzesz« Achilles pogardził lękiem przed śmiercią, bojąc się, o wiele bardziej żyć z plamą na honorze gdyby nie pomścił przyjaciela”. Można tu dodać, że w podejściu Sokratesa odnajdywane jest już pewne świadome bohaterstwo człowieka o sumieniu nonkonformisty[4].

Bohaterowie *Iliady*, wielcy z jakiegoś punktu widzenia, w innych obszarach okazywali się być niedoskonali. Z dzisiejszej perspektywy wychwalany w *Iliadzie* Achilles odczytywany jest jako „moralnie brzydka osobowość. Nie tylko jest porywczy i niezbyt inteligentny, ale jeszcze mściwy, zawzięty”, chciwy, ceniący bogactwo ponad przyjaźń, niebezpieczny rabuś, a wreszcie najokrutniejszy (co przy ówczesnym typowym okrucieństwie „brzmi szczególnie złowieszczo”) i

niewrażliwy na zadawanie cierpień innym[5]. Przeciw pewnej kulturze szacunku dla pokonanego, zabitego Achilles głosi prawo silniejszego i dzikiego, którego nie dotyczą normy moralności. Interpretacja tej dzikości i anarchii jest taka, że wojownik nie tyle odrzuca reguły cywilizacji, ale że nie ma on świadomości tych norm, gdyż – jak się próbuje dowodzić – jest „jeszcze »sprzed« cywilizacji”. Ostatecznie ze starcia dzikiej natury i kultury, ta druga wychodzi zwycięsko, bowiem refleksja nad pokonanym Hektorem powoduje, że Achilles uświadamia sobie, iż jego zasada destrukcji nie jest właściwa. Nie chce, aby z nim postąpiono tak, jak on z ciałem Hektora. Na tym tle dostrzeżono, że pojawiło się wielu „czcicieli bohaterów” (np. Friedrich Nietzsche, Thomas Carlyle), dla których Achilles nie jest „jakimś proto-kulturowym obrazem, ale kimś, kto stanowić ma wzór dla człowieka przyszłości, model dla tych, którzy po czasach skarlania dopiero nadejdą – bohaterów, geniuszy, świętych, wielkich twórców”. Odniesienie humanistyczne do tych „czcicieli” jest krytyczne. I nie tylko z powodu, który podał sam Achilles. Ich uwielbienie przemocy, fascynacja niszczeniem mechanizmów społecznych, które porządkują i mają wyrównawcze znaczenie w społeczeństwie charakteryzowane są jako „nieznośna choroba intelektualistów”. Za mrzonki uznać trzeba ich pogląd, że w innych warunkach, niż współczesnych społeczeństw, każdy „mógłby kroczyć jak Achilles – potężny, wspaniały, tworzący dopiero reguły zgodnie z własnymi życzeniami i zrywający je podług upodobań; że gdyby nie małość i przyziemność rzeczywistości, wszyscy urosłiby do miary herosów swych dziedzin” (Czesław Karkowski). W epoce Achillesa nawet jego refleksja nad tym, co go spotka i współzucie Priamowi, któremu zwrócił ciało Hektora (w zamian za wysoki wykup), jeszcze nie kwestionowała reguł, które kierowały żywiołem wojownika. Ale pojawiła się „absurdalna nadzieja” bohatera, że pogardzani ludzie w przyszłości inaczej go potraktują, bo na okrutnych bogów, którzy nie dbają o ludzi, nie ma co liczyć. Achilles pojął, że jego siła nie dotyczy przyszłych ludzi, nie rozciąga się w czasie. W przyszłości może mieć moc tylko norma. Ale ten wątek sensu normatywno-etycznego jeszcze nie dojrzał do rozwinięcia w *Iliadzie*, chociaż Homer oprócz rozbójniczej postaci Achillesa przedstawia też bohaterów o odmiennych cechach, np. Hektora. Zresztą sam Homer nie ukazuje siebie jako zwolennika wojny[6]. W każdym razie trudno sobie wyobrazić, aby wodzowie wyprawy na Teby i Troję nie cechowali się rozbójniczym charakterem. Przecież nawet najlepszy w dawaniu rad, biegły w mądrości Odyseusz określany jest jako „grabieżca miast” o etyce pirata[7].

Indywidualistyczna etyka bohaterów i „kultura wstydu”

Poematy homeryckie z zawartą w nich etyką wpłynęły na moralność Greków. Stąd ich moralność nabrała cechy charakterystycznej dla współzawodnictwa, tj. wyrażana jest za pomocą słów sukcesu. Zatem człowiek jest „dobry”, gdy jest on „dobry w tym, co robi”. Zwłaszcza chodzi jego dzielność w walce, ale też o umiejętność dostarczania najlepszych rad. Wobec tego charakteryzujący człowieka termin *arete* odpowiada bardziej pojęciu „doskonałości” aniżeli „cnoty”. Jednak ta doskonałość nie tyle jest cechą prywatną, co publiczną, i stąd kwestią jest, kto i wedle jakiej zasady przydawał tę cechę jednostce. Otóż przypisywanie tej właściwości należało do wspólnoty, która czyniła to wedle kry-

terium wielkości czci (*time*). Natomiast sama *time* miała materialny wymiar, co wyrażała wielkość *geras*, tj. nagrody będącej częścią zdobytego podczas wyprawy łupu, a przyznawanej każdemu uczestniczącemu w walce. Zatem nieprzyznanie odpowiednio wysokiego łupu albo odebranie go godziło w cześć bohatera, który mógł się czuć skrzywdzony, jak np. Achilles, którego Agamemnon pozbawił wcześniej przyznanej branki. Sprawą nie tyle była tu strata „materialna”, ale utrata godności. Ta etyka charakteryzowana jest jako etyka indywidualistyczna, bo wspomniana cześć (*time*) jest atrybutem związanym tylko z jednostką. Taka indywidualistyczna etyka dotyczy nie tylko jednostki - człowieka, albowiem „Nawet bogowie niewiele troszczą się o czyjąkolwiek *time* poza swoją własną”[8]. Zatem np. ludzie lekceważący boga, przeciwstawiający się jego woli odmawiali mu tym samym należnej czci, naruszali jego godność, co oznaczało, że dla jej odzyskania musiał się zemścić (odpłata)[9]. Wyjątkiem od zasady zabiegania o wyłącznie własną *time* był nakaz udzielenia pomocy przyjacielowi. Do powyższej charakterystyki etyki bohaterów jako indywidualistycznej należy też dodać, że sklasyfikowano ją też jako „kulturę wstydu”, w odróżnieniu od przyszłej „kultury winy”, która umieściła „sankcje chroniące zasady etyczne” w samym człowieku, w jego wnętrzu. Natomiast etyka homerycka usytuowała mechanizm gwarancyjny etyki na zewnątrz bohatera, a mianowicie odczuwał on wstyd (*aidos*) (a raczej tracił cześć)[10] w sytuacji utraty swojej pozycji wedle uznania osób równych mu pod względem społecznego statusu. Dlatego też dotkliwą karą publiczną był przepadek posiadanych majątności, „gdyż bogactwo było jednym z aspektów honoru”. Wspomniano, że także bóstwa postępowały według takich samych, jak herosi, reguł etycznych. Tylko w odniesieniu do Zeusa twierdzi się, że w sposób ogólny czuwał nad tym, „aby zwyciężyła sprawiedliwość, lub przynajmniej starał się chronić pewne podstawowe zasady, choćby takie jak te, na których opierały się związki gościnności”.

W indywidualistycznej kulturze wstydu ogromnie trudno jest przyznać się do winy bądź błędu, gdyż za „niedoskonałością” stoi publiczna utrata honoru. Stąd bohaterowie epepei Homera nie tyle wypierają się odpowiedzialności za swoje działania, ale jednocześnie często starają się przypominać, że przecież „za wszystko odpowiedzialna jest jakaś zewnętrzna siła boska[11]. Stosunek Homera do czynów bohaterów odnajdywany jest m.in. w zdaniu, które wypowiedział do Heleny król Priam przed walką Parysa z Menelaosem: „W tobie ja winy nie widzę, gdyż winni są tylko bogowie” (*Iliada*). Przemocny wpływ bogów powoduje więc, że ludzie mają pewne usprawiedliwienie dla swej niedoskonałości, dla własnych i cudzych występków. Oczekiwanie zrozumienia w tym duchu prezentuje też Agamemnon widzący, że jego działania są niezależne od niego, a jego los jest przesądzony[12]. Oceny ze sfery „etycznej” nie sięgają w zasadzie do pojęć normatywnych, bo takie jeszcze nie są sformułowane, ale nawiązują, jak wspomniano, do słów powodzenia czy sprawności. Stąd takie pojęcia jak „dobry”, „szlachetny” (*agathos*, *esthlos*) nie tyle są pojęciami z obszaru moralności, ale dotyczą wyjątkowych osiągnięć bohaterów. Zatem tylko takie działanie, które jest skuteczne, będzie słuszne czy dobre. Ważne znaczenie z punktu widzenia ówczesnych opinii dotyczących ludzi miały ich warunki fizyczne czy umysłowe umożliwiające tę doskonałość[13].

Arete – ideał etyki greckiej

Powyższe uwagi nie wyjaśniają w pełni ważności wspomnianego pojęcia *arete*. Uzupełniając je należy dodać, że w świecie Homera *arete* związana jest z *aristos* (najwyższy stopień przymiotnika *agathos*, tj. dobry), a więc „najlepszym”. Stąd wzór homeryckiej jednostki będzie oczekiwał bycia najlepszym. Ale przewyższanie innych nie jest stałą cechą bohatera (zapisaną raz na zawsze), jest raczej ciągłym mierzeniem się, stałą powinnością bohatera. Tę cechę heros musi ciągle rozwijać. Następstwem tej niekończącej się dążności o pierwszeństwo jest cześć, sława (*time*) u ludzi, ale jest ona jednak dosyć ulotna. Zasadą jest więc niekończące się uzyskiwanie pierwszeństwa, gdyż inaczej zanika publiczne uznanie, co jest niszczące dla czci bohatera. Utrzymanie czci za życia i śmierć w chwale na polu bitwy – dopiero one zapewniają bohaterowi sławę, która zostaje w pamięci kolejnych pokoleń. O ile początkowo uznawanie kogoś za *aristos* było pochodną zarówno stanu urodzenia, jak i odpowiednich starań o doskonałość, to niekiedy, a z upływem czasu coraz częściej, do bycia *aristos* wystarczało urodzenie[14].

Zabieganie o cześć ma też wymiar rodowy, co oznacza, że bohater ma ją pomnażać. *Aristos* ma przecież zdolność do uzyskiwania *arete*, gdyż pochodzi ze szlacheckiego rodu i dlatego też ma obowiązek dążenia do osiągnięcia *arete*, do bycia najlepszym. W tej regule odnajduje się grecki wyraz zasady *noblesse oblige*. Zatem za przyczyną przodków, którzy są *aristoi* bohater jest *aristos* i ciągle musi potwierdzać własną *arete*, co ma znaczenie dla czci całego rodu. To z powodu tej więzi rodowej bogowie mieliby karać lub nagradzać kolejne pokolenia za działania ich przodków[15].

Ważną kwestią jest, czy można nauczyć się *arete*. Posiadanie bowiem pewnej cechy, którą należy ciągle doskonalić, wskazywałoby na jakiś stan wiedzy. W świecie homeryckim doskonały w czymś czy znający pewne rzeczy nie nabywał tych cech w drodze nauczania. W przypadku *esthloi*, *agathoi* (szlachetni z urodzenia) posiadają oni *arete* od momentu urodzenia. Ma miejsce związek między *arete* i *aristos*. W przypadku więc szlacheckiego (np. Telemach) nauka, poznawanie polega raczej na wydobyciu, na uświadomieniu sobie posiadanych możliwości. Człowiek ma określone cechy (potencję), które wymagają uzewnętrznienia i rozwinięcia. W takim też kontekście interpretowana jest delficka myśl „Poznaj samego siebie”. Odkrycie wiedzy o sobie ma umożliwić działanie[16]. *Arete* pojmowana jest więc jako pewne reguły działania dla podejmujących wysiłki, aby doprowadzić do trwałego ziszczenia się pewnego wzorca doskonałości, ideału najlepszego. Ale „Poznaj samego siebie” pojawia się też w refleksji nad fundamentem, jakim jest „miara”.

W *arete* odnajdywany jest ideał etyki greckiej. Dostrzega się przy tym, że zasady i przekonania *aristoi* wypowiedziane w eposejach Homera zostały zaadaptowane przez starożytną demokrację. Zatem w społeczeństwie demokratycznym miałby też zagościć duch dawnej tradycji godności, niezależności, czy też wspaniałomyślności i bezinteresowności. Obywatel miał dbać o swój rozwój fizyczny i umysłowy. Jednakże nie odeszła też do przeszłości wzgarda dla praktycznych zajęć, dla pracy fizycznej[17]. Nie zanikła etyka nawiązująca do doskonałości w warunkach konkurencji.

Kwestią jest, dlaczego homerycka *arete* nawiązuje do różnych sprawności charakterystycznych dla konkurowania. Otóż u podstaw uznania, że dobre postępowanie to skuteczne postępowanie, wiązane jest z epoką opisywaną przez Homera. A jest to czas walk o władzę, podbojów, najazdów i wędrówek ludów. Ten świat w poematach przejawiał się w postaci opisów bitew i starć w pojedynkach oraz ducha tej walki. W owej tradycji walka pojawiała się zasadniczo jako coś normalnego[18]. Konfrontacja o miano najlepszego obejmowała nie tylko starcie na polu bitwy. Wyrazem powszechności ducha walki miała być popularność różnych igrzysk sportowych, sporny styl prowadzenia spraw sądowych, konkurowanie pieśniami poetyckimi czy opis świata religii, w którym przeciwstawiano sobie bóstwa np. Afrodyta-Ares.

Zasadniczy charakter sporu dostrzegany jest nawet w późniejszej filozofii i jako przykład przytaczana jest wypowiedź Heraklita, że „Walka jest ojcem wszystkich rzeczy, wszystkich rzeczy królem”, zaś korzystanie z mechanizmu par, które wyrażają przeciwieństwo, odnajdywane jest np. u Platona. Zatem wszechobecność konkurowania miała miejsce tak wśród zbrojnych, gdzie liczyły się zalety bojowe, jak i wśród sportowców na igrzyskach, gdzie znaczenie miała siła czy sprawność, występowała też na zgromadzeniach obywateli, gdzie cnotą było dawanie najlepszych przemówień, jak i na igrzyskach poetyckich w postaci najlepszego trafienia do umysłów i emocji.

Człowiek Homera ma więc w różnych sytuacjach ciągle dążyć do zwycięstwa i wygrywać, głównie za pomocą siły, wytrzymałości, ale także za pomocą umysłu-sprytu i „najmądrzejszej rady” (np. Odyseusz). W zakresie umysłowych zalet oprócz sprytu (chytrości) umieszczano też rozumność, opanowanie, umiejętność wysławiania się (dostarczania właściwych odpowiedzi na pytania) i trafnego występowania[19]. Za pomocą słów powodzenia, umiejętności czy sprytu przedstawia Homer również rozumienie mądrości (*sofia*). Mówi o niej jako biegłości, pewnej sprawności czy doskonałości, która u podstaw ma wiedzę o prawidłowym postępowaniu wynikającym z praktyki. *Sofia* była pewnym rodzajem „praktyk podlegających miarom i regułom” (Pierre Hadot), sztuką (*techne*) w sensie sprawności – „zręczności w obchodzeniu się z rzeczami i ludźmi”. Zatem mądrymi (*sofoi*) są twórcy (*techniton*) (Bruno Snell). W epoce Homera i Hezjoda *sofia* nie rozróżnia jeszcze między zagadnieniami teoretycznymi i praktycznymi[20].

Opisana homerycka *arete* związana jest z konkurencją, stąd nastawienie bohatera na zwycięstwo traktowano jako jego powinność. W świecie, który opanował przemożny duch walki trudno sobie wyobrazić, aby refleksja nad moralnością była immunizowana od ogólnego nastrojenia walką. Natomiast jeżeli chodzi o znaczenie poszczególnych *aretas*, to w konkursie o laur „pierwszeństwa” między siłą i mądrymi słowami ta pierwsza przeważała. I niekoniecznie tylko w ocenie tzw. prostej gawiedzi. Taka opinia o przewadze siły miała cechować zwłaszcza młodzież z powodu jej pewnego „prymitywizmu”. Natomiast sam Homer opowiada się za przewagą rozwagi, za wartością rozumu[21].

Problem zasad moralnych i „obłądnej winy”.

Sens słusznego gniewu

Niezależnie od braku ogólnego podejścia do moralności, jakiejś koncepcji etycznej i braku rozwiniętego katalogu zasad moralnych, w opisach Homera dostrzega się trzy takie reguły, nakazy moralne, tj.: 1) czczenia bogów, 2) szacunku dla rodziców i 3) szanowania gości i błagalników („od Zeusa przychodzą wszyscy obcy i żebracy”) – zasada gościnności. Niekiedy dodaje się jeszcze zakazy: 4) walki bratobójczej i 5) znieważania większych bohaterów. Czuwanie nad tymi zasadami, podobnie jak nad *arete* bohaterów, należy do bogów[22].

Zgodność świata przyrody z porządkiem boskim, z wolą Mojry sprawia, że u podstaw obszaru moralności Homer umieszcza uzasadnienie religijne. Zatem człowiek bogobojny jest też człowiekiem moralnym, a kary i nagrody spotykające konkretnego człowieka nie odnoszą się do jego moralności, ale pobożności, tj. są zapłatą za to, czy oddaje on właściwie cześć bogom. Wobec tego dowodzi się nawet, że swoistą zasadą religii jest wzajemność, a mianowicie ludzkim ofiarom ma odpowiadać opieka bóstw. Jednakże skłonienie bogów do przychylności nie zawsze jest łatwe czy możliwe. Składane ofiary nie gwarantują zjednania bogów, gdy miała miejsce szczególnie ciężka ich obraza. Równocześnie jednak naruszenie społecznych reguł moralnych stanowi wykroczenie przeciw woli boskiej, skoro bogowie określają nie tylko porządek w przyrodzie, ale i społeczny. Takie wykroczenie ma cechę pychy ludzkiej i zatem *hybris* nie okazuje się być wyłącznie przewinieniem przeciwko bóstwom, ale i ludziom, gdyż treść wykroczeń obejmuje też czyny przeciw człowiekowi. Wykroczenie przeciw naturze o charakterze buty ma miejsce, gdy człowiek przekracza przypisaną mu pozycję, gdy „wynosi się ponad siebie”, a więc przewyższa właściwą, w zasadzie ilościową miarę (dopiero Hezjod miał zaproponować moralny sens „miary”). Dodać tu należy, że *hybris* (a więc i nieuchronność odpłaty) nie tylko wiązała się z naruszeniem właściwej miary, ale też pychę mogło być dążenie człowieka do szczęścia. W tym bowiem homerycki świat odnajdywał konkurowanie z bogami, pragnienie zrównania z nimi. Podobnie *hybris* występowała w sytuacji poczucia szczęścia, niezależności czy dumy z własnych zalet. Jednak, mimo, że ludzie realizowali wolę bogów, to nie oznaczało uchylecia zawiści bogów i ich kary. To homeryckie przekroczenie miary zostało scharakteryzowane jako „obłądna wina” (Adam Krokiewicz), zaś jej następstwem jest zawsze przywracająca równowagę kara – zapłata za *hybris*. Wyraża się w niej „przywrócenie właściwej każdemu i każdej sytuacji miary” i powrót do wcześniej ustalonego ładu[23].

Ważne pytanie dotyczy tego, czy istnieje boska ochrona ludzi przed naruszeniem ustalonego ładu (*hybris*) i, w konsekwencji, przed nieuniknioną sankcją. Homer nie dostrzega takiej ochrony ze strony bóstw, które decydują przecież o ludzkiej myśli i działaniu, a nawet, jak wspomniano, niejednokrotnie ograniczają zdolności człowieka do świadomego postępowania. Mianowicie, to np. bogini Ate sprawia, że ludzie są omamieni, zbałamuceni czy zwodzeni, a więc podejmują działania wyraźnie według woli bogów (np. tak Agamemnon tłumaczy swoje zachowanie w stosunku do Achillesa). Jednak i w takiej sytuacji, bardzo wyraźnego działania boskiego na rzecz całkowitej bezradności człowieka, tenże poniesie odpowiedzialność za *hybris*. To poniesienie kary za cudzą winę

podkreśla szczególność dramatyzmu sytuacji, w jakiej znalazł się człowiek w stosunku do bogów. Człowiek nie jest w stanie opierać się bogom, może tylko pogodzić się z losem. Ale też ta sytuacja, która wydaje się beznadziejnie rozpaczliwa, jest przedmiotem zainteresowania litościwych córek Zeusa Litai (Prośby), które mają możliwość pewnego naprawiania zła, które sprawia Ate. Uczczenie bogiń Litai przez ukorzenie się przez błagalnika sprawia, że silniejszy człowiek powinien uwzględnić prośbę błagalnika. Jednak, gdy ten mocniejszy pozostaje w zaślepieniu, to taka uporczywość może okazać się pychą, jako przekroczenie miary nad „skruszonym sercem”. Wówczas silniejszy mimo, że nie ma po jego stronie nowego czynu, staje się zuchwalcem, który podlega karze Ate[24].

Wspomniany brak ochrony człowieka przed *hybris*, a nawet popychanie do niego przez bóstwa, pojawia się niekiedy w zestawieniu (konfrontacji) z *nemesis*, która oznacza słuszny gniew wywołany przez krzywdę i ostatecznie „przydzielenie tego, co się komuś słusznie należy”. Słuszne oburzenie wpływa (ogranicza) na *hybris* i sankcję za naruszenie. *Nemesis* nie godzi się więc na naganne działanie, a jej odpowiednikiem jest zawarte w człowieku poczucie słuszności[25].

Klęska zwycięskiej wojny trojańskiej. Następstwa hybris

Dla rozważań nad etyką herosów ma znaczenie kwestia, dlaczego Grecy, którzy mieli być okradzeni przez Aleksandra, jednak ostatecznie ponieśli klęskę w sprawiedliwej wyprawie trojańskiej. Dlaczego ich powrót do domów jest pełen dramatów i niejednokrotnie trwa długo. Takim przykładem jest zabójstwo triumfującego Agamemnona przez żonę Klitajmestrę[26] (siostra Heleny) i jej kochanka. Może zatem było coś nie tak z ich narracją o greckiej „krzywdzie” i ich usprawiedliwianie wojny dążeniem do odzyskania porwanej do Azji Heleny, żony króla Sparty, Menelaosa. Bo przecież, jak wspomniano, „człowiek, który czci bogów i jest im posłuszny, ma zawsze przewagę nad ludźmi zarozumiałymi i nikczemnymi; ci zaś nie mogą wymknąć się boskiej pomście”. Wobec tego pojawia się pytanie, czy przypadkiem to nie okrucieństwo i chciwość Greków oraz ich pycha jako zwycięzców została ukarana? Takie uzasadnienie ma sens, zwłaszcza w sferze homeryckich rozważań nad wojną i jej następstwami. Natomiast kwestią dla oceny decyzji Greków o wyprawie jest prawdziwa przyczyna wojny, a tę bogowie musieli znać. Los przecież jest z góry zapisany. Homer opisując motywację Agamemnona (króla Myken) podkreślał jego zachłanność, chęć osiągnięcia dużych łupów, tego „co mu się należy” (okupu). Dla niego nie było kwestii okradzonego brata Menelaosa i porwania jego żony. O Agamemnonie Achilles w kłótni o brankę powiedział, że jest „Najchciwszy ze wszystkich Argiwów”. Można więc przy okazji zauważyć, że heroiczni bohaterowie odróżniali wagę różnych czynów, jak np. dbanie o własne interesy od chciwości czy bohaterską walkę od okrucieństwa w postaci niepotrzebnego krzywdzenia.

Nieprzekonujące wydają się późniejsze stwierdzenia greckich wojowników, że to konieczność zemsty „za ciężkie westchnienia i za zgryzoty Heleny” przywiodła ich (po wielu latach) pod Troję. W przypadku greckich wojowników kryterium oceny sytuacji Heleny mogły być ich własne brutalne praktyki w

odniesieniu do branek, ich lekceważenie kobiet. Chcieli widzieć Helenę jako porwaną i poniewieraną brankę, podczas, gdy dla Trojan jest uciekinierką, która sama opuściła męża. Wątpliwości budzi twierdzenie, że Grecy walczyli o godność kobiety. Pewną ilustracją stosunku wojowników do kobiet jest spór o kobietę między Agamemnonem i Achillesem, „łotrami i bandytami, kompanami w rabunku”, jest to bowiem spór o łup. Trudno sądzić, że w ówczesnym świecie egoistyczny i prostacki Menelaos, podobny do swojego brata, miałby dwadzieścia lat od ucieczki Heleny, cierpieć z powodu jej utraty. Została co prawda dotknięta jego własna duma, ale można sądzić, że to było za mało do wielkiej wojny. Zatem wydaje się, że powód podawany przez Menelaosa nie jest prawdziwy. To właściwe uzasadnienie mogło się raczej wiązać z wartością królewskiej pozycji Heleny, córki króla Sparty. Otóż dzięki małżeństwu z nią Menelaos uzyskał władzę w znaczącym królestwie.

Zatem to Helena legitymizowała jego władzę i zapewne dlatego, aby nie stracić Sparty, utrzymywał mit o porwaniu Heleny. Jej dobrowolna ucieczka mogłaby zostać odczytana jako zakończenie małżeństwa i upadek uzasadnienia rządów Menelaosa. Kwestią było władztwo domu Atrydów. Wydaje się więc, że przyczyną zorganizowanej przez Agamemnona i Menelaosa wojny nie było zadośćuczynienie za krzywdę, uwolnienie pięknej, kochanej Heleny, ale dążenie do odzyskania dziedziczki Sparty ze względu na kwestię władzy, co zresztą nie wyklucza ich zainteresowania łupami. W każdym razie, w tej sytuacji pozostawała kwestia zmobilizowania greckich wojowników. Dokonano tego za pomocą mirażu wielkich zdobyczy ze splądrowania wielu krain, miast na trasie wyprawy po ogromne bogactwa trojańskie[27]. Tymczasem Troja w okresie panowania Priama jest, po wcześniejszym jej poważnym zniszczeniu przez trzęsienie ziemi ok. 1300 r. p.n.e., osłabioną fortecą kontrolującą ważny szlak Troady, a nie bogatym miastem. I bogowie o tym wiedzieli.

Można dodać jeszcze inne uzasadnienie wyprawy trojańskiej, tj. sięgające do okoliczności ekspansji handlowej i politycznej mykeńczyków w Azji Mniejszej (celem strategicznym miałyby być zdobycie stałego punktu). Ograniczenie wpływów państwa Hetytów przez rewoltę tzw. ligi Assuwa (1250-1220), w której prawdopodobnie wzięła udział Troja, miało spowodować, że Achajowie z ich dążeniem mieli stanąć wobec Assuwa. Do zrealizowania założonych celów konieczne stało się osłabienie ligi, a takim nadającym się do tego punktem mogła być wysunięta na północ Troja ze względu na jej położenie i wspomnianą kontrolę nad szlakiem Troady. Zrozumiałe, że królestwo mogło w tej sytuacji liczyć na wsparcie sprzymierzeńców i to ta okoliczność miała spowodować długotrwałą wojnę[28], o różnorodnych następstwach.

Powyższe uwagi pokazują różne uzasadnienia wojny, a pretekst walki o Helenę przez skrzywdzonego męża proponuje godnościowe jej uzasadnienie i próbuje tym samym zamaskować prawdziwe niegodziwe motywy. Te jednak są znane bogom, którzy ostatecznie karzą wszystkich Greków. Z tego faktu miało wynikać ostrzeżenie takie oto, że ludzi można w różny sposób mamić, wprowadzać w błąd, wreszcie odwoływać się do ich chciwej natury, jednakże wykroczenie poza boski porządek ostatecznie zawsze spotka się z karą. I ta kara dotyczy zarówno czynnych sprawców niegodziwości, jak i tych, którzy widzieli w tym swoje korzyści, a

nawet tych, którzy się jej nie opierali. Taka kara klęski przecież dotknęła później za pychę (*hybris*) perskiego Kserksesa i jego armię za najazd na Grecję[29]. Ale też pycha i buta demokratycznych Aten pojawiła się u podstaw jej klęski w wojnie peloponeskiej.

Formy organizacji politycznej. Wizja prawa

W eposejach Homera ukazane są podstawowe formy organizacji politycznej i formy te nie uległy zmianie w okresie „całej historii miasta-państwa”. Natomiast tym, co podlegało przemianom w późniejszych okresach miał być rozkład władzy między różnymi grupami społecznymi, a także wymagania umożliwiające pełnoprawny udział w życiu publicznym. Takim podstawowym organem politycznym we wczesnej Grecji było zgromadzenie dorosłych mężczyzn należących do wspólnoty (*agora*). Nad nim czuwała rada (*boule*) starszych, w której skład wchodził prawdopodobnie przywódca możnych rodów (*basilees*). Ówczesny system przewidywał także władzę wykonawczą realizowaną przez osoby wybrane bądź dziedziczące urząd. Jeżeli chodzi o formy władzy wykonawczej, to odnotowuje się istnienie kadencyjnych urzędników (zwykle jednorocznych). Ich aktywność ograniczała rada starszych, złożona z osób, które wcześniej sprawowały urzędy. Ważną kwestią był mechanizm podejmowania decyzji. Otóż takim podstawowym sposobem decydowania były obrady. Mogły się toczyć wewnątrz rady albo przed zgromadzonym ludem. Podejmowanie w głosowaniu rozstrzygnięcia nie następowały jeszcze według jakiejś sprecyzowanej procedury. Na podstawie opisów (np. w *Iliadzie*) sposobów wspólnotowego decydowania, można dostrzec, że owo postępowanie polegało na tym, że sprawy były najpierw rozpatrywane na forum rady starszych. Po tej dyskusji przedstawiano rozwiązanie na zgromadzeniu ludu. Podobnie, jak w radzie starszych również na zgromadzeniu miała miejsce debata. Do wystąpień publicznych na zgromadzeniu mieli prawo w zasadzie członkowie rady starszych, którzy mogli otwarcie przedstawiać swoje stanowiska w stosunku do rozstrzygnięcia rady. Rola zgromadzenia zasadniczo sprowadzała się do wysłuchaniu decyzji rady starszych, gdy była konieczna wiedza o niej. Jeżeli chodzi zaś o sytuację uzasadniającą zwołanie zgromadzenia, to głównie następowało to w związku z decydowaniem w ważnych sprawach. Ocenia się, że uznawano znaczenie opinii zgromadzenia, gdyż „To przecież *demos* nadaje *geras* swoim przywódcom (*Odyseja*). Zgromadzenie zwoływano na specjalnie do tego przeznaczonym placu, który znajdował się nawet w achajskim obozie wojskowym pod Troją »[...] gdzie obrad plac się rozciągał i sądów / Oraz dla bogów ofiarne były wzniesione ołtarze«” (*Iliada*). W tych procedurach odnajdywane jest „istotne podobieństwo” do funkcjonowania takiego późniejszego zgromadzenia, jakim było ateńskie Zgromadzenie Ludowe. W każdym razie, od epoki „prymitywnego zgromadzenia wojowników”, opisywanej przez Homera, do klasycznej *polis* w mechanizmie rządzenia dostrzegane jest zarówno pewne kontinuum, jak i przemiany[30].

Powyższe uwagi sygnalizują moment znaczący dla rozwoju najstarszego podejścia do prawa zawarty w refleksji o charakterze religijno-mitycznym i etycznym epoki przedfilozoficznej. Przede wszystkim odpowiedź na pytanie o

wyobrażenie prawa przez starożytnych Greków związana jest z postrzeganiem przez nich rzeczywistości, tj. kosmicznego boskiego porządku i stałego działania bogów. W rezultacie prawo pojawia się jako reguły boskie, które decydują o bycie i działaniu jednostki i społeczeństwa.

W świecie homeryckim jeszcze nie istniało prawo pisane. To działania i wypowiedzi króla miały znaczenie dla pojmowania sprawiedliwości. Jednakże władza króla była określona przez reguły zwyczajowe określające co jest słuszne, których nie mógł on łamać. Moc władcy nie mogła polegać na samowoli, bowiem naruszenie koniecznych zwyczajów oznaczało podważenie porządku wszechrzeczy, wyjście poza właściwą miarę. Z niezachowaniem miary związana była, jak wspomniano, „obłądka wina”, za którą koniecznie podążała klęska. Samowoli zatem nie sprowadzano wyłącznie do mającej wymiar indywidualnej sprawy czy nawet jako powodującej niesprawiedliwość o charakterze społecznym[31]. Samowola naruszała ład kosmiczny.

Wspomniano, że rozwiązywanie filozoficzno-prawnego problemu dotyczącego sytuacji człowieka we wszechświecie Homer dokonuje poprzez poddanie go i jego spraw działaniu sił i prawa boskiego. To podporządkowanie prawa wyraża posłuszeństwo wskazaniom Themis i Dike. Pierwsza z bogiń (Themis) pojawiła się jako bogini sprawiedliwości (*Odyseja*). Miała wyrażać zwyczaj oparty na prawie boskim, sprawiedliwość i słuszość. Natomiast w węższym, prawnym znaczeniu *themis* utożsamiano z przysługującym władcy zwierzchnim prawem sądenia. Do prerogatyw podawanego jako przykład Agamemnona (*Iliada*) oprócz dowództwa, prawa składania ofiar w imieniu społeczeństwa należała też *themis* - władza sądenia. Natomiast pojęcie *dike* miało wyrażać zwyczaj, słuszość, sprawiedliwość, a nadto oznaczało „sąd, proces, wyrok, karę i zadośćuczynienie”. Jeżeli chodzi o pochodzenie tego pojęcia, to związane jest z obszarem prawa, z jego sądowym używaniem. W tej interpretacji (nawiązującej do ustaleń Wernera Jeagera) *dike* okazuje się odnosić „i do poszkodowanego, i do winnego, i do sędziego. Mianowicie, sędzia przydziela, winny daje, a poszkodowany bierze. W ten sposób *dike* mieści w sobie rzeczywiście i wyrok, i karę, i zadośćuczynienie”[32].

W najogólniejszym ujęciu Themis uosabia zatem nadrzędne prawo boskie (Zeusa), zaś Dike ma symbolizować sędziowskie wymierzanie sprawiedliwości w konkretnych sprawach. Następstwem powyższego pojmowania prawa jest np. legitymizowanie czy posłuszeństwo władzy monarszej. To tym prawem uzasadniane są relacje do świata bogów, rodziny czy gości, a także kształtowanie wizerunku człowieka, którego ma zwłaszcza cechować cnota dzielności (*arete*). Normy, które rządzą dzielnością,

Homer wiąże z regułami boskimi (tj. z personalizującymi je bóstwami *Aidos*, jako poczucie obowiązku i *Nemesis*, jako kara) i ocenami innych ludzi, które oznaczają cześć lub hańbę. To poszukiwanie czci wyrażające poziom dzielności odnosi się, jak wspomniano, na zewnątrz, a nie do wewnątrz człowieka (sumienie jeszcze nie jest miarą). Ta zewnętrzna miara działalności nie jest jednak subiektywna czy przypadkowa. U podstaw tej miary znajduje się kryterium norm boskich. Inaczej mówiąc ocena ludzka odnosi się do poziomu zgodności konkretnej cnoty dzielności z prawem boskim, które okazuje się być także

normą etyczną. W tym podejściu do prawa odnajdywane są załączki późniejszych wizji prawnonaturalnych[33].

Wspomniano o pewnej roli *basilees*, ale należy dodać, że oprócz spraw z zakresu polityki i wojska należały do nich też te dotyczące sporów między jednostkami. Funkcja ta, a zwłaszcza sposób czuwania *basileusa* nad sporami miał okazać się istotny dla rozwoju prawa greckiego. W owym okresie nie istniał jeszcze jakiś najprostszy system prawa i sądów w dzisiejszym rozumieniu, ale pewien zbiór tabu i obyczajów oraz publiczny arbitraż służący określeniu rekompensaty za popełnienie zabronionego czynu. W terminologii Homera podejmowane „decyzje (*dikai*) są »proste« lub »fałszywe« w zależności od zakresu, w jakim odpowiadają obyczajom prawnym (*themistes*), tj. niepisanim zasadom i wcześniejszym precedensom, na których opierają się decyzje”. Jeżeli chodzi o relację tych „konkretnych rozstrzygnięć i obyczajów do ogólnego porządku świata”, to są wyznaczone przez „zasad[ę], iż oznaka władzy (*skeptron*) i *themistes* są darami Zeusa”. Zatem bóg miał podarować „basileusowi *skeptron* i *themistes*, aby doradzał ludowi (*Iliada*) i gniewa się »za czyny szkodliwe tych mężów« [...] / Którzy wydają wyroki fałszywe jako sędziowie / Na zgromadzeniach i łamią prawa na bogów niepomini” (*Iliada*)[34]. W „młodszych” częściach *Iliady* obok starych norm *themistes* dostrzeżono zatem Dike, od której miała zależeć sytuacja ludzi. Pojawienie się tej siły, tj. wykształcanie się nowych interpretacji dotyczących prawa, związane jest z przemianami ustrojowymi (od władzy patriarchalnej do arystokracji rodowej), z wykształcaniem się *polis* i wzrastaniem politycznej roli obywatela we wspólnocie[35].

Jeżeli chodzi o procedurę prawną ówczesnego sądu o charakterze arbitrażowym, to przedstawiana jest w formie obrad, które są publiczne na podobieństwo obrad zgromadzenia. I w tym przypadku występują członkowie rady starszych. Ale czynią to nie jako sędziowie, ale mediatorzy i w swoim imieniu. W tym postępowaniu nie jest możliwe narzucenie stronom decyzji, natomiast do rozwiązania sprawy dochodzi przez przyjęcie rozstrzygnięcia przez obie strony sporu. Wobec tego, że rozwiązanie oznacza akceptację propozycji któregoś z członków rady starszych, to otrzymuje on „nagrodę za pośrednictwo”, którą finansują obie strony bądź jedna z nich. Jeżeli chodzi o sposób nacisku na rozstrzygnięcie, to taką jedyną możliwością oddziaływania jest opinia społeczności. W przypadku tak szczególnym, jak zabójstwo, dochodziło do napięcia w mechanizmie arbitrażowym, ponieważ alternatywą dla ugody mogła być krwawa zemsta, szkodliwa dla społeczności. Z uwagi na takie zagrożenie wspólnota mogła oczekiwać ugody. Jednak, gdy żądane zadośćuczynienie za przelaną krew było za wysokie dla zabójcy, bądź gdy krewni zabitego odrzucili propozycję zapłaty, to wówczas zabójca udawał się na wygnanie. Pojawienie się zaś przypadku, gdy „sprawca zbrodni był inicjatorem całej rozprawy, chcąc zmusić drugą stronę, by pod naciskiem opinii publicznej przyjęła zapłatę za przelaną krew” charakteryzowane jest jako moment o charakterze przełomowym dla „rozwoju systemu osobistego arbitrażu, kiedy to jest on zastępowany kodeksem prawnym, za którym stoją publiczne sankcje”[36]. W sporach miał obowiązek uczestniczyć *basileus*, który za mediację otrzymywał nagrodę, gdy jego zdanie przyjęły obie strony.

Zamiast zakończenia. Ostrzegający sens antycznej myśli – „skały macierzystej”

Przede wszystkim pojawia się pytanie o aktualność refleksji Homera dla współczesnych rozważań polityczno-prawnych i filozoficznych. Już tylko na podstawie niektórych powyższych uwag odniesionych do zjawisk, które wykształciła w pod koniec XX w. na świecie ideologia neoliberalna, można sformułować odpowiedź twierdzącą. Taka ocena rodzi się na tle powszechności poglądu o pojawianiu się coraz większych zagrożeń dla życia ludzi z powodu wielkich ludzkich naruszeń porządku i równowagi w procesach przyrodniczych i społecznych. Zapewne zwolennikom mitycznych opisów świata łatwiej przychodzi podążanie za terminologią homerycką i wyrażenie spostrzeżenia, że w dzisiejszym świecie owe przekroczenia „miary” mają wymiar *hybris*. Zrozumiałe, że wobec tego należy oczekiwać (a może już trwa) „odwet” natury zarówno przyrodniczej jak i społecznej. Te bowiem, dążąc do równowagi, wywołują różnego rodzaju zaburzenia. Nietrudno posłużyć się ostrzegawczymi pismami ekologów wskazującymi katastrofalny stan środowiska naturalnego czy książkami socjologów dotyczącymi dramatycznych skutków niesprawiedliwej dystrybucji dochodu wśród ludzi, aby powiedzieć o tych pracach, że do antycznej myśli o konieczności zachowania miary, umiaru, równowagi tworzone są coraz bardziej szczegółowe przypisy. Niektóre są nawet nagrodzone Noblem.

Homer przestrzegał przed popadaniem ludzi w grzeszną pychę (*hybris*), aby nie wywołać gniewu bogów. Pomijając dosłowność kary, którą straszy poeta, można dostrzegać jakąś ponadczasową krytykę pychy, buty ludzkiej jako źródła jej kłopotów. Współczesny, trwający od 2007 r. kryzys finansowo-gospodarczy w wielu państwach na świecie, bez najmniejszych wątpliwości przypisywany jest optymistycznej bucie „nieodpowiedzialnych”, za to pragnących za wszelką cenę pieniędzy tzw. bankierów i własnej sławy tzw. polityków. Ich postępowanie ma zaś usprawiedliwiać indywidualistyczna i egoistyczna etyka na podobieństwo etyki homeryckich wojowników, których wartość („etykę”) i cześć (*time*) wyznaczała wielkość przyznanej części łupu (*geras*). W każdym razie wspomniane ostrzeżenie Homera wydaje się o tyle aktualne, że cenę za działania niedojrzałej „młodzieży” na rynkach finansowo-politycznych płacą ci, którzy wprost nie zawinili, tj. najślabi społeczno-ekonomiczni i utrzymująca wszystko klasa średnia wedle reguły „obłądnej winy”.

O kryzysie wywołanym przez neoliberalizm w kontekście homeryckim można powiedzieć, że ideologia ta odcięła się od myśli o jedności wszystkich elementów świata i koniecznej harmonii w ich działalności. Współczesne antidotum na istniejące zło można dostrzec w pragnieniu polityki zrównoważonego rozwoju na świecie, co ma jak najbardziej homeryckie korzenie. Oznacza to konieczność zwrócenia uwagi na normę, która usunie samowolę i destrukcyjność „dzikich” pomysłów najsilniejszych, co pojmował Homer, a nawet nieco zrozumiał Achilles trzy tysiące lat temu.

Jerzy Oniszczyk, prof. zw. dr hab. nauk prawnych. Prowadzi badania naukowe skupiające się głównie na zagadnieniach filozoficznych i teoretycznych państwa i prawa oraz prawa konstytucyjnego. Szkoła Główna Handlowa.

Tekst opublikowany w książce: *WSPÓŁCZESNY M47RIX?. F1KCJ4 W ŻYCIU GOŚPODARCZYM PÓL17YCZNYM I SPOŁ3CZNYM*, red. J. Osiński, Oficyna Wydawnicza SGH, s. 99-123. Skróty pochodzą od redakcji.

Przypisy:

1. J. Gajda, *Prawo natury i umowa społeczna w filozofii przedsokratejskiej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1986, s. 7, 11.
2. D. Dembińska-Siury, *Człowiek odkrywa człowieka. O początkach greckiej refleksji moralnej*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1991, s. 17.
3. G. Reale, *Myśl starożytna*, tł. E.I. Zieliński, Wydawnictwo KUL, Lublin 2003, s. 84.
4. Cyt. Sokrates w: J. V. Luce, *op. cit.*, s. 297.
5. C. Karkowski, *Iliada współczesna*, CreateSpace Independent Publishing Platform, Nowy Jork 2013, s. 76-79, 89, 90. „Homer wyraźnie lubuje się w krótkich, zwięzłych opisach tego, kto kogo i w jaki sposób pozbawił życia. Fascynuje go łatwość, z jaką wydrzeć można życie z człowieka przy pomocy prostej broni: włóczni, którą można przedziurawić tułów, miecza brązowego, którym można rozłupać czaszkę, bądź odrybać część ciała”, *ibidem*, s. 12.
6. *Ibidem*, s. 82-85, 90, 157.
7. J. V. Luce, *op. cit.*, s. 91. Odyseusz sam charakteryzował siebie: „Robota mi nie smakowała, tak samo gospodarstwo domowe,/ przez które dzieci pięknie się chowają – zawsze mnie/ pociągały okręty wiosłowne, bitwy, gładkie oszczepy i strzały,/ dla innych rzeczy złowrogie i straszne, a mnie właśnie miłe .../ Zanim synowie Achajów wstąpili na ziemię trojańską, już/ dziewięć razy prowadziłem wojowników i chyże okręty na/ obce kraje i za każdym razem brałem łup bogaty. Bo najpierw/ wydzielano mi części wodza, potem miałem udział w/ losowaniu zdobyczy” (*Odyseja*, Pieśń XIV, 222-32, przekład J. Paradowski).
8. O. Murray, *Narodziny Grecji*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004, s. 75.
9. D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 44.
10. Homeryckie bóstwo *Aidos* uosabia poczucie obowiązku, zaś *aidos* w sensie „wstyd wobec samego siebie” (we własnym sumieniu) wiązany jest z koncepcjami Demokryta. Zob. J. Gajda, *op. cit.*, s. 10. Dostrzega się, że pojęcie *aidos* bliskie jest *nemesis* – słuszne oburzenie. *Aidos* w ujęciu homeryckim oznacza wstyd w kontekście honoru (poczucie honoru). Ten wstyd pojawia się z uwzględnienia zewnętrznej (cudzej) opinii czy bardziej szacunku do niej. *Aidos*, to więc wstyd ze względu na opinię zewnętrzną. Na niejednokrotnie wspólne występowanie *aidos* i *nemesis* ma wskazywać wypowiedź Telemacha proszącego „mieszkańców Itaki, aby przestali go krzywdzić i kierowali się słusznym oburzeniem (*nemessethete*) wobec siebie, wstydem (*aidesthete*) wobec okolicznych sąsiadów i lękiem wobec bogów”. W tej wypowiedzi *nemesis* określa „uczucia gniewu wobec niestosowności własnego postępowania, a *aidos* w znaczeniu świadomości przygany w opinii innych” (D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 48).
11. O. Murray, *op. cit.*, s. 75, 76.
12. Władca przypomniał, że Achajowie obwiniali go o różne rzeczy: „A przecież nie ja jestem winny / Tylko Dzeus, Mojra i w mglistej pomroce krocząca Erynia. / Oni wtrącili na radzie myśl moją w okrutne zmańcenie / Tego dnia, kiedy zabrałem dla siebie nagrodę Achilla, / Ale czy ja to zrobiłem? Sam bóg dokonał wszystkiego. / Ate, najstarsza z cór Dzeusa, zwodnica, co wszystkich omamia / zgubę im niosąc (...) / Ludzi tumaniąc. Już w sidła swe niejednego porwała. / Zwiodła i Dzeusa” (*Iliada*, Pieśń XIX, 86-92, 94-95).

13. D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 17-18
14. Na przykład Agamemnon był pierwszy między królami z powodu urodzenia, a nie najwyższej doskonałości. Jego cześć i zwierzchnia władza ma u podstaw wolę boską Zeusa. Późniejsi arystokracji będą dziedziczyć *aristos* i *arete* bez konieczności ciągłego wykazywania wyjątkowości dla zdobycia *arete* (*ibidem*, s. 25, 27, 33).
15. *Ibidem*, s. 32.
16. *Ibidem*, s. 31.
17. *Ibidem*, s. 25 i n., 34-35.
18. Na marginesie można dodać, że tradycja walki ma miejsce także w późniejszej epoce, gdy Solon pisze prawo dla Ateńczyków (obywatel nie może unikać zajęcia stanowiska i walki, także zbrojnej).
19. D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 18, 21, 23.
20. G. Szulczewski, *op. cit.*, s. 182 i powoł.: P. Hadot, *Czym jest filozofia starożytna?*, tłum. P. Domański, Fundacja Aletheia, Warszawa 2000, s. 42 i 43; B. Snell, *Die Ausdrücke für den Begriff des Wissens in der vorplatonischen Philosophie*, Weidmannsche Buchhandlung, Berlin 1924, s. 5
21. D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 24.
22. D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 35.
23. Należy tu dodać, że homerycki opis ludzkiej realizacji woli bóstw i jego interpretacja dotycząca zawiści bogów w stosunku do ludzkiego szczęścia przeszła do późniejszego greckiego dramatu, jak i etyki (D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 39-41).
24. *Ibidem*, s. 44-45, 47.
25. Poczucie słuszności wyraża się w „przestrzeganiu ustalonych norm, właściwej miary, a zatem i woli przeznaczenia”, ale też z tego poczucia wypływa oddawanie należnej czci bogom i szacunek żywiony w stosunku do ludzi. *Nemesis* pojawia się m.in. jako odnośzona do „odwetu dokonywanego wskutek słusznego gniewu”. W tym podejściu *nemesis* interpretowana jest zarówno jako słuszny gniew ale i spowodowana przez ten gniew odpowiedź (działanie) człowieka. Zakres pojęcia *nemesis* od takiego, które jest powiązane z uczuciami i reakcjami człowieka, później rozszerzyło się na myśl o boskim gniewie i odpłacie. W boskim panteonie później pojawiła się też *Nemesis* jako córka Nocy (Hezjod). *Ibidem*, s. 47.
26. Morderstwo to jest odwetem za poświęcenie przez Agamemnona ich córki (Ifigenii) na rzecz pomyślności wojny trojańskiej. Dla Klitajmestry Ifigenia była ponad wyprawę jej męża.
27. C. Karkowski, *op. cit.*, s. 146-147, 191-192 i powołana na s. 184 praca M. Wooda, *In Search of the Trojan War*, University of California Press 1998.
28. J. V. Luce, *op. cit.*, s. 223-224.
29. W sztuce dramatycznej Ajschylosa *Persowie* wina Kserksesa została ujęta w postaci działania samowoli (*hybris*) władcy, która gwałciła boskie prawo. Zatem „*theos* wymierza karę za *hybris*”. W przypadku Kserksesa jego *hybris* opisywano bardziej jako szaleństwo niż grzech. Natomiast *hybris* armii określono jako grzech. Oba przypadki ma cechować aroganckie podejście, a mianowicie, że „wszystko wolno, że nie istnieją żadne granice. Tenże *theos* czy też *theoi* karzą za jedno i za drugie” (Kitto). Odpowiedzialność za *hybris* wynika z tego, że jest naruszeniem prawa. Później w dziełach Sofoklesa zapanowanie nad *hybris* okazało się możliwe dzięki *logosowi* (G. Szulczewski, *op. cit.*, s. 80 i cyt.: H.D.F. Kitto, *Tragedia grecka. Studium literackie*, tłum. J. Margański, Wydawnictwo Homini, Kraków 2003, s. 138, 48).
30. O. Murray, *op. cit.*, s. 79-82.
31. D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 11.
32. D. Dembińska-Siury, *op. cit.*, s. 49-50.

33. J. Gajda, *op. cit.*, s. 9.
34. O. Murray, *op. cit.*, s. 82-83.
35. W. Steffen, *Wstęp*, w: Hezjod, *Prace i dzie*, tł. W. Steffen, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1952, s. VII.
36. O. Murray, *op. cit.*, s. 84-85.

ZAGRANICA

Sylwester Szafarz

Stare i nowe Szlaki Jedwabne

Doświadczenia historyczne

Są doświadczenia historyczne, mające kluczowe znaczenie dla rozwoju naszej cywilizacji, które nie budzą poważniejszych wątpliwości, rozbieżności merytorycznych i interpretacyjnych. Do takich dokonań należy, bez wątpienia, epopeja i dorobek starożytnych i średniowiecznych szlaków jedwabnych. Chcę napisać o nich pokrótce w kontekście obecnych rozważań teoretycznych, programowych i działań praktycznych odnoszących się do najnowszych chińskich propozycji ws. nowych szlaków jedwabnych XXI wieku oraz towarzyszących im pasów gospodarczych. W tych przypadkach, historia powtarza się co do joty bez najmniejszych wątpliwości. Jest to, naturalnie, powtórka w znacznie większej skali i z wykorzystaniem nowoczesnych środków i możliwości (np. ogromne kontenerowce i pociągi towarowe zamiast karawan wielbłądzych i zaprzęgów konnych). Ale istota i sedno sprawy pozostaje niezmienione w tamtym i we współczesnym nam przypadku.

Z reguły, każdy człowiek ma swoje indywidualne i oryginalne spojrzenia na historię. Dlatego też owe spojrzenia, oceny i wnioski z niej wynikające są niezwykle urozmaicone i różnicowane a nierzadko sprzeczne. Jednak zdecydowana większość ludzkości jest chyba zgodna, co do jednego: historia *magistra vitae est* (historia jest nauczycielką życia). Natomiast zasadnicze rozbieżności pojawiają się zazwyczaj przy próbach oceny dobrych i niedobrych wydarzeń historycznych. Kiedy dyskusja dotyczy dobrych dokonań, np. wielkich odkryć i wynalazków, to jedni mówią, że historia się powtarza, a inni – że nie. Podobnie w przypadku niedobrych wydarzeń, jak np. wojny, klęski żywiołowe, patologie czy epidemie. Jedni twierdzą, że historia się powtarza w takich razach, zaś inni, że nie, a przecież wojny mają tylko tyle wspólnego między sobą, że noszą taką samą nazwę (wojna) i że mieszczą się w tej samej kategorii poczynań ludzkich, ale każda z wojen jest, w gruncie rzeczy, odmienna. Ogromne zamieszanie merytoryczne i intelektualne oraz różnice interpretacyjne tego rodzaju można by mnożyć w nieskończoność.

Już sama nazwa instytucji (stare szlaki jedwabne) wskazuje dobitnie, jaki towar był najpierw transportowany na nich. Rzeczywiście, do VII wieku Chiny miały monopol na produkcję jedwabiu i skrzętnie ukrywały tę tajemnicę. Została jednak ona wykradziona wówczas przez emisariuszy zachodnich i monopol się zakończył. Ale szlak służył jeszcze długo do transportowania jedwabiu i wielu innych towarów (o czym poniżej) oraz dóbr niematerialnych (kulturalnych, religijnych, naukowych, obyczajowych itp.) w obie strony – ze Wschodu na Zachód i z Zachodu na Wschód. W związku z tym, jego rola gospodarcza, cywilizacyjna i kulturotwórcza była (i jest) przeogromna oraz nie ma porównania z niczym innym w całych dziejach ludzkości. Naturalnie, Szlak Jedwabny był „wynalazkiem” chińskim. Funkcjonował on od III wieku p.n.e. do XVII wieku n.e. Ale, gwoli ścisłości naukowej i prawdy historycznej, „wynalazek” ten miał swego prekursora, a mianowicie, tzw. perską drogę królewską, o długości 2.900 km, która funkcjonowała w latach 500 – 330 p.n.e., za panowania dynastii Achemenidów i łączyła miasto Susa (Północna Persja) z miastem Smyrna (ob. Izmir) w Azji Mniejszej, nad Morzem Egejskim (ob. Turcja). Stary Szlak Jedwabny przebiegał wzdłuż (albo obok) tej drogi.

W istocie rzeczy, chodzi przy tym nie o jeden szlak (w rozumieniu – droga) lecz o całą dość gęstą sieć lądowych i morskich połączeń komunikacyjnych i transportowych o łącznej długości ponad 12.000 km, łączących Chiny z Indiami, z Indochinami, z Azją Środkową, z Bliskim Wschodem, z Afryką Wschodnią i z Europą.

Początek głównej nitki Szlaku datuje się od czasów panowania dynastii Han w Chinach (207 r. p.n.e. – 220 r. n.e.). Jego punktem wyjścia było miasto Chang'an w Środkowych Chinach (obecnie Xi'an, znane z wykopalisk armii terakotowej cesarza Qin Huandi) oraz niektóre porty na wschodnim wybrzeżu Chin. Na swoim odcinku, Chińczycy wydłużyli nawet wielki mur chiński, żeby zapewnić odpowiednią ochronę Szlaku. Mniej więcej od 220 r. p.n.e. datują się pierwsze kontakty Chin z Zachodem.

Można wyróżnić trzy główne odgałęzienia Szlaku. Dwa spośród nich omijały pustynię Taklamakan i płaskowyż tybetański: północne – poprzez Chiny (prowincje Gansu i Shanxi, po czym spotykały się one w okolicach miasta Kaszgar, w Sinkiangu), Mongolię i dalej, w kierunku Azji Środkowej i Bliskiego Wschodu, oraz południowe – zmierzające do Indii, Persji, Arabii, także do Bliskiego Wschodu (Liban, Syria, Palestyna), a potem – statkami – do Grecji, Rzymu, Afryki Północnej, a nawet do Portugalii i Szwecji. Trzecie odgałęzienie przebiegało na Północ od gór Tianszan i wiodło poprzez Turpan, Talgar i Almaty (ob. Kazachstan). Jedna z odnóg zmierzała dalej na Zachód, poprzez dolinę Fergany i pustynię Karakorum, a jeszcze inna szła w stronę Morza Aralskiego, Kaspijskiego i Czarnego.

Karawany podążały głównie po stepach, na których rosła trawa i występowała obfitość wody. W ten sposób nie deptały one zasiewów na polach uprawnych. Na Szlaku powstawały liczne miasta, z których najbardziej znane to: Samarkanda, Buchara i in. Oazy, karawanseraje i miasta azjatyckie odegrały ogromną rolę w rozwoju starego Szlaku Jedwabnego. W samych tylko Indiach zachowało się 12 zabytkowych miast (w 7 prowincjach) z okresu świetności Szlaku, obje-

tych patronatem UNESCO – jako dziedzictwo światowe. Od 22 czerwca 2014 r., pod patronatem tym znajduje się 5.000 km Szlaku z dziesiątkami unikalnych zabytków – poczynając od Środkowych Chin aż do regionu Zhetsy w Azji Środkowej.

Natomiast starożytny morski Szlak Jedwabny łączył porty Południowo-Wschodnich Chin z Indochinami, z Jawą i in. Statki handlowe docierały do Filipin, do Brunei, do Syjamu, do Malakki, do Indii, opływały ten subkontynent, zmierzając do Persji i do Arabii, a następnie do Rogu Afrykańskiego, szczególnie do Somalii. Pływały też dalej poprzez Morze Czerwone (nie było jeszcze Kanału Sueskiego), w związku z czym towary przewożono (kawałek) drogami lądowymi do Nilu a następnie – barkami i statkami do państw Morza Śródziemnego. W owych czasach, najslynniejszym żeglarzem (Kolumbem chińskim) był admirał Zheng He (1371 r. – 1435 r.) , w okresie wczesnej dynastii Ming. Na polecenie cesarza Yongle i Xuande odbył on 7 podróży na „morza zachodnie” (Ocean Indyjski i dalej), m.in., wokół Wschodnich i Południowych Chin, Indochin, Indii i Arabii. Dotarł także na Cejlon (ob. Sri Lanka), do Cieśniny Ormuz, do Mekki, Adenu i Mogadiszu.

W czasach starożytnych, głównymi kupcami korzystającymi ze Szlaku byli Chińczycy, Hindusi, Persowie, Somalijczycy, Syryjczycy, Ormianie, Grecy, Rzymianie i Baktrianie [1], a następnie Arabowie – od czasów powstania i ekspansji islamu. Historia nie zna przypadku, aby któryś z owych kupców przemierzył cały Szlak. Ale znane są przykłady wybitnych podróżników azjatyckich i europejskich, którzy wnieśli cenny wkład do lepszego poznania i zrozumienia pomiędzy Wschodem i Zachodem.

Najpierw kilka słów o Chińczyku Zhang Qian (data urodzenia? – zm.: 114 r. p.n.e). Jako wysłannik cesarza Wudi z dynastii Han, odbył on liczne podróże, wzdłuż Szlaku Jedwabnego, do Sinkiangu i po Azji Środkowej, w latach 138 – 126 p.n.e. Dostarczył na dwór cesarski wiele cennych informacji i przywiózł do Chin próbki nieznanych tam jeszcze towarów, warzyw, roślin uprawnych itp. W tym sensie, może on być traktowany jako jeden z prekursorów handlu międzynarodowego.

Niemniej cenny wkład do analizowanego dzieła wniósł Marco Polo (1254 r. – 1324 r.), wenecki kupiec i podróżnik. Przemierzył on Szlak Jedwabny i dotarł do Chin karawaną. W sumie, jego podróże trwały tam 24 lata. Spotkał się z ówczesnym władcą, Kubilaj Chanem, od którego otrzymał wiele zleceń (jak byśmy dziś powiedzieli), zachwycał się, w szczególności, pięknem miasta Hangzhou i ogromem wielkiego kanału łączącego je z Pekinem (do dziś). Chińskie impresje Marco Polo zostały ujęte w postaci dzieła pt.: „Opisanie świata”, które stanowiło oryginalne i unikalne, na owe czasy, źródło wiedzy o Chinach dla Włochów i dla innych Europejczyków.

Zresztą, Szlak Jedwabny miał swoje przedłużenie europejskie w postaci Szlaku Bursztynowego – od Wenecji do Sankt Petersburga, poprzez Lubljanę, Sopron, Bratysławę, Brno, Kłodzko, Wrocław, Biskupin, Malbork, Gdańsk, Kaliningrad (Jantarny), Nidę, Palangę, Rygę i Estonię. Od XVI wieku p.n.e. aż do końca imperium rzymskiego w V wieku, bursztyn znad Bałtyku był eksportowany w region Morza Śródziemnego i dalej na Wschód – Szlakiem Jedwabnym.

Nic przeto dziwnego, że bursztyn cieszy się nadal dużą popularnością wśród Chińczyków i innych Azjatów. Co ciekawe, cenne okazy bursztynu znajdują się w naszyjniku egipskiego faraona Tutanchamona (1333 r. – 1324 r. p.n.e.) i w greckiej świątyni Apollo w Delfach. Niemalże bursztynu trafiło także do Syrii oraz do Myken.

Jak wspominałem, Szlakiem Jedwabnym przewożono dość szeroki „asortyment towarów”. Ze Wschodu: poza jedwabiem, papier, (proch?), herbata, rękodzieła, przyprawy, porcelana, metale, żywność, kamienie szlachetne, wyroby garncarskie i wiele innych. Z Zachodu: bursztyn, nefryt (jadeit), złoto, żywność, wino, winogrona, rośliny uprawne, wyroby jubilerskie i in. Towary transportowano zazwyczaj od jednego punktu postojowego do drugiego i tak przekazywano je aż do punktu docelowego w obie strony. W ten sposób, po upływie znacznego czasu, natrafiono na pozostałości jedwabiu chińskiego sprzed 2.000 lat w Egipcie!

Istniała odrębna nitka Szlaku Jedwabnego, zwana Szlakiem Herbaciano-Konnym (Tea-Horse Road). Prowadziła ona z Yunnanu, poprzez Syczuan – do Bengalu i do Birmy. Głównymi przedmiotami handlu wymiennego była herbata (m.in. słynna Puher-cza prasowana w kostkach), sól oraz małe, ale silne koniki tybetańskie. Faktem jest jednocześnie, iż Szlakiem Jedwabnym przewożono również niewolników na Zachód i że stanowił on znakomity kanał przepływu dóbr niematerialnych: cywilizacyjnych, kulturalnych, naukowych, religijnych i in. Tą drogą kontaktowały się filozofie, astronomie, medycyny i religie. Np. tzw. greko-buddyizm doprowadził do powstania buddyizmu Zen w Azji.

Znaczą rolę w rozwoju Szlaku Jedwabnego odegrały kolejne wielkie cywilizacje starożytności. Weźmy najpierw pod uwagę imperium Scytów [3], rozciągające się, u szczytu swej potęgi, od niziny węgierskiej, Karpat, Krymu i dolnej Wołgi aż po przełęcz Kansu w Chinach. Scytowie sprzyjali, w szczególności, rozwojowi powiązań pomiędzy Bliskim Wschodem, Północnymi Indiami i Pendżabem. Jeszcze większy wkład do rozwoju instytucji Szlaku Jedwabnego wniosła cywilizacja helleńska. Było to związane najpierw z wyprawami Aleksandra Macedońskiego ku obszarom Azji Środkowej. Założył on, m.in., miasto pod nazwą Oddalona Aleksandria, co stanowiło ważny etap w ewolucji Szlaku Jedwabnego, szczególnie jego północnego odgałęzienia. Poczynając od roku 330 p.n.e., Grecy przebywali, łącznie, na obszarach Azji Środkowej ponad 300 lat. Dotarli aż do Kaszgaru w Sinkiangu (zwanym również chińskim/wschodnim Turkiestanem).

Po Grekach, również imperium rzymskie było ważnym importerem wyrobów chińskich i generatorem innych kontaktów Europy z Chinami. Jednakże upadek tego imperium, zapoczątkowany w V wieku, oraz ekspansja islamu (od VII wieku), szczególnie Turcji (od X wieku), na obszarach Azji Środkowej, zahamowała w znacznej mierze rozwój wymiany handlowej i innej za pośrednictwem Szlaku Jedwabnego. Dalsze zmniejszenie jego znaczenia międzykontynentalnego i regionalnego nastąpiło w wyniku wielkich odkryć geograficznych z przełomu XV i XVI wieku oraz rozwoju transportu morskiego, który był (i jest) znacznie tańszy od lądowego. Niemniej jednak, niektóre odcinki Szlaku funkcjonowały aż do początku XX wieku, jak np. pomiędzy Chinami, Tadży-

kistanem, Afganistanem, Pakistanem i Indiami. Instytucja Szlaku zdała dobrze egzamin również w czasie II wojny światowej na Dalekim Wschodzie i agresji japońskiej przeciwko Chinom. Wówczas to Japonia okupowała wszystkie porty morskie Wschodnich Chin. Żeby zapewnić sobie niezbędne dostawy w wojnie wyzwoleniczej z Japończykami, kierownictwo Kuomintangu zwróciło się do Stalina z prośbą o zbudowanie przez ZSRR drogi lądowej (o długości ponad 3.000 km) wzdłuż północnego odcinka Szlaku. Odegrała ona wielką rolę strategiczno-zaopatrzeniową i przyczyniła się do pokonania militarystów japońskich.

Powyżej podałem jedynie wybrane i najważniejsze przykłady z całej ewolucji starego Szlaku Jedwabnego, liczącej dobrze ponad 2.000 lat. Świadczą one jednoznacznie o jego kardynalnym i nieprzemijającym znaczeniu, obok innych wielkich dokonań historycznych, dla rozwoju naszej cywilizacji w czasach starożytnych, średniowiecznych i nowożytnych.

Bez wątpienia, stary Szlak jest nie tylko pierwowzorem dla nowych Szlaków XXI wieku, ale także bezprecedensowym zwiastunem przemian jakościowych w świecie, jakie miały się dokonać w okresie od wojen napoleońskich do dziś i które określamy mianem kolejnych „pięciu globalizacji” – nie zawsze udanych i pomyślnych dla poszczególnych obywateli i dla całych społeczności zamieszkujących Ziemię, ale – bez wątpienia – jak najbardziej zyskowych dla najbogatszych! Stąd też wynika moje przeświadczenie, że nowe Szlaki Jedwabne sprzyjać będą odwróceniu tych proporcji i stymulowaniu budowy świata sprawiedliwego oraz nowego zrównoważonego i pokojowego ładu międzynarodowego na naszej umęczonej planecie.

Nowe Szlaki

Niedawne inicjatywy przywódców chińskich ws. nowych Szlaków Jedwabnych (lądowych i morskich) XXI wieku oraz towarzyszących im pasów ekonomicznych są obecnie przedmiotem intensywnych poczynań władz i odpowiednich instytucji ChRL oraz konsultacji z przedstawicielami licznych krajów całego świata. W ostatnim okresie najwyżsi przywódcy chińscy odwiedzili ponad 20 krajów i prowadzili rozmowy także na omawiane tematy. Prezydent Xi Jinping odbył 8 podróży zagranicznych w 2015 r. Inicjatywy chińskie określa się w skrócie mianem OBOR (z angielskiego: One Belt One Road), czyli Jeden Pas i Jeden Szlak. W tym przypadku, historia powtarza się bez najmniejszych wątpliwości. Z tym wszakże, że istota Szlaków pozostaje wprawdzie niezmienną, ale walory jakościowe nowych Szlaków oraz ich zasięg różnią się zasadniczo od ich starożytnych protoplastów. Tym, mianowicie, że nowe Szlaki mieć będą, primo, charakter globalny a nie tylko regionalny i eurazjatycki oraz, secundo, będą one dostosowane do obecnych realiów i do przyszłych potrzeb Chin i pozostałych krajów – z uwzględnieniem konieczności innowacyjnej przebudowy świata oraz z wykorzystaniem współczesnych możliwości i instrumentów wynikających głównie z imponującego postępu naukowo-technicznego.

Bardzo bogatą już problematykę OBOR chciałbym przedstawić w sposób jak najbardziej metodyczny, usystematyzowany, zwięzły i zrozumiały. Zaczniemy, przeto, od aspektów chronologicznych, które stanowią już pierwsze kamie-

nie milowe na drodze prowadzącej do realizacji wytyczonego celu:

- wrzesień 2013 r.: prezydent Xi Jinping przedstawił, po raz pierwszy, koncepcję OBOR podczas swej wizyty oficjalnej w Kazachstanie,
- październik 2013 r.: koncepcja ta została ponowiona i rozwinięta w czasie wizyty prezydenta Xi w Indonezji poprzez dodanie do niej propozycji ws. rozwoju współpracy Chiny – ASEAN, utworzenia morskiego Szlaku Jedwabnego XXI wieku oraz AIIB (Asian Infrastructure Investment Bank),
- listopad 2013 r.: w uchwale III Plenum XVIII KC KPCh wyeksponowano konieczność przyspieszenia prac zmierzających do tworzenia nowych Szlaków Jedwabnych,
- luty 2014 r.: podczas spotkania prezydentów Xi i Putina uzgodniono plany dotyczące utworzenia OBOR, a strona rosyjska wyraziła zgodę na dołączenie nowych Szlaków lądowych do istniejącej już rosyjskiej (eurazjatyckiej) linii kolejowej,
- marzec 2014 r.: premier Li Keqiang przedstawił propozycje utworzenia korytarzy ekonomicznych Chiny-Pakistan (w realizacji) oraz Bangladesz-Chiny-Indie-Myanmar,
- maj 2014 r.: zainaugurowano centrum logistyczne w porcie Lianyungang (prowincja Jiangu) zbudowane wspólnie przez Chiny i Kazachstan, kosztem 98 mln USD,
- listopad 2014 r.: prezydent Xi ogłosił utworzenie Funduszu Jedwabnych Szlaków („Silk Road Fund”) w wysokości 40 mld USD, marzec 2015 r.: Wang Yi, minister spraw zagranicznych ChRL zapewnił, że OBOR nie jest w niczym podobny do powojennego amerykańskiego planu Marshall’a, że nie stanowi on narzędzia geopolityki i wyrazu mentalności „zimnowojennej” lecz jest owocem kompleksowego podejścia do współpracy międzynarodowej („Product of Inclusive Cooperation”).

Kompleksowe założenia merytoryczne, ekonomiczne, strategiczne i programowe zostały przedstawione w publikacji Rady Państwa (Rządu) ChRL pt.: „Vision and Actions on Jointly Building Silk Road Economic Belt and 21st – Century Maritime Silk Road”, Pekin, marzec 2015 r. Publikacja ta jest do wglądu w Internecie, natomiast jej wersję polską, pt.: „Jedwabne Szlaki XXI wieku”, można uzyskać w Ambasadzie ChRL w Warszawie. Wśród najważniejszych spośród ww. założeń wymienić należy zgodność OBOR z Kartą Narodów Zjednoczonych oraz z zasadami pokojowego współistnienia i współpracy państw. Inicjatywa chińska jest otwarta dla wszystkich, nie tylko dla państw i społeczeństw, które miały historyczny związek ze starym Szlakiem Jedwabnym. Nowe Szlaki będą funkcjonować na zasadach wolnego rynku i wzajemnych korzyści. Priorytetami we współpracy pomiędzy ich uczestnikami będą: koordynacja poczynań politycznych, synchronizowanie planów i przedsięwzięć infrastrukturalnych, swobodna wymiana handlowa, integracja finansowa i współpraca pomiędzy społeczeństwami.

Naturalnie, nowe Szlaki mieć będą własne rozwiązania instytucjonalne i organizacyjne. Niemniej jednak, strona chińska proponuje ustanowienie forum „na szczycie” ws. OBOR oraz zakłada optymalne wykorzystanie w tym celu istniejących już organizacji i instytucji, takich, jak: Szanghajska Organiza-

cja Współpracy, BRICS, ASEAN+Chiny (tzw. 10+1), Asia-Pacific Economic Cooperation, Asia-Europe Meeting oraz wiele organizacji azjatyckich, mechanizmów współpracy Chin z państwami regionu Mekongu, krajami arabskimi i in. Pomocne w tych celach będą także rozmaite międzynarodowe fora, targi i wystawy gospodarcze oraz instytucje i imprezy kulturalne, jak np.: Boao Forum for Asia, China-ASEAN Expo, China-Eurasia Expo, CIFIT (China International Fair for Investment and Trade, w mieście Xiamen), China-Russia Expo oraz Silk Road International Culture Expo i in.

Jeśli zaś chodzi o dotychczasowe dokonania praktyczne w sferze realizacji ww. założeń programowych, to przede wszystkim, trzeba spojrzeć na główne wskaźniki statystyczne makro dotyczące współczesnej gospodarki chińskiej i jej rozmiarów globalnych. W tym świetle, zasadność, filozofia i logika nowych Szlaków wydaje się oczywista.

Niech więc przemówią najnowsze dane liczbowe:

- wartość PKB ChRL (według wskaźnika PPP – Purchasing Power Parity): 19,5 bln USD, czyli około 18% Światowego Produktu Brutto (PKB USA – 17,9 bln USD),

- wartość obrotów handlu zagranicznego: 3,8 bln USD (w tym: eksport: 2,22 bln USD, spadek o 1,1% w stosunku do roku 2014, import: 1,61 bln USD, spadek o 14,4%),

- wartość bezpośrednich inwestycji zagranicznych w Chinach, w 2014 r.: 119,6 mln USD (III miejsce w świecie, wzrost o 1,7% w stosunku do roku 2013),

- wartość inwestycji chińskich za granicą: 6,4 bln USD (przewidywany wzrost do 20 bln USD około roku 2020) [3],

- wartość rezerw walutowych: ponad 4 bln USD (suma ta może poważnie wzrosnąć w wyniku niedawnego uznania przez MFW juana chińskiego za międzynarodową walutę rozliczeniową i włączenia jej do koszyka pięciu najważniejszych walut świata).

Program OBOR obejmuje już 60 krajów i około 3 mld ludności świata. Na kraje te przypada około 30% obrotów chińskiego handlu zagranicznego. Program ten jest uznawany przez niektórych polityków, ekonomistów i politologów za największe przedsięwzięcie globalne od czasów planu Marshall'a oraz za chińską odpowiedź na amerykańskie plany utworzenia Trans Pacific Partnership (TPP) bez udziału Chin. Chińczycy protestują zdecydowanie przeciwko takim porównaniom. Natomiast, nowe Szlaki Jedwabne udoskonalą i usprawnią połączenia (Connectivity) Chin z resztą świata (i vice versa), szczególnie w ramach kontynentu eurazjatyckiego. Intensywne prace trwają już na 900 obiektach Szlaku, kosztem 890 mld USD. Inwestycje te będą szczególnie korzystne dla krajów biednych, ale zapewnią one także pracę i możliwości kooperacji wielu firmom zachodnim, japońskim czy australijskim. Strategię chińską ws. nowych Szlaków określa się obrazowo (i poetycko) jako „sznur pereł”, czyli szlaki jako sznury a na nich perły w postaci głównych ośrodków (portów, stacji kolejowych, centrów logistycznych itp.), takich współczesnych karawanserajów!

Jednocześnie, władze Państwa Środka podejmują aktywne starania celem dostosowania prowincji i wielkich miast chińskich do wymagań nowych Szlaków Jedwabnych. Na te cele przeznaczono już 230 mld USD. Wiodącą rolę w tym za-

kresie wyznaczono, m.in.: północno-zachodniej prowincji Sinkiang (Xinjiang), stosunkowo najmniej rozwiniętej pod względem gospodarczym, ale położonej strategicznie i posiadającej bardzo bogate zasoby naturalne (np. gazu, ropy naftowej, 22% zasobów ogólnochińskich oraz węgla – 40%). Prowincja ta współpracować będzie, w szczególności, z sąsiadami północno-zachodnimi i północno-wschodnimi Chin, prowincja Mongolia Wewnętrzna – z Rosją i z Mongolią, a prowincje Heilongjiang, Jilin i Liaoning – z rosyjskim Dalekim Wschodem, prowincje Guangxi i Yunnan – z sąsiednimi państwami ASEAN itp.

Podobną rolę wyznacza się też wielkim miastom chińskim, szczególnie Szanghajowi, w którym funkcjonuje już pilotażowa specjalna strefa ekonomiczna oraz: Pekinowi, Tianjin, Ningbo, Guangzhou (Kanton), Xiamen, Shenzhen, Qingdao, Dalian, Fuzhou, Haikou i Sanya, a także Xi'an (to bardzo symboliczne z uwagi na jego wspaniałe tradycje w ramach starego Szlaku Jedwabnego), Lanzhou in. W tych programach duże znaczenie przywiązuje się także do rozwijania współpracy z Hongkongiem, z Makao i z Tajwanem.

Głębszego zastanowienia wymagają uwarunkowania, względy i przyczyny makro, które skłoniły kierownictwo chińskie do podjęcia decyzji inwestycyjnych ws. nowych Szlaków, których realizacja będzie czymś absolutnie wyjątkowym w dziejach świata. Najprostszym i najbardziej oczywistym wytłumaczeniem tego jest fakt, iż rozwój międzynarodowej współpracy gospodarczej i handlowej wymaga nowoczesnej infrastruktury transportowej i komunikacyjnej dla przewożenia ludzi i towarów oraz dla przekazywania informacji. Ww. decyzje pozostają też, niewątpliwie, w ścisłym związku z obecnym nowym etapem polityki reform i otwarcia ChRL na świat, realizowanej z powodzeniem od roku 1978 i doskonałej od roku 2012. Ponadto, analizowane plany służyc będą modernizacji i dynamizowaniu rozwoju gospodarczego Chin, Eurazji i całego świata, tworząc nowe miejsca pracy, zwiększając potencjał produkcyjny oraz rozszerzając ramy kooperacji międzynarodowej. Tym bardziej, że program ten obejmuje nie tylko szlaki lądowe i morskie, ale również rurociągi, elektryczne linie przesyłowe, kanały i środki łączności, nawigację satelitarną i najnowsze technologie oraz towarzyszące im obiekty infrastrukturalne i gospodarcze, m.in. 20 transgranicznych specjalnych stref ekonomicznych (SSE). Do zestawu tego dodałbym jeszcze propozycję rozbudowy lotniczych Szlaków Jedwabnych pomiędzy zainteresowanymi państwami.

Nowe Szlaki służyc będą także realizacji zamiarów Chin i ich sojuszników, szczególnie z grona BRICS, Szanghajskiej Organizacji Współpracy i ASEAN, zmierzających do jakościowej przebudowy świata na nowych sprawiedliwych i zrównoważonych zasadach oraz do ustanowienia wielobiegunowego układu sił globalnych i nowego ładu międzynarodowego. Promotorzy, uczestnicy i zwolennicy nowych Szlaków mają, nadto, głęboką świadomość strat i spustoszenia, jakie wywołuje II globalny kryzys ekonomiczno-finansowy w gospodarkach poszczególnych krajów, regionów i kontynentów oraz w całym gospodarstwie światowym. Dlatego też, zamierzone wielkie inwestycje infrastrukturalne na wielu kontynentach, regionach, morzach i oceanach przynosić będą cenne owoce antykryzysowe służące położeniu kresu obecnej zapaści ekonomicznej i finansowej (np. zadłużenie!) na świecie, wywołanej przez skrajnych neoliberal-

łów amerykańskich oraz niedopuszczeniu do petryfikacji czy też do recydywy kryzysowej. Słowem, urzeczywistnienie koncepcji nowych Szlaków Jedwabnych stać się może potężną siłą motoryczną rewitalizacji, uzdrowienia i rozwoju całej naszej cywilizacji.

Strona chińska koncentruje swoje wysiłki w analizowanej dziedzinie na priorytetowych kierunkach, którymi są: Azja, Europa i Afryka, ale nie tylko. Znaczącym przedsięwzięciem będzie budowa połączeń drogowych między Chinami a Myanmar. Łatwo się domyśleć, że chodzi, m.in. o ułatwienie dotarcia lądowego do strategicznie ważnej Cieśniny Malakka, przez którą przepływa około 75% importu ropy naftowej do Chin. Czołowe miejsce w tym kontekście zajmują, rzecz oczywista, państwa Azji Środkowej, podobnie jak w przypadku starego Szlaku Jedwabnego. Wartość obrotów handlowych Chin z tymi państwami wyniosła 60 mld USD w roku 2014.

Jeśli chodzi o połączenia lądowe (kolejowe i drogowo), to – na kontynencie eurazjatyckim – ich główna trasa północna przebiegałaby następująco: Pekin – Ułan Bataar – Nowosybirsk – Bilkian (tu spotkanie z linią południową) i dalej już wspólnie w kierunku zachodnim: Kazań – Moskwa – Warszawa – Duisburg – Francja – Madryt. Linia południowa: Yiwu (wschodnie wybrzeże Chin, 300 km na południe od Szanghaju) – Chengdu (istnieje już jego połączenie kolejowe z Łodzią[4]) – Chongching – Xi'an – Lanzhou – Urumqi – Khorgas – Bilkian (tu połączenie z linią północną). Działająca już linia kolejowa: Yiwu – Madryt (nowy Szlak Jedwabny) jest najdłuższym połączeniem kolejowym na świecie (ponad 10.000 km, prawie 800 km więcej niż magistrala transsyberyjska, podróż trwa 21 dni). Od tej linii przewidziane są odgałęzienia: Biszkek, Duszanbe, Teheran, Istambuł, Sankt Petersburg, Praga, Hamburg i Rotterdam. Na konferencji premierów G16+1 (Chiny + Europa Środkowo-Wschodnia), Belgrad, grudzień 2014, uzgodniono zbudowanie nowoczesnej linii kolejowej na trasie: Pireus – Skopje – Belgrad – Budapeszt). Na podkreślenie zasługuje fakt, iż w kolejnictwie chińskim i w budowie autostrad dokonał się ostatnio ogromny postęp rozwojowy i modernizacyjny, jakościowo i ilościowo. Dlatego też, zainteresowane kraje leżące wzdłuż nowego Szlaku Jedwabnego i Pasa Ekonomicznego skorzystają z najnowocześniejszych chińskich technologii, know-how, sprzętu i taboru w tej branży.

Chińczycy uczestniczą też w budowie ważnych połączeń lądowych, szczególnie kolejowych, w Afryce Wschodniej i w innych regionach Afryki. Mają tam już wiele wcześniejszych imponujących dokonań w tej mierze. Np. sławetna linia kolejowa Tanzam (Tanzania-Zambia) łącząca port Dar es Salaam w Tanzanii z miastem Kapiri Mposhi, w środkowej Zambii. Ten kraj był odcięty od morza ze względu na swe położenie geograficzne, a dzięki ww. linii uzyskał taki dostęp. Jej budowa trwała od roku 1968 do roku 1976. Długość: 1.860 km. Chiński wkład finansowy: 400 mln USD.

Jeszcze bardziej imponująco wyglądają chińskie plany rozbudowy sieci kolejowej w obydwu Amerykach. Zaczniemy od Południowej: główne przedsięwzięcie infrastrukturalne nazywa się następująco: kolej łącząca dwa oceany (Twin Ocean Railway) lub transamerykańskie przedsięwzięcie kolejowe (Trans American Railway Project). Chiny zamierzają zainwestować w to około 10 mld USD.

Linia (4.400 km) połączy Porto Do Acu (niedaleko od Rio de Janeiro), nad Atlantykiem, poprzez Mato Grosso, Capinorte (tereny rolniczo-hodowlane), Corrado (region tropikalny z unikalnymi ekosystemami), Andy aż do jednego z portów peruwiańskich, nad Pacyfikiem (Puerto Ilo, Callao, Mollendo lub Llo Arica?). Linia ta mieć będzie wielkie znaczenie dla usprawnienia importu chińskiego z Brazylii, o wartości 41 mld USD (maszyny, elektronika, samoloty, żelazo, stal, rudy metali, wołowina, artykuły rolno-spożywcze, kawa, cukier i in.), z Peru, o wartości 7 mld USD (miedź, pasze, ryby, owoce morza, owoce i in.), ale także z Wenezueli (ropa naftowa) i z Chile (miedź).

Rozważane są również możliwości udziału ChRL w modernizacji sieci kolejowej w USA (chińskie szybkie pociągi itp.). Zresztą, Chińczycy mają w tym zakresie niemałe doświadczenia i dokonania z przeszłości. Mianowicie, ponad 11.000 obywateli Państwa Środka uczestniczyło w budowie First Transcontinental Railroad, łączącej atlantyckie wybrzeże USA z wybrzeżem Pacyfiku i z Kalifornią (początek budowy – 1863 r.). Ów boom kolejowy w Stanach związany był ze sławetną „gorączką złota” (lata 60. XIX wieku).

Wracając do Azji, rozbudowie powiązań komunikacyjnych i transportowych towarzyszy tam jednocześnie tworzenie tzw. korytarzy ekonomicznych („Economic Corridors”), czyli owych pasów gospodarczych stanowiących ważny element programu OBOR. Najbardziej zaawansowane są prace nad korytarzem chińsko-pakistańskim: od miasta Kashgar (ważny ośrodek-oaza na starym Jedwabnym Szlaku, prowincja Sinkiang) do portu Gwadar (nad Morzem Arabskim, prowincja Beludżystan). Długość: 2.442 km, koszt 46 mld USD, z czego 20% pokryje strona pakistańska. Drugi potężny korytarz budowany jest pomiędzy Indiami, Bangladesz, Myanmar i Chinami, na trasie: Kolkata – Dhaka – Mandalay – Kunming (stolica prowincji Yunnan). Długość korytarza: 3.000 km linii kolejowej (szybkie pociągi), z czego 2.800 km już istnieje. De facto korytarz pomyślany jest jako sieć połączeń kolejowych, drogowych (autostrady), wodnych i lotniczych oraz jako obszar wolnego handlu.

I wreszcie, jeśli chodzi o nowe Morskie Szlaki Jedwabne XXI wieku, to do programu tego włączone zostały wszystkie główne porty chińskie: Dalian, Qindao, Szanghaj, Fuzhou, Guangzhou (Kanton) i Haikou (na wyspie Hainan). Stamtąd Szlaki morskie mają prowadzić do: Hanoi, Kuala Lumpur, Dżakarty, Kolombo, Kalkuty, Nairobi, Aten (Pireus), Wenecji i dalej (łędem) do Rotterdamu. Chiny podjęły w ostatnich latach poważne starania celem ochrony i antypirackiego patrolowania szlaków morskich, np. w rejonie Morza Południowo-Chińskiego, Cieśniny Malakka, Zatoki Adeńskiej i u wybrzeży Somalii. Ponadto, prywatna firma z Hongkongu (Hong Kong Nicaragua Canal Development Group), której właścicielem jest Wang Jing, znany chiński miliarder, interesuje się możliwością budowy „Nicaragua Grand Canal”, który – podobnie jak Kanał Panamski – ma połączyć Atlantyk (od portu Brito, poprzez jezioro Nicaragua) z Pacyfikiem (do portu Punta Gorda/Bluefields). Kanał przebiegałby na północ od granicy nikaraguańsko-kostarykańskiej. Pozwolenie na budowę już jest i prace nad tą wielką inwestycją miały się rozpocząć jeszcze w 2015 r., ale zostały przeniesione na II połowę 2016 r. z powodu kłopotów giełdowych prezesa Wangga. Koszt inwestycji: około 50 mld USD.

Konkluzje

Przyznaję, iż powyższe skrótowe przeanalizowanie, na kilkunastu stronach, bezprecedensowego i bogatego chińskiego programu inwestycji infrastrukturalnych w świecie, w ramach nowych Szlaków Jedwabnych XXI wieku, jest zadaniem dość karkołomnym pod względem merytorycznym, formalnym i intelektualnym. Takiego przedsięwzięcia jeszcze nie było w całej historii gospodarczej świata. Wyrażam wszakże cichą nadzieję, iż niniejsza „syntetyczna analiza” osiągnie swój cel i skutek, zapewniając maksymalnie kompleksowy obraz tego, co Chiny zamierzają zrobić wspólnie ze swymi licznymi partnerami w tym dziele. Bez wątplenia, przywódcy i specjaliści chińscy dobrze rozważyli wszelkie argumenty „za” i „przeciw” tego olbrzymiego przedsięwzięcia, które przecież jest nadal otwarte i może być uzupełniane i rozszerzane.

Gdyby argumenty „przeciw” przeważały nad argumentami „za”, to zapewne Chiny i inne kraje partnerskie nie podejmowałyby tego wyzwania. Jego pomyślna realizacja zmieni na korzyść oblicze świata, szczególnie w kategoriach gospodarczo-społecznych, pozwoli wyprowadzić naszą cywilizację z zapaści kryzysowej oraz skierować ją na drogę zrównoważonego, sprawiedliwego i wzajemnie korzystnego rozwoju. Tak też, po części, było w przypadku starego Szlaku Jedwabnego.

Będziemy, przeto, obserwowali z dużym zainteresowaniem postępy w realizacji programu nowych Jedwabnych Szlaków XXI wieku. Bez wątplenia, zadanie jest ogromnie trudne i odpowiedzialne, biorąc pod uwagę obecną bardzo skomplikowaną sytuację międzynarodową, istniejące przeszkody i zagrożenia oraz rozliczne zjawiska patologiczne i negatywne. Inicjatywa chińska każe jednak myśleć o przyszłości świata w kategoriach pozytywnych i konstruktywnych. To budzi uzasadnione nadzieje. Realizm nakazuje jednak liczyć się z niedającymi się przewidzieć teraz przeciwnościami losu. Niektóre z nich mogą wynikać z tzw. „syndromu cesarsko-rzymskiego, napoleońskiego i in.”, kiedy to ówczesni przywódcy i społeczeństwa „poszły na świat” zbyt szerokim frontem i zbyt daleko od źródeł zaopatrzenia oraz – w konsekwencji – nie zdołały utrzymać tego frontu.

Ze wstępnych analiz wynika jednak, iż, w przypadku nowych Jedwabnych Szlaków XXI wieku, ów front globalny ma optymalne rozmiary i choć wymagać on będzie bilionów dolarów oraz genialnego pomysłu i ogromnego wysiłku ludzkiego, to ww. „syndromy” nie zagrażają mu.

Z polskiego punktu widzenia, bardzo istotne znaczenie ma strategicznie ważne uplasowanie Europy, także Środkowo-Wschodniej i Polski, w ramach programu nowych Szlaków Jedwabnych, tak jak to było onegdaj w historii. Współcześnie jednak nowe Szlaki umożliwią nam znacznie bardziej ułatwione, efektywne i szersze dotarcie, gospodarcze kulturalne i in., do wszystkich partnerów uczestniczących w programie nowych Szlaków.

Warszawa i Łódź już czynnie korzystają ze szlaku kolejowego od Yiwu i Chengdu do Madrytu, a Gdańsk od połączenia morskiego z Szanghajem już od ponad 60 lat. Dlatego też jest niezwykle ważne, aby Polska i cała Europa, z myślą o dobrze pojętych interesach własnych i wspólnych, włączyła się do rea-

lizacji analizowanego programu nowych Szlaków i pasów gospodarczych, który zrewolucjonizuje, przyspieszy i udoskonali rozwój naszej cywilizacji.

Sylwester Szafarz, dr ekonomii, dyplomata, pisarz, tłumacz, publicysta polityczny

Przypisy:

[1]. Baktria, starożytna prowincja wchodząca w skład ówczesnego imperium perskiego, położona pomiędzy łańcuchami gór Pamiru i Hindukuszu, w dolinie rzeki Amu Daria (ob. Północny Afganistan i Tadżykistan). Rozkwit Baktirii przypadł na lata 600 p.n.e i 600 n.e., kiedy prowincja ta stanowiła swoisty pomost pomiędzy Wschodem i Zachodem, nie tylko w kwestiach handlowych. Nota bene: nazwa prowincji pochodzi najprawdopodobniej od łacińskiego pojęcia: camelus bactrianus (wielbłąd dwugarbny). Zresztą, zwierzęta te odegrały wielką rolę juczną i rozwojową na trasach starego Szlaku Jedwabnego.

[2]. Scytowie, jako plemiona koczownicze i wojujące (znakomici łucznicy) wywodzili się z południowej Syberii, ale byli pochodzenia perskiego. Początkowo zajmowali oni rozległe obszary od Altaju aż do dolnej Wołgi i Krymu. Ich ekspansja rozpoczęła się od VIII wieku p.n.e. Dotarli nawet do Syrii. Odnieśli zwycięstwo nad armiami Aleksandra Macedońskiego. W III wieku n.e. zostali jednak pokonani przez Gotów, a następnie (w IV wieku n.e.) – przez Hunów. W taki to sposób, imperium Scytów przestało istnieć politycznie i strategicznie, ale jego wkład do rozwoju Szlaku jest nieprzemijający.

[3]. Proporcje inwestycji chińskich poza krajem prezentują się następująco: Hongkong – 58%, Ameryka Południowa – 13%, Europa – 6%, Ameryka Północna – 4%, Azja Południowo-Wschodnia – 4%, Australia – 3%, Afryka – 3%. Tylko w roku 2014, przedsiębiorcy chińscy zainwestowali łącznie 116 mld USD w 6.128 firmach zagranicznych w 156 krajach i regionach świata. Spodziewany jest wzrost tej sumy o 10% w ciągu najbliższych 5 lat.

[4]. W ciągu 2,5 roku funkcjonowania połączenia Chengdu - Łódź, pociągi towarowe odbyły już (do początku 2016 r.) 180 kursów tam-powrót. Na rok 2016 planuje się ponad 300 takich kursów; przy czym, połączenie ma być przedłużone do Hamburga i do Tilburga (w Holandii). Koszt transportu kolejowego stanowi zaledwie 1/5 frachtu lotniczego (cargo) a czas przejazdu koleją jest trzykrotnie krótszy od transportu morskiego.

Janina Łagoda

Uchodźcy, a sprawa polska

Międzynarodowe układy wplotły nas w problem napływających do Europy Syryjczyków, ale i innych mieszkańców Bliskiego Wschodu oraz Północnej Afryki. Ow exodus, mimo że chwilowo ma dla nas wymiar werbalny, już poróżnił rodzimych polityków i podzielił społeczeństwo.

Dylematy gościnności

Zderzyły się solidarnościowe, ewangeliczne oraz inne zakłęcia o potrzebie pomagania bliźnim. Na to wszystko nałożyły się narodowo-patriotyczne emisje prawdziwych Polaków, uwielbiających uliczne dyskusje. Wydawałoby się, że kwestia wspierania tych, którzy znaleźli się w potrzebie to oczywistość, a jednak ponad połowa rodaków, jak wykazują sondaże, jest przeciwna przyjmowaniu cudzoziemców, co na ponoć gościnny kraj, stanowi zaskakujący sygnał. Źródła tego zjawiska są wielorakie. Syntetyzując je wskazać należy na rozdźwięk pomiędzy umiejętnością transformowania prawd płynących z nauki o moralności na praktykę codziennych czynów. Zdaje się, że opanowaliśmy tylko jeden element tej niełatwej sztuki: prawienie morałów, pouczanie innych, mnożenie propozycji rozwiązań określonych sytuacji, wyznaczanie chrześcijańskiego kryterium uchodźców itd.

Idea solidarnościowych zawołań, tych pierwotnych z lat 80 w politykę wtopionych i nieco skorygowanych dniem dzisiejszym, niewiele skutkuje. Pozostajemy w objęciach idealistycznych wyobrażeń bez woli ich przełożenia na zwyczajne społeczliwe czyny, wsparte autentyczną życzliwością uzupełnioną materialnymi szczodrościami. Gorzej, bo przy tej okazji powróciła na polityczną arenę tradycyjna wojna na słowa, z której wyłania się niemal apokaliptyczny obraz zislamizowanej Polski. Głosy rozsądku giną pod lawiną emocji, bo cudzoziemcy w naszym kraju, to odwieczna kumulacja okazywania im niechęci.

Państwo, w wymuszonej opcji, oficjalnie sprzyja Syryjczykom i to brzmi poprawnie, ale natychmiast skaza swoją dobroduszość dyskursem o tzw. kwotach uchodźców, których może przyjąć. Ma to poniekąd naturalne, bo ekonomicz-

ne uzasadnienie, podbudowane troską o narodowe bezpieczeństwo. Natomiast utożsamianie żywych z materialno-finansowym wskaźnikiem, bo taka jest istota definicji kwoty, graniczy z cynizmem. Pojęcie to nie jest naszym wymysłem, lecz brukselskich biurokratów, którzy jak się okazuje, mają problem z rozróżnianiem myślących istot od ich materialnego oprzyrządowania. Kwota zawsze pozostaje sprzężona z buchalterią i oznacza ilość pieniędzy bądź dóbr materialnych. Nigdy nie odnosiła się do żywych. Dlaczego więc tak poddańczo wtłoczyliśmy to pojęcie do naszej nowomowy? Brukselska kwota uchodźców stała się piaskiem rzuconym w tryby współpracy unijnych państw. Inni mają już z tym rzeczywisty problem. My nadal tylko dywagujemy, podgrzewając krajową, ale i europejską polityczną atmosferę. Gwałtowna wędrówka ludów, to dylemat ogromny, bo wyłonił się jak Feniks z popiołów, ale po części z naszym udziałem, o czym zapominać nie wolno.

Wszystko odbywa się w sferze myślowych dywagacji, w które tak się zapętliliśmy, że bezwiednie wbiliśmy klin w stabilność Grupy Wyszehradzkiej. Jest to wprawdzie nieformalne zrzeszenie czterech państw Europy Środkowej (Czechy, Polska, Słowacja i Węgry), ale z zamysłem pogłębiania współpracy między sobą z dochowaniem unijnych pryncypiów. Najczęściej są to konsultacje w sprawach związanych z problemami generowanymi przynależnością do UE. Naszą niezwykłością naruszyliśmy konstrukcję Grupy, która wprawdzie bardziej przypomina frakcję o nieznacznej mocy sprawczej w obrębie Unii, ale z ładunkiem integracyjnych impulsów. Dlatego też nasze państwo, dla porządku rzeczy winno wcześniej uzgodnić w tym gronie swoje odrębne stanowisko o głosowaniu kwotowego rozdziału przygarnięcia uchodźców oczekujących pomocy. Jest to elementarny wymóg dyplomatycznych relacji. Poddaliśmy więc w wątpliwość sens tego układu, głosując odmiennie na forum UE. Popadliśmy też w określony wymiar ostracyzmu, a na to nas nie stać. Czy sobie z tym poradzimy? Może nasza niezwykłość zostanie wybaczona.

Brukselskie dyskusje o kwotach uchodźców przełożyły się na podgrzanie atmosfery politycznej w kraju. Jedności nie ma, a rozterek przybyło. Polemiki, nawet te o brutalnym wymiarze można byłoby tolerować, gdyby w ich tle nie pozostawał los człowieka. Nie znaczy to, że każdy wędrowiec, to tragiczna i bezradna postać, wymagająca nagle samarytańskiej opieki innych. Takie myślenie byłoby skrajnością. Dlatego też należy łączyć bezpieczeństwo kraju i narodu z oferowaną pomocą, ale wszystko to winno się odbywać w dyskretnym, lecz skutecznym wymiarze. Rejwach zawsze wyzwała niemoc.

Podsumowując efekty rozgorzałej dyskusji można dojść i do takiego oto wniosku, że w indywidualnych formalnych ocenach nie mamy nic przeciwko przyjęciu syryjskich, erytrejskich i innych uchodźców, wszak pod warunkiem, że będziemy mieć gwarancje bezpieczeństwa. Liczymy zdaje się na Unię, ale przecież to i my ją tworzymy. Paradoksalny motyw obskurantyzmem owity.

Skromne efekty w zakresie przytulania uchodźców odnotowuje też katolicka nauka społeczna. Zwierzchnictwo polskiego Kościoła tym razem zajęło pozytywne stanowisko – Komunikat Rady Konferencji Episkopatu Polski z dnia 19.6.2015 r. Był to apel o przyjmowanie uchodźców przez parafie (jest ich ok.10 tysięcy). I zdawałoby się, że pierwotnie proponowana nam kwota uchodźców

(ok. 7 tys.) została już z naddatkiem zagospodarowana i to nawet bez udziału państwa. Praktyka jest nieco skomplikowana. Nie chodzi tutaj o to, aby Kościół wyręczał rząd w jego powinnościach, lecz o faktyczną partycypację deklarowanego współudziału. Niechaj to będzie pomoc maksymalnie, w miłosiernych możliwościach, niezależna od państwa. Nie byłoby przecież uczciwym rozwiązaniem rzucenie hasła o pomocy i cedowanie realizacji na innych. Często to praktyka, nie tylko Kościoła w imię starego porzekadła: dajcie mi ludzi, a wybrukuję ulicę. Rozwikłaniem tego problemu najczęściej będą się zajmować parafianie przy udziale lokalnej administracji samorządowej, a już mniej struktury kościelnej. Spektakularny to gest, który nawet przy genetycznej dbałości Kościoła o własny majątek, może w jakimś fragmencie okazać się pomocnym w godnym uporaniu się przez Polskę z narzuconą kwotą o subtelny ludzki, a nie księgowym wymiarze. Korelacja poczynań Kościoła i państwa w tym przypadku jest nieodzowna, po to, aby nie zdeprecjonować wspólnej idei szlachetnością owianej. Do pozytywnego myślenia wokół tego problemu winna też skłaniać głębia ewangelicznego przekazu: byłem przybyszem, a przyjęliście mnie (Mt 35).

Jest to kwestia wymagająca systemowych rozwiązań. Zamiary władz i deklarowana pomoc Kościoła w tym zakresie pozostają w enigmatycznej niszy. Społeczeństwo niewiele o tym wie, zaś potencjalni wykonawcy pomysłów swoich zwierzchników już zdążyli sporządzić rejestr wątpliwości, bo przykładowo proboszcz przyjmujący na swoje utrzymanie rodzinę uchodźców, który tak, jak i przybysze z daleka znają wyłącznie rodzime języki, stają już na wstępie w obliczu pełnego niezrozumienia. Łatwo sobie nawet wyobrazić ich wspólną bezradność. Jest to jeden z ważkich problemów, jaki należy pilnie rozwiązać. A to już pozostaje poza możliwościami parafii, gminy czy województwa. Obyśmy się nie pogubili w nadmiarze hasłowych, spektakularnych propozycji bez ich przełożenia na język konkretów.

Dla Kościoła wymowną ilustracją tej sytuacji jest m.in. ośrodek Caritasu w Sulistrowiczkach, gdzie przygotowano miejsca dla uchodźców. I to jest chwalebne. Z drugiej strony pojawił się problem z akceptacją tej szczodrości przez mieszkańców owej podsobótkowej miejsciny. Caritas – tak; wielu mieszkańców, w tym również katolików – nie. Może obok materialnych gestów ważny jest kaganek oświaty? Tam jak w soczewce objawiły się kwestie wielokulturowości, niedosytu tolerancji, braku zrozumienia dla tragizmu innych etc., a także uwidocznił się rozdźwięk pomiędzy tym, co głoszą ewangeliczne przekazy, a praktyczną ich przyswajalnością przez wiernych. Niewiele owoców też dała ważna dla Kościoła i kosztowna dla państwa szkolna katecheza. Ale i państwo w swych moralistycznych naukach nie ma powodów do dumy. W Europie wprawdzie nie należymy do wyjątków, ale czyż musimy ulegać takim wzorcom?

Doświadczenia dnia dzisiejszego nie sugerują odmiany. Skazujemy się więc na przeciętność, mimo przekonania o nadzwyczajności wobec innych narodów i to właśnie w obszarze demokracji oraz tworzenia przedmurza przed przenikaniem groźnych idei, z którymi sami mamy intelektualny problem. Już nie trzeba wprawdzie sypać szańców przed inwazją komunizmu, bo Europie nic takiego nie grozi, ale też nie można wykluczyć, że przykładowo zainstalowany kapitalizm w rodzimej edycji wymaga krytyki, może nawet w marksowskim wydaniu.

Szokująca to zapowiedź. Chwilowo przyćmił ją problem uchodźców, ale i tutaj wkroczył merkantylizm sugerujący unijną dotację na głowę przybysza. Empatia za mamonę. Nie wzdrygamy się nawet przed faktem, że pod kuratelą obcych państw żyje ponad 2,3 mln rodaków. Takie to już sienkiewiczowskie Niderlandy.

Argument przetargowy

Trwający exodus ludów ku Europie, wygenerował osiedleńczy problem, zaś nasi politycy przygotowali nietuzinkowy ukraiński równoważnik, podbudowując go potencjalnymi imigrantami z Białorusi i poradzieckich bezkresów, dokąd kiedyś, wbrew własnej woli, ale często i za chlebem trafiali rodacy. Okrutna to karta przetargowa, wbijająca się w atmosferę niewolniczej komercji. Są to płaskie buchalteryjne rozrachunki prowadzone wedle urzędowo-matematycznych wzorców, wtłoczonych w ludzkie nieszczęście. Jest to brukowe kupczenie uchodźcami. Część wschodnich pobratymców faktycznie stara się opuścić swój kraj ze względu na zagrożenie życia wojennym konfliktem i wybiera Polskę, jako względnie bezpieczną dla nich przystań, przynajmniej w chwilowych odruchach. Niewielki to odsetek, bo przeważają emigracje zarobkowe głównie tych, którzy dorobili się różnie interpretowanej Karty Polaka. Niewiele ma to wspólnego z istotą syryjskiego exodusu. Chwilowo nasze wschodnie graniczne słupy nie wymagają podpór.

Uchodźstwo z terytorium Ukrainy ma posmak aberracji, kiedy to tamtejsza władza o unijno-natowskich aspiracjach pozostaje w komitywie z naszą. Deklaracje rządu Ukrainy nie wskazują na gotowanie piekła naszym pobratymcom. Wschód Ukrainy, to też jurysdykcja Kijowa. Popełniono wiele politycznych błędów podczas pomarańczowej oraz majdanowej rewolucji i to z naszym udziałem. Odezwały się haubice. Nadal to jednak obszar tego samego państwa. Władcom, zabrakło praktycznych drogowskazów. Czy z tego powodu należy pozbywać się własnych obywateli tylko dlatego, że garstkę polityków oszałamia bezradność? Z drugiej strony drożność korzeni polskości mieszkańców tamtego regionu ulega naturalnemu, biologicznemu zasklepianiu. Kordialne sentymenty do kraju nad Wisłą dotyka erozja. Przykładów wiele.

Rosyjsko-ukraiński konflikt, to w chwili obecnej hasło chyba nadmiernie eksploatowane przez rządzących tamtym krajem, po to, aby usprawiedliwiać swoją indolencję. Stwarzają pozory, że nie wiedzą gdzie szukać wytrycha dla rozwiązania własnych problemów, a on jest skrywany na kremlowskim podwórku, o czym wie świat cały poza tymi, których deprymuje tak oczywista konstatacja. Dezawują fakty o ważności Moskwy w międzynarodowych relacjach, bo kolidują z myślowo ugruntowanym rusofobicznym schematem. Ale i nasze władze wpisują się w krąg zbliżonych wyobrażeń, traktując łaskawie chociażby polsko-ukraińskie ciernie. Osnuła je wprawdzie patyna czasu, ale tkwią zadrą we wzajemnych relacjach (np. Wołyń, likwidacja Powstania Warszawskiego, dramat bieszczadzki) i obfitują w dotąd nieogarnione dylematy, które należy ucywilizować.

Sprawę komplikuje nasz emocjonalny wiecowy udział w kijowskich przesileniach. Sporo tutaj paraleli z irakijską i afgańską chirurgiczną operacją. Obydwaj pacjenci dotąd jeszcze nie ozdrowieli. Natomiast rozbudzone zostały uchodź-

czo- anarchizujące nastroje, które celnie mierzą w europejski ład. Diagnostyka zdarzeń znana, skutecznej terapii brak.

Ukraińskich imigrantów nie wolno stawiać w kontrze do syryjskich i innych nieszczęśników przytłaczających Europę. Trudno doszukać się w tym punkcie linearnego przyporządkowania obecnego statusu Ukrainy do państw sprowokowanych tzw. arabską wiosną. Definityjne szarady wprawdzie nie powinny w żaden sposób dyskredytować tego, który ratując własne życie przekracza granice RP pod warunkiem, że uszanuje nasze zwyczaje. Świat już się wprawdzie dorobił poprawnych wyznaczników koegzystencji państw, ale południowy exodus wbił się klinem w wyczelowane europejskie pojęcia praw i obyczajów. Utarte schematy wymagają więc nowych konserwatorskich nakreśleń.

Wielu rodzimych partyjnych graczy nadal uwielbia taplanie się w formalnych zawiłościach, by w tym błotnistym zaślepiającym mazidle, wypatrywać elektorskiego poparcia. Przeczy to optyce, ale błędne ogniki może przyćmić wyłącznie zbiorowa elektorska, realnością wypełniona ekstaza. Nadzieja to płonna, bo polityczny kicz kreślony chimeryczno-krótkowzrocznymi obrazami ma się znakomicie (vide wyniki ostatnich wyborów i rosnące głosy zawodu elektoratu).

Czy zatem ukraiński argument tak dosadnie obecny w rządowych przemysłeniach musi przysłańcać problemy z przyjęciem pod wspólny dach Syryjczyków, i czy może w wystarczający sposób usprawiedliwiać nasze wschodnie rozterki? Mglista to wizja, bo kojarząca się raczej z asekurancstwem niż z rzeczową ofensywą. Nadal chyba odczuwamy niedosyt w zgłębieniu losów rodaków na wschodnich rubieżach II RP wówczas i tuż po zakończeniu wojny światowej. Dysponujemy wprawdzie archiwalnym metrażem dokumentów, ale w przeciwieństwie do ukraińskiego sąsiada niechętnie są eksplorowane. Tam narodowe wyznaczniki biorą górę nad naszą dobroduszością, a może naiwnością wobec wspólnego problemu (np. nobilitacja UPA w dniu wizyty prezydenta RP – 14.4.2015 r.). W sentymentalnym traktowaniu tamtych ziem pozbawiamy się krytycyzmu, ale mobilizujemy go wobec Rosji. Gwałtownie zaś protestujemy, kiedy to odzywa się niemieckie ziomkostwo. Obyśmy nie popadli w polityczny kłincz. Międzynarodowe układy się zmieniają, zaś przestrzeń geograficzna Ojczyzny, to nadal – w generalnej podziałce – odwieczny trakt: Berlin-Warszawa-Moskwa, albo kierunek przeciwny. Ważna to dla nas autostrada, wymagająca rozpoznania nie tylko technicznych umiejętności poruszania się na niej, lecz przede wszystkim opanowania sztuki dyplomatycznej nawigacji. W patriotycznych uniesieniach zwykle górę biorą emocje wieszczące klęskę, a rozum zasypia. Historia obfituje przykładami.

Międzynarodowy wymiar exodusu

Zaoceaniczny globalista stwarza pozory zamartwiania się arabską tragedią, wstydliwie skrywając prawa autorskie do swego pierwotnego rozkazu. Dobrze i to, mimo że hipokryzję skrywa okazywaniem współczucia tamtym nieszczęśnikom i Europie, z której uczynił przytułek dla uciekających. I tym razem zadbał o własny interes, fundując Staremu Kontynentowi większościowe akcje w opiece nad losem uchodźców z demokratyzowanych przez niego krajów. Mieli żyć w Edenie, a dostąpili ciernistej mordęgi.

Okazuje się, że każda wojenna ekspedycja generuje katastrofę, ale refleksy niewolniczych zapędów nadal zżerają szlachetne odruchy człowieczeństwa. Zakusy wielkich daleko wybiegają poza własne granice. Rozległość obszarów ich ekspansji trudno zidentyfikować. Zawsze funkcjonują w egoistycznych spiralach, zniewalających wasali. Z pozycji Warszawy możemy, co najwyżej poprawić skuteczność operowania własnym dyplomatycznym orężem, parując ostrza w nas wymierzone. Szachownica wymaga wielu figur, w tym nieodzownych pionków, które na planszy powściągliwych ruchów mogą ciążyć na strategii innych. Pozostaje więc baczne obserwowanie politycznych posunięć hegemonów i stronienie od jednoznacznych deklaracji. Z tym mamy kłopot. Najczęściej popadamy w objęcia wyrachowanych internacjonalistycznych haseł aplikowanych przez globalistów. Te sugestie winniśmy ważyć na jubilerskiej wadze wolnej od czołobitnych pokłonów wobec jednego, a drugiego wyrafinowanie ignorować, mimo że to nasz nietuzinkowy sąsiad z wachlarzem handlowych i politycznych ofert, daleko wykraczających poza pomnikowo-funeralne scysje.

Unijno-Natowskie zagubienie

Nie sposób było w pełni przewidzieć tego, co dzisiaj Europie narzucili uchodźcy z południa. Symptomy tego wcześniej były znane. Zabrakło woli, aby upublicznić perspektywę wariantów ewentualnych zagrożeń dla kraju i Europy oraz w porę podjąć cywilizowane kroki. Informacje wyprzedzające zapewne zaległy w wywiadowczych szufladach, bo na przemian ziębiły i parzyły, a tak szczerze, były po prostu niewygodne, zwłaszcza dla scenarzysty afro-arabskich przeobrażeń.

Oferta sprzedaży zachodniej demokracji tamtemu regionowi okazała się zgubna. Same odsetki, które dzisiaj należy spłacać przyjęły kształt odwróconej piramidy. Nie starczy rozpętać burzę i uciec z cyklonu okupionego ludzkimi stratami, ale sztuką było zdefiniować sens ataku oraz nakreślić wizję skutecznych pokojowych rozwiązań. Konstrukcja UE i NATO znalazła się w epicentrum drgań. One też nas dotyczą. Dzisiaj łatwo o tym rozprawiać, dysponując bogatym materiałem empirycznym. Ale i przed inwazją funkcjonowały ośrodki wywiadowcze, analityczne, doradcze itp., a nade wszystko nie zostali ubezwłasnowolnieni polityczni decydenci. To oni oceniali zarówno powody decyzji o militarnych rozprawach, ale i o ich konsekwencjach, które w perspektywie – jak historia poucza – mają zazwyczaj wymiar nieskończony. Bazowali na fałszywych przesłankach. Skutki tej ignorancji będą odczuwane przez lata.

Pozostał problem kordialnego przytulenia uchodźców, także przez Polskę. Szkoda tylko, że w krajowych asekuranckich dywagacjach o losie bliźnich, nieczęsto nawiązujemy do naszej partycypacji w konstrukcji dzisiejszego tragizmu tamtych narodów. Może omamiły nas kolonialne zapędy II RP wryte w statut Ligi Morskiej i Kolonialnej, ale i nadal czkającemu się nam Zaolziu. Prysły też oczekiwania na materialne profity z wojennej eskapady. Dzisiaj balsamicznym suplementem naszej mocarstwowości jest artykułowana przychylność dla chorwackiej koncepcji łączącej Bałtyk z Morzem Śródziemnym. Taki to eliksir dla sentymentalnej maksymy: Polska od morza do morza i co drugi dzień święto.

Z założonego sukcesu wyłonił się problem szczelności unijnych i natowskich granic. Nie paszport, ale hasło uchodźca w masowym natłoku, demoluje zakłętą rewiry, strzeżone ponoć w wymyślny sposób przez Unię i NATO. Okazuje się, że nie trzeba nadmiernego wysiłku, aby je sforsować. Ekspresja tłumu pozostaje niezmiernie i nie oprze się jakiegokolwiek tarczy. Propagandowo eksponowane rzekomo finezyjne reduity nie wytrzymały naporu bezbronnym, bezsilnym, ale zdesperowanym. Rodzi się więc refleksja o sensie wyrafinowanych europejskich zbrojeń.

Dotąd nie potrafią sformułować uczonej, ale i praktycznej metodologii powstrzymywania exodusu. W rozterce pozostają pytania zarówno o model funkcjonowania służb granicznych, jak i sens kosztownego dozbrajania armii, jeśli bezbronnemu ludowi je obezwładnia? Uchodźcy, to wprawdzie nie agresorzy, lecz bliźni szukający pomocy. Natomiast pogardzani mogą zawirować porządkiem w państwach zamierzonego osiedlenia, jak i tranzytowych. Przykładów wiele.

Co na to NATO? Czy ta wojenna biurokratyczna struktura, z plenipotentją USA, będzie nadal orężem inspirowała niepokoje, a później stawała w bezbronnej pozycji wobec zgotowanego nieszczęścia? Każda detonacja, nawet godnych idei niesie skutki uboczne. Zatem gest pokory inicjatora nieszczęścia może zostać odczytany jako ukłon wobec sponiewieranych. Na to się jednak nie zanosi. Myślenie nadal jest oblepione ciężarem ołowiu i enigmatycznymi kapitałowymi zyskami z wojennych zawieruch.

Ambicje mocarzy pozostają w odległości od detalicznych dywagacji maluczkich. W tym przypadku rzucono im dla posmaku ofertę zgłębiania sensu kwotowej dystrybucji uchodźców. Rzecz wtórna i zarazem przykra, ale rozwiązanie tego rebusu, to sztuka nie lada. Zamysły wielkich i prowizje ich mniejszych udziałowców, jak zwykle, stanęły na rozdrożu. Skąd my, Polacy to znamy? Najczęściej gubiliśmy się w wirze układności i nadal w nim pozostajemy. Roztropne patrzenie w przyszłość, to opcja nie dla wszystkich dostępna.

* * *

Zamiar dokonania transplantacji zachodniej demokracji na grunt afro-bliżniokształtnych państw okazał się fiaskiem o kosztownych skutkach. Zdemolowano gospodarki i tradycją uświęcone obyczaje. Unicestwiono też przywódców, wprawdzie satrapów, lecz dyscyplinujących tamte społeczności. Górę wzięły rodzime klany wzniecając pożogę, która rykoszetem trafia w autorów owych mesjanistycznych pomysłów. Tego orędownicy demokracji nie przewidzieli. Pomińto też konsekwencje geometrycznego, a nie naturalnego, narodowościowego wyznaczenia granic przez dawnych kolonizatorów. Teraz plemiennie-religijne wyobrażenia biorą górę, poddając w wątpliwość tamte granice. Ale temat to odrębny.

W łańcuchu przyczyn i skutków znaleźliśmy się i my. Byliśmy pewni siebie z gwarancjami żyrowanymi przez zaoceanicznego mocarza. W naszej krótkowzroczności, ważne było ratowanie z opresji amerykańskich żołnierzy (rzecz to chwalebna), ale została zdewaluowana nachalnymi opowieściami naszych tajemnych agentów o niezwykłości przedsięwzięcia. A było to wpisane w zakresy

ich służbowych obowiązków z etatowym uposażeniem. Pogubili się w etycznym wymiarze skromności. Uraczono też nas dramatyczno-humorystycznymi obrazkami, jak chociażby tym niemal wyjętym z komedianckiego filmu, kiedy to po ulicach Bagdadu w postrzępionych porciętach biegał generał-ambasador naszego państwa. Można współczuć, ubolewać, ale na pewno o tak wyrafinowany dyplomatyczny sukces nam nie chodziło. Zamiast moralno-ekonomicznej intraty sprokurowaliśmy dla RP podwyższony wskaźnik zagrożenie bezpieczeństwa.

Przyszedł więc czas odrobienia niełatwej lekcji pt. najeźdźca-stabilizator. Musimy też oczyścić naszą wyobraźnię z mirażu o unikatowym miejscu Polski w amerykańskich licytacjach, łącznie z roztoczoną nam wówczas wizją dostępu do gazo- i ropodajnych pól. Tamta euforia raptem wyartykułowała decyzję o budowie w Świnoujściu kosztownego Gazoportu, kiedy to na wyciągnięcie ręki mamy m.in. Nord Stream z perspektywą jego rozbudowy. Może on wprawdzie równie dobrze cementować, jak i rozszadzać europejskie więzi, ale wiele państw UE na tym zarabia, a my pogrążamy się w rusofobicznej zadyszce. Gazociąg traktujemy jak kumulację politycznych rozterek, a rachunek ekonomiczny odrzucamy. Autarkiczne zapędy w globalistycznych trendach trąca anachronizmem. Honor jest ważny, ale złotówki również. Optymalnym orężem winny pozostawać dyplomatyczne konkury, wolne od egzotycznej panoramy i wojennego amoku w tle. Tam winniśmy lokować patriotyczny kapitał, a nie w ringowych ekscesach.

Dzisiaj dostrzegalnym, ale smutnym dorobkiem globalnej polityki pozostają uchodźcy, domagający się w desperackim exodusie pomocy od tych, którzy z wyrafinowanym orężem niedawno u nich gościli. Byliśmy wśród nich. Zasada naczyń połączonych, to klasyka fizyki, na co już dawno zwrócił uwagę Heraklit z Efezu (540-480 p.n.e.) w prekursorskiej teorii o wariabilizmie, ujętej w prostej definicji: wszystko płynie (panta rhei).

Janina Łagoda, publicystka

Agnieszka Zakrzewicz

Pomiędzy Lądem a Morzem, czyli jak rodzi się Nowy Porządek Świata

Tylko nie nazywajcie ich neonazistami! Mają rację – nazizm, faszyzm, hitleryzm, bolszewizm, stalinizm, komunizm, lewica, prawica, liberalizm – to przestarzałe kategorie ideologiczne. Aby zrozumieć świat i jego porządek, trzeba nazwać rzeczy po imieniu. Chyba przyszła na to pora. Ci, którzy organizują marsze antyislamskie, trolują, hejtują, sięgają mowę nienawiści w polskim Internecie i wykorzystują strach przed uchodźcami do celów politycznych – to po prostu eurazjaci.

Eurazjatyzm czy eurazjanizm?

Termin „eurazjatyzm“ powstał w 1915 roku. Za jego ojca uważa się rosyjskiego geografa Wieniamina Siemionowa-Tien-Szańskiego, używającego w swoich publikacjach terminu „Eurazja rosyjska”. Za jego prekursorów: Władimira Łamańskiego (1833–1914), Georgija Trubeckiego (1873–1930), Iwana Dusinskiego (1875–1919).

Cytując za Leszkiem Sykulskim: „Na jego określenie w literaturze polskiej pojawiło się kilka terminów, m.in. „eurazjatyzm”, zaproponowany w 1922 r. przez Mariana Zdziechowskiego, „eurazjanizm”, użyty po raz pierwszy przez Mariana Uzdowskiego w 1928 r., „euroazjanizm”, termin wprowadzony przez Lucjana Suchankę, „euroazjatyzm”, zaproponowany przez Andrzeja Andrusiewicza, czy „euroazjanizm” wprowadzony przez Hannę Kowalską”[1].

Sykulski w swoim artykule: Eurazjanizm – terminologia, periodyzacja, główni przedstawiciele skłania się do używania terminologii „eurazjanizm” – co wydaje mi się słuszne, ale jedynie w odniesieniu do całości ruchu, z uwypukleniem jego tendencji mistycznej. Jednak w stosunku do współczesnej doktryny polityczno-militarnej Federacji Rosyjskiej, uważam za bardziej wskazane zastosowanie terminu „eurazjatyzm” i takiego też w tym tekście będę używać.

Doktryna geopolityczna „eurazjatów” została stworzona już na początku lat 20. XX wieku w środowisku rosyjskiej „białej emigracji” [Mikołaj Trubecki lub Trubeckoj (1890–1938), Piotr Sawicki (1895–1968), Gienadij Wiernadski

(1887–1973), Piotr Suwczyński (1892–1985) i inni]. Jak pisze Sykulski: „Symboliczną datą powstania eurazjanizmu jest rok 1921, kiedy to w Sofii ukazała się drukiem praca zbiorowa czterech eurazjanistów Sawickiego, Suwczyńskiego, Fłorowskiego i Trubieckoją”. Periodyzacji ruchu dokonała Iwona Massaka[2], więc nie będę rozpatrywać jej tutaj. Eurazjaci (lub w tym przypadku, zgadzając się z terminologią Sykulskiego „eurazjanie”) odwołujący się od samego początku do panslawizmu zakładali, że rewolucja październikowa była jedynie koniecznością szybkiej modernizacji Rosji – a jej naturalnym następstwem będzie „biała rewolucja”, a nie komunizm. Władze bolszewickie inwigilowały emigracyjne środowisko eurazjatów już od samego początku i w tym można dopatrywać się też wewnętrznych podziałów ruchu. Część eurazjatów wymordowano w ramach operacji „Trust”, albo bezpośrednio na Zachodzie, albo zwabiając ich do Rosji. Po śmierci Trubieckiego w 1938 r. eurazjatyzm zaczął powoli odchodzić w zapomnienie. Jego odrodzenie nastąpiło dopiero po 1991 r.

Po upadku Muru Berlińskiego, a wraz z nim ZSRR i bipolarnego modelu świata utrzymywanego przez zimną wojnę – nowa Federacja Rosyjska przestała pełnić funkcję drugiego mocarstwa światowego, przeciwstawnego do USA. Na początku, w pierwszej fazie postkomunizmu (prezydentura Jelcyna i wczesne rządy Putina), byłe imperium radzieckie próbowało przyjąć i przystosować się do modelu zachodniego, aspirując do bycia „rosyjskimi stanami zjednoczonymi”. Kryzys tożsamości rosyjskiej przyszedł jednak szybko i Putin został zmuszony do szukania nowych dróg dla odwiecznych aspiracji imperialistycznych wielkiej Rosji. Zbawcą mogącym nadać nową wizję i kierunek marszu Federacji Rosyjskiej okazał się Aleksander Dugin, okrzyknięty dziś „szamanem Kremla”. To on jest uważany za ojca i głównego teoretyka „neoeurazjatyizmu”.

Czym jest nowy eurazjatyzm?

Odpowiadając na to pytanie najlepiej posłużyć się bezpośrednio słowami Aleksandra Dugina, określającymi eurazjatyzm jako antyzachodnią ideologię: „Eurazjatyzm od pierwszych dni swojego istnienia w początku lat dwudziestych XX wieku zawsze występował przeciwko globalnej dominacji Zachodu, europejskiemu uniwersalizmowi i za niezależną rosyjską cywilizacją. Dlatego eurazjatyzm jawi się jako, istotnie, antyzachodnia ideologia, odrzucająca prawo zachodniego społeczeństwa do ustanawiania własnych kryteriów dobra i zła jako reguł uniwersalnych. Rosja to niezależna, prawosławno-eurazjatycka cywilizacja, a nie peryferium Europy – twierdzili eurazjaci, w ślad za ich ideologicznymi poprzednikami słowianofilami, ramię w ramię z innymi rosyjskimi konserwatystami.

Stopniowo eurazjatyzm wzbogacono o geopolityczną metodologię, opartą o dualizm cywilizacji Morza i Lądu, których koncepcje zostały opracowane w pierwszej połowie XX wieku przez Anglika H. Mackindera i rozwinięte przez amerykańskich strategów – od N. Spykmana do Z. Brzezińskiego. Rosja to jądro cywilizacji Lądu, serce Eurazji i dlatego jest skazana na to, by toczyć wielowiekową walkę z anglosaskim światem – wcześniej jego centrum było Imperium Brytyjskie, od drugiej połowy XX wieku – USA.

Dlatego eurazjaci są przeciwnikami zachodniej hegemonii, amerykańskiej ekspansji, oponentami liberalnych wartości i zwolennikami unikalnej rosyjskiej cywilizacji, religii i tradycji. Eurazjaci to przeciwnicy nie tylko Zachodu, ale także rosyjskich zapadników i modernistów: przede wszystkim liberałów.

Jeżeli Zachód jest wrogiem eurazjatów, to eurazjaci wrogami Zachodu i agentów jego wpływu. To proste. Eurazjaci wiedzą, kto jest ich wrogiem i z kim walczą, i wróg także wie, kim są eurazjaci.

W tej sytuacji byłoby dziwne, gdyby atlantyści, amerykańscy imperialiści i liberałowie kochali eurazjatów i ich zwolenników na całym świecie. I vice versa. Stąd wypływa jasny wniosek: albo jesteśmy po stronie Łądu, albo jesteśmy po stronie Morza. Łąd to Tradycja, Wiara (dla Rosjan prawosławie), Imperia, naród, sakralność, historia, rodzina, etyka. Morze – modernizacja, handel, technika, demokracja liberalna, kapitalizm, parlamentaryzm, materializm, gender. Dwa wykluczające się wzajemnie systemy wartości”[3].

Doktryna sprzeczna z interesami Polski

Fakt, że interesy i status quo Polski są sprzeczne z rosyjskimi, nie jest nowością. Wiemy to z historii, która daje gorzkie lekcje – trzy rozbiory i powstania, pierwsza wojna światowa, wojna polsko-bolszewicka, druga wojna światowa, powstanie warszawskie, blisko pół wieku przynależności do Bloku Komunistycznego.

Wojskowy wywiad polski interesował się eurazjatami już w latach 20. ubiegłego stulecia. Trudno się dziwić, gdy czyta się niektóre założenia doktrynalne, głoszone przez jego członków. Już Władimir Łamański (1833–1914) twierdził, że Europa, Rosja, Azja to 3 odrębne części. Rosja – jako cywilizacja odrębna łączy właściwości 2 pozostałych i dlatego może je dominować. Po XIX w. Europa upadnie, Rosja zajmie większość jej obszaru i 2/5 Azji. Misją Rosji jest stanie się III Rzymem – wielkim, nowym imperium, które sięgać będzie aż do Konstantynopola. Konkurentem Rosji są Anglosasi, stąd konflikt lub współpraca tego dupolu. Granica zachodnia imperium ma przebiegać na linii: Gdańsk – Triest.[4]

Według Iwana Dusinskiego (1875–1919), historyczną misją Rosji jest ekspansja i zapanowanie nad światem, konieczna jest konsekwentna rusyfikacja Kraju Zachodniego, gdyż jakakolwiek wolność doprowadzi do jego oderwania. Ukraińcy są groźniejsi od Polaków. Najlepszą granicą dla Rosji jest linia Wisły, ale Niemcy nie oddadzą Prus Wschodnich. Tylko tymczasowo jest to możliwe[5].

Pomimo upływu 100 lat od narodzin eurazjatyizmu, powstania NATO (Paktu Atlantyckiego) i Unii Europejskiej, doktryna FR wobec Ukrainy i Polski (a także innych krajów z byłego Bloku Komunistycznego), nie zmieniła się. Eurazjatyzm powrócił do łask na Kremlu stając się jeszcze bardziej groźny. Jak napisał Bartłomiej Sienkiewicz w eseju „Satanistyczny predyktor”, czyli szkic o przenikaniu się różnych porządków już w 2006 roku: „Euroazjatycki entuzjasta Dugin uważa się za odnowiciela starej, bo mającej jeszcze XIX-wieczne korzenie koncepcji osi Paryż – Berlin – Moskwa. Jeszcze za czasów Borysa Jelcyna chwalił się w jednym z wywiadów, że tę koncepcję udało mu się wszczepić polityce rosyjskiej. Nie był w tym myśleniu odosobniony – na Zachodzie antyamerykański w istocie

pomysł nowej kontynentalnej osi miał od dawna swoich wyznawców. Zaliczyć można do nich belgijskiego geopolityka Jeana Thiriarta czy Francuza Henriego de Grossouvre, nie licząc wcześniejszych protagonistów z gen. de Gaulle'em na czele. Według Dugina ta oś powinna organizować przestrzeń polityczną całej Eurazji, wypychając „morskie imperium” – czyli USA z Wlk. Brytanią – z Europy. W swojej najśłynniejszej książce „Podstawy geopolityki” z 1997 r. postulował partnerstwo niemiecko-rosyjskie wykluczające jakiegokolwiek bariery między tymi państwami. Polska w owym ujęciu miała być dominium niemieckim, Ukraina zaś albo wchłonięta, albo podzielona. Z czasem Dugin zradycyzował się i za warunek konieczny budowy euroazjatyckiego imperium uznał likwidację kordonu sanitarnego – Polski i Ukrainy Juszczuki”[6].

Odrodzenie się eurazjatyizmu i wojna hybrydalna Putina

Moim zdaniem rozwój neoeurazjatyizmu możemy podzielić dziś już na pięć etapów. Od połowy lat 80. XX w. do 1993 r., pierwszy etap obejmuje odrodzenie się ideologii, publikacje teoretyczne i próby wejścia do bieżącej polityki. Po upadku ZSRR, zwolennicy nowego eurazjatyizmu chcieli porozumienia ze środowiskami nacjonalistycznymi, czyli z tzw. opozycją czerwono-brunatną – co w tamtym okresie nie udało się, ale przyniosło rezultaty w dalszej perspektywie – zwłaszcza na arenie międzynarodowej. Lata 1993–2000 to drugi etap – czyli tworzenie teoretycznych podstaw ruchu i udanego zbliżenia się w charakterze eksperckim do centrum władzy oraz wywiadu. W tym czasie powstały fundamentalne publikacje Dugina: „Misteria Eurazji” (1991) i „Podstawy Geopolityki” (1997). Trzeci etap od 2001 do 2005 r. to okres budowy Ruchu Eurazjatyckiego. 26 lutego 2005 r., powstał oficjalnie Eurazjatycki Związek Młodzieży, którego Dugin jest głównym ideologiem. Na uroczystości przybyli nie tylko najwyżsi przedstawiciele Kremla z Putinem na czele, ale także politycy zagraniczni (min. był Silvio Berlusconi). Od tego momentu rozwija się sieć Eurazjatycka – mająca swoich zwolenników, przedstawicieli i komórki w wielu krajach UE, ale także w Turcji, na Bliskim Wschodzie i w Azji. Rozwija się przede wszystkim „sieć w sieci” – polegająca na budowie portali i blogów „masek” przekazujących antyatlantyczną i antyzachodnią ideologię w różnych językach – to czwarty etap. Za piąty – możemy uznać oficjalne przystąpienie eurazjatów do wojny informacyjnej w Internecie po wydarzeniach na Euromajdanie i poprzedzających secesję Krymu a następnie wejście wojsk rosyjskich do Syrii (to co ja nazywam terrorem medialnym o najeździe uchodźców islamskich). Choć Dugin twierdzi, że to tylko odpowiedź na prowadzoną już od dawna przez USA wojnę informacyjną wymierzoną w Rosję – jego słowa są jasne: „Przyczyną napisania tego tekstu jest odezwa Władimira Putina do Rady Bezpieczeństwa FR i jednoczesne zatwierdzenie antyrosyjskiej rezolucji 758 w Kongresie USA, komentując którą Hillary Clinton otwarcie oświadczyła, że „USA rozpoczyna wojnę informacyjną z Rosją” a kongresmen Eliot Engel dodał: „Nastał czas przyznać, że Rosja pod przywództwem Władimira Putina zagraża europejskiej niezależności i interesom USA w tym regionie”. W swoim komunikacie Putin powiedział: „Dla Rosji Krym, starożytny Korsuń, Chersonesz, Sewastopol mają ogromne znaczenie cy-

wilizacyjne i sakralne, tak jak Wzgórze świątynne w Jerozolimie dla tych, którzy wyznają islam i judaizm. I właśnie my ku nim takie uczucia żywimy i będziemy żywić zawsze”, czyli ogłosił stały kurs na odrodzenie niezawisłości i kontynentalnej mocy Rosji, a także jej sakralnej prawosławnej tożsamości. W odpowiedzi na to USA otwarcie przyznało, że „rozpoczynają wojnę informacyjną”, którą w rzeczywistości już od dawna przeciw nam prowadzą. Teraz ta wojna wchodzi na następny poziom”. [7]

(Atakowi na społecznościowe media w Polsce poświęciłam oddzielny artykuł: „Na uchodźcę! Nie dajmy się manipulować...” <http://agnieszkazakrzewicz-prasa.blogspot.it/2015/09/na-uchodzce-nie-dajmy-sie-manipulowac.html>)

Pułapka eurazjatyizmu

Rozbić Unię Europejską od środka, podzielić znowu Europę na Zachodnią i Wschodnią, wykorzystując do tego Grupę Wyszehradzką, skonfliktować interesy brytyjskie z interesami innych byłych potęg europejskich – Niemiec i Francji, zradykalizować społeczeństwa otwarte, rozbudzić nacjonalizm, rozniecić konflikty religijne, wykorzystać ruchy antyglobalistów i antywojenne do własnych celów, przeciwstawić sobie ateistów i wierzących manipulując strachem przed ideologią gender, wejść ponownie do gry na szachownicy międzynarodowej poprzez interwencje zbrojne (nie tylko w Azji, ale i na obrzeżach UE oraz na Bliskim Wschodzie) – to tylko niektóre cele, jakie osiągnął Aleksander Dugin w ostatnich latach.

Nie dziwi, że tzw. „lewacy” przesiąknięci antyneoliberalizmem, antyglobalizmem, antyimperializmem amerykańskim, pacyfizmem i ogólną niechęcią do USA, mniej lub bardziej świadomie są zafascynowani ideologią eurazjacką, zwłaszcza szerzoną poprzez teoryjkę spiskową NWO (New World Order) wymyśloną specjalnie dla ich potrzeb. Straszanie tajnymi spotkaniami Grupy Bilderberga, spiskiem masońsko-żydowskim dążącym do stworzenia światowego rządu i kontrolującym światowe finanse, tudzież innymi fascynującymi elementami tworzącymi teorię Nowego Porządku Świata, pachną mi bardzo nowoczesną, ulepszoną wersją Protokołów mędrców Syjonu. Jak twierdził Janusz Tazbir w „Pożegnaniu z XX wiekiem”, choć Protokoły zostały napisane we Francji, ich autorem był najprawdopodobniej Rosjanin... [8].

W wielu krajach istnieją partie i ugrupowania polityczne, które podejrzewa się o sympatie eurazjackie. Na Węgrzech to na przykład Jobbik, w Czechach Narodni Democracie. We Włoszech Dugin miał spotkanie z nowym liderem Ligii Północnej, ale zdaje się, że nie przyniosło to oczekiwanych rezultatów. W Turcji front eurazjatycki jest bardzo szeroki – od Tureckiej Partii Robotniczej, po tureckich nacjonalistów i spadkobierców kemalizmu – czyli wszystkich aktualnych przeciwników Erdogana. W Polsce natomiast na Facebooku znajdziemy bez problemu stronę rekrutującą Euroazjatów: „Szukam dziewczyny/chłopaka – Eurazjaci, 4TP, irredentyści, evolianie”, gdzie natrafimy na jawne ogłoszenie: „Chętnie przyjmę młode osoby do Związku Młodzieży Eurazjatyckiej. CV ze zdjęciem i listem motywacyjnym nadsyłajcie na mój profil na vk.com (ostatecznie facebookowy)” [9]. Na stronie nietrudno odnaleźć odniesienia do partii

Zmiana, charakterystyczny znaczek skrzyżowanych karabinów znany z flag Falangi[10] i Xportal.pl[11], a także odniesienie do Manifestu Globalnego Sojuszu Rewolucyjnego[12].

Portal Fronda śledzi „szamana Putina” od dłuższego czasu niczym diabła – i jest dzięki temu dobrym źródłem informacji o Aleksandrze Duginie. Ostatni artykuł na jego temat to: „Doktryna Putina obnażona”[13], który jest trafnym omówieniem analizy z Dziennika Gazety Prawnej dotyczącej aneksji Krymu.

Niestety w końcu portal Fronda i sam redaktor Terlikowski wpadli w pułapkę eurazjatów, stając się ślepym narzędziem ich propagandy i zaczęli mówić językiem duginowskim, „odziaływując według zasady emocjonalnego pobudzenia (doprowadzenie odbiorców do takiego stanu, by działali bez większego namysłu, wręcz – irracjonalnie)”. Mowa oczywiście o reakcji na „toksyczne memy” o inwazji islamskich imigrantów na Europę, którzy będą gwałcić kobiety, podcinać gardła i żyć z zasiłków.

Jak można być polskim patriotą i mieć poglądy eurazjackie?

Wbrew pozorom jest to możliwe... Polska nigdy nie była imperium, mającym rozległe interesy i wpływy także na innych kontynentach – dlatego nie jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia kategoriami geopolitycznymi. Tymczasem w Rosji dzięki Duginowi w ostatnich latach z geopolityki zrobiono nie tylko naukę i doktrynę polityczną, ale przede wszystkim metodę postrzegania świata i działania na wielu polach.

Przeciwny Polak utożsamia tzw. „ideologię gender” z „lewactwem”, a tymczasem to atlantyzm czyli stary liberalizm. Ani w ZSRR, ani w innych krajach komunistycznych nigdy nie tolerowano homoseksualizmu, zamykając gejów i lesbijki w obozach, więzieniach lub szpitalach psychiatrycznych. Nazizm skazał ich na obozy zagłady, jak Żydów, Romów, kalekich, chorych psychicznie... W okresie stalinizmu w Związku Radzieckim obowiązywał paragraf 121. Również w 2013 r. w Federacji Rosyjskiej wprowadzono ustawę zakazującą „propagandy homoseksualnej wśród nieletnich”, pod którą można podciągnąć bardzo wiele... Aleksander Dugin nosi brodę po to, aby pokazać, że nie jest „bear gejem”, lecz „białym, heteroseksualnym niedźwiedziem”. Gender jako przejaw zachodniej, imperialistycznej zgnilizny to jeden z wytrychów doktryny eurazjatyckiej.

Antykomunizm to drugi. W głowach Polaków do tej pory Federacja Rosyjska jest stworem postkomunistycznym. Tymczasem nurtem obowiązującym dzisiaj w tam kraju jest prawicowy konserwatyzm. Dugin jako spadkobierca „białych rewolucjonistów” nienawidzi komunizmu (i ateizmu) tak jak większość Polaków – dlatego tak łatwo mu przemycać wiele idei do ich głów. Używając jego słów: „Łądem to Tradycja, Wiara (dla Rosjan prawosławie), Imperia, naród, sakralność, historia, rodzina, etyka. Morze – modernizacja, handel, technika, demokracja liberalna, kapitalizm, parlamentaryzm, materializm, gender. Dwa wykluczające się wzajemnie systemy wartości”.

Oprócz tradycji i tradycjonalizmu, trzecim wytrychem ideologii duginowskiej – a więc i putinowskiej – jest religia. Warto przytoczyć raz jeszcze Bartłomieja Sienkiewicza: „Myśląc Duginem” można połączyć bez przeszkód Stalina i świę-

tych prawosławnych, oprychnię i GRU z tkliwością dla tradycyjnych przymiotów społeczeństw koczowniczych. Islam i buddyzm z marksizmem. „Nie ma monopolu na prawdę w naszych katakumbach. Nie ma sporów ideologicznych. Pistis Sofia, Bhagawatgita, Ewangelia, Kapitał Marksa i Królestwo liczby Guenona są w równym stopniu słuszne i prawdziwe. W naszej walce nie powinno być frakcji i sekt. Wszyscy zostaliśmy jednakowo ograbieni i odepchnięci. Mamy wspólnego wroga. Nadszedł czas stworzenia partii nowego typu. Religijnej, bolszewickiej, okultystycznej, subwersywnej. Poza wszelkimi ograniczeniami”. Ale to, co najciekawsze w zjawisku „Dugin” – to właśnie przenikanie się racjonalnych działań i pragmatyzmu państwowego z owym metafizycznym komponentem krajobrazu ideowego współczesnej Rosji. Warto temu poświęcić trochę uwagi”.

Lepszej dekonstrukcji ideologicznej nie można było dokonać. Czym jest więc duginizm? Brunatnoczerwonym mistycyzmem. Bóg, Honor, Ojczyzna – układanka składa się sama w całość.

Wcale mnie nie dziwi, że tyle „tęgich polskich głów” połączyło haczyk i zaczęło „bełkotać Duginem” mniej lub bardziej świadomie – od skrajnej lewicy po prawicę nawet tę mniej skrajną. Kolejnym elementem doktryny duginowsko–putinowskiej jest panslawizm – dziewiętnastowieczny mit o gospodarczym i kulturalnym zjednoczeniu Słowian – przeciwko Cywilizacji Zachodniej i Turcji. Dugin, a za nim Putin śnią mistyczny sen o III Rzymie, z sercem religijno-kulturalnym bijącym nie tylko w Soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, w antycznych ruinach Soboru Św. Włodzimierza, w Chersonesie Taurydzkim (późniejszy tatarski Aqyar i dzisiejszy Sewastopol), gdzie Włodzimierz I Wielki przyjął chrzest w 988 r. i poślubił Annę, siostrę cesarza Bizancjum Bazylego II – ale i w Hagia Sophia (Stambuł), której fundamenty w starożytnym Konstantynopolu postawił już Konstantyn Wielki, dzieląc Imperium Rzymskie na Wschód i Zachód. W tym wszystkim jest tylko jeden problem dla polskich katolików – religią obowiązującą w III Rzymie ma być ortodoksyjne chrześcijaństwo. Katolicyzm, protestantyzm i anglikanizm mają zostać całkowicie wyeliminowane z Eurazji jako wrogie religie. Islam w wersji umiarkowanej podporządkuje się prawosławiu. Czy polscy eurazjaci mają nadal ochotę krzyczeć pod rosyjskie dyktando: Bóg, Honor, Ojczyzna?

W sumie to ciekawe, kto w końcu podpalił i na czyje zlecenie instalację „Tęcza” na pl. Zbawiciela i budkę wartowniczą przy ambasadzie rosyjskiej podczas Marszu Niepodległości zorganizowanego w Warszawie 11 listopada 2013 r.? – co dwa lata później przypisywano byłemu ministrowi spraw wewnętrznych i koordynatorowi służb specjalnych, tudzież cytowanemu powyżej prawnukowi polskiego noblisty Henryka Sienkiewicza?

Nie ma to jak bujna wyobraźnia... Zgodzicie się sami.

Agnieszka Zakrzewicz, pisarka, publicystka polityczna

<http://nowageopolityka.blogspot.it/2015/10/pomiedzy-ladem-morzem-czyli-jak-sie.html>

Przypisy:

- [1] Leszek Sykulski, Eurazjanizm – terminologia, periodyzacja, główni przedstawiciele, Geopolityka.net, 03.06.2013 – <http://geopolityka.net/eurazjanizm-terminologia-periodyzacja-glowni-przedstawiciele/>
- [2] Massaka, Iwona, Eurazjatyzm: z dziejów rosyjskiego misjonizmu, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2001
- [3] Aleksander Dugin, „Eurazja w wojnie sieciowej. Eurazjatycka sieć w przeddzień roku 2015”, xportal.pl, 16 grudnia 2014 r. (<http://xportal.pl/?p=18016>).
- [4] 11. Eurazjaci I Strona Józefa Darskiego – Jerzego Targalskiego
- [5] Ibidem
- [6] Bartłomiej Sienkiewicz, „Satanistyczny predyktor”, czyli szkic o przenikaniu się różnych porządków, Teologia Polityczna 4/ 2006–2007
- [7] Aleksander Dugin, „Eurazja w wojnie sieciowej. Eurazjatycka sieć w przeddzień roku 2015”, xportal.pl, 16 grudnia 2014 r. (<http://xportal.pl/?p=18016>).
- [8] Janusz Tazbir, Pożegnaniu z XX wiekiem, Iskry, Warszawa 1999, str. 161
- [9] <https://www.facebook.com/Eurazjaci?fref=photo>
- [10] <http://falanga.org.pl/>
- [11] <http://xportal.pl/>
- [12] <http://xportal.pl/?p=1268>
- [13] <http://www.fronda.pl/a/doktryna-putina-obnazona,49371.html>

Dominik Sierzputowski

Lewica niemiecka wobec Rosji

Zwolenników autorytarnej polityki prezydenta Rosji Władimira Putina można znaleźć w Niemczech, zwłaszcza na lewicy. Jest to lewica, która okazuje zrozumienie dla Rosji i promuje współpracę z nią. „To bardzo dobrze, kiedy jesteśmy znawcami Rosji” mówi na przykład eurodeputowana Parlamentu Europejskiego z partii Zjednoczona Lewica Europejska/Nordycka Zielona Lewica[1].

Najprostsza definicja lewicy określa różne partie polityczne, w zależności od podziału sceny politycznej w danym kraju. Zwyczajowo określenie to stosuje się do sił politycznych dążących do zmian polityczno-ustrojowych, społecznych i gospodarczych, przeciwstawiających się tzw. tradycyjnemu porządkowi społecznemu, przeciwne prawicy. Głównym założeniem lewicy jest dążenie do wolności, równości i sprawiedliwości społecznej.

Określenie lewica pochodzi z okresu rewolucji francuskiej, kiedy we francuskich Stanach Generalnych deputowani stanu trzeciego zasiadali po lewej stronie od prowadzącego (reprezentanci arystokracji i duchowieństwa siedzieli po prawej). Po klęsce rewolucji francuskiej, w XIX wieku mianem lewicy określano różnorakie środowiska radykalne: liberalne, później także socjalistyczne.

Wraz z monopolizacją gospodarki kapitalistycznej i alienacją pracy, narodziła się myśl socjalistyczna. Karol Marks i Fryderyk Engels, rozwinęli załączki myśli i ruchu socjalistycznego, dążącego do zmiany systemu społecznego oraz gospodarczego, przebudowy struktury społeczeństwa i stosunków produkcji w gospodarce i utworzenia socjalizmu. Wraz ze wzrostem liczebnym klasy robotniczej i jej świadomości społecznej partie marksistowskie wchodziły do parlamentów ówczesnej Europy.

Dziś do lewicy, w szczególności w krajach europejskich, najczęściej zalicza się organizacje o poglądach socjaldemokratycznych czy socjalistyczno-demokratycznych, zielonych, komunistycznych, neokomunistycznych, eurokomunistycznych[2].

W Europie Zachodniej duże partie komunistyczne w wyborach odnosiły największe sukcesy we Francji i Włoszech. Stworzyły one pod koniec lat 60 tych i 70 tych niezależną ideologię eurokomunizmu, w której wyrzekano się zwywania do

rewolucji, akceptując zasadę wolnych wyborów, jak i systemu wielopartyjnego. Wysokie liczby członków i wyborców pozwoliły do zaakceptowania i ustabilizowania partii komunistycznych, co nie miało miejsca w innych krajach zachodnich. Partie komunistyczne we Francji i Włoszech często odgrywały decydującą rolę w polityce, a czasami także brały udział w koalicjach rządowych[3].

W Berlinie, w grudniu 1918 roku powstała KPD z przekształcenia Związku Spartakusa, wywodzącego się z mniejszościowych frakcji Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), oraz Internationale Kommunisten Deutschlands (IKD). W 1946 roku, po zakończeniu II wojny światowej, KPD wraz z SPD utworzyły w radzieckiej strefie okupacyjnej Niemiec Socjalistyczną Partię Jedności Niemiec (SED)[4].

Socjalistyczna Partia Jedności Niemiec (SPJN, niem. Sozialistische Einheitspartei Deutschlands, SED) – partia polityczna sprawująca rządy w Niemieckiej Republice Demokratycznej (NRD)[5].

Zjednoczenie w Partię Jedności i za tym idący rozwój do marksistowsko-leninowskiej partii narodowej powstałego w 1949 roku NRD, powiązane było z głębokimi wpływami radzieckiej administracji wojskowej w Niemczech.

Ze względu na fakt, że w NRD aż do roku 1990, SED sprawowała władzę autorytarną, nadzorując władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą - były to rządy jednopartyjne[6].

W czerwcu 1948 roku, kierownictwo SED zdecydowało się na przejście do „nowego rodzaju partii”. Od tego czasu partia w swojej konstrukcji i strukturze zarządzania wzorowała się na radzieckiej partii komunistycznej. Przyjęto też leninowski model partii zorganizowania kadr. Rezultatem tego było usunięcie około 150 tysięcy członków, w tym w szczególności byłych socjaldemokratów.

Na 13. posiedzeniu egzekutywy partii SED w dniu 15-16 września 1948 r. Walter Ulbricht przedstawił w swoim wystąpieniu dalszy rozwój w radzieckiej strefie okupacyjnej: „Naszym zadaniem jest podążać drogą całkowitego wyeliminowania i likwidacji elementów kapitalistycznych, zarówno w miastach, jak i na obszarze wiejskim. To zadanie jest krótkim sposobem na budowę socjalizmu”[7].

Ponadto, został wprowadzony centralizm demokratyczny, jako ogólne zasady organizacji w radzieckiej strefie okupacyjnej. Cztery inne partie i inne organizacje (takie jak FDJ oraz FDGB) musiały dostosować swoją strukturę hierarchicznej zasadzie opartej na centralizmie autorytarnym.

W dniu 24 stycznia 1949 r. kierownictwo SED zdecydowało przekształcić Sekretariat Centralny w Biuro Polityczne. Na III Zjeździe SED w 1950 r. Komitet Centralny został wybrany pierwszy raz wg modelu radzieckiego. Postanowiono ostatecznie rozliczyć się z rewizjonizmem ideologii partyjnej. Przykładem jest surowa idea demokracji i opozycji politycznej[8].

Ważne jest pytanie, czy Socjalistyczna Partia Jedności naprawdę była uzależniona od radzieckiej administracji wojskowej w Niemczech? Przed podjęciem ważnych decyzji delegacja SED zawsze podróżowała do Moskwy na konsultacje. Pomimo regularnych spotkań pomiędzy kierownictwem SED a wysokimi przedstawicielami radzieckiej administracji wojskowej w Niemczech protokoły i raporty zebrania Biura Politycznego SED były zawsze przekazywane radzie-

ckiej administracji wojskowej w Niemczech. Członkowie Komitetu Centralnego SED byli przez radziecką administrację wojskową w Niemczech kontrolowani. Wszystko wskazuje na mocne powiązanie interesów[9].

Po zjednoczeniu Niemiec SED przekształciła się w Partię Demokratycznego Socjalizmu (PDS), od 2007 roku działającą pod nazwą Partii Lewicy (Die Linke).

W Republice Federalnej Niemiec KPD została zdelegalizowana w 1956 roku. W 1968 roku z inicjatywy dawnych członków partii powstała, istniejąca do dziś, Niemiecka Partia Komunistyczna (DKP)[10].

Die Linke (niem. dosł. Lewica) – niemiecka lewicowa partia polityczna, powstała 16 czerwca 2007 ze zjednoczenia Die Linkspartei i WASG[11]. Partia ta widzi się „w tradycji partyjno-politycznej, która sięga do Róży Luksemburg i Karola Liebknechta”[12]. Lothar Bisky oświadczył w dniu 16 czerwca 2007 roku w kongresie założycielskim Partii Lewicy, że Partia Lewica widzi się w tradycji byłego kanclerza Willy’ego Brandta i jego motto „więcej demokracji“, którym chciał pokonać wewnętrzną stagnację polityczną w okresie powojennym w Niemczech[13]. Na zjeździe założycielskim Oskar Lafontaine historycznie ocenił Partię Lewicy w następujący sposób: „Partia stoi w tradycji tych, którzy byli prześladowani przez socjalistyczne prawa Bismarcka i stoi w tradycji tych, którzy zginęli w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, czuje się zobowiązana tym spadkobiercom, którzy jako socjaldemokraci zostali więzieni w NRD, tak jak komunistom z Niemieckiej Republiki Federalnej, których prześladowano a następnie więziono. To wszystko należy do siebie i o tym wszystkim trzeba mówić”[14].

Partia Lewicy ma wiele wewnętrznych klubów, często określanych, jako platformy. Jako platformy partii określa się organizacje znajdujące się i będące zarazem częścią jednej partii politycznej, reprezentujące inny lub odmienny kierunek polityczny, mające często dużą suwerenność w podejmowaniu decyzji?

W niemieckiej partii Die Linke lewicowe platformy polityczne to:

Antykapitalistyczna Lewica (niem. Antikapitalistische Linke) - krytyczna wobec udziału w koalicjach. Uważa, że udział w rządzie powinien być uzależniony od minimalnych kryteriów (w tym braku prywatyzacji, braku zaangażowania wojennego i bez cięć w wydatkach socjalnych). Przedstawicielami tej grupy są Sahra Wagenknecht, Tobias Pflüger, Cornelia Hirsch i Ulla Jelpke[15].

Przykładem antykapitalistycznej partii lewicowej w Europie jest Francuska Partia Komunistyczna.

Francuska Partia Komunistyczna (FPK, Parti Communiste Français, PCF) – lewicowa i eurosceptyczna partia polityczna, założona w Tours (Region Centre) w 1920 roku[16].

Po pierwszym sukcesie wyborczym w 1924 roku popularność partii spadła w wyniku stalinizmu, osiągając w 1932 roku bardzo niski poziom zainteresowania. Wiele osób postanowiło opuścić partię, co spowodowało jej redukcję do 25.000 członków i słabych wyników wyborczych. Sekretarz generalny PCF, Maurice Thorez, utrzymywał bliskie kontakty z Józefem Stalinem. W kolejnych latach, wzrosła zależność PCF od instrukcji sowieckiej biurokracji państwowej. Również na wysokich szczeblach politycznych partii zauważalna stała się zmia-

na orientacji politycznej. Spowodowała ona stopniową reorientację i przemianę jej zwolenników, z których wcześniej przeważająca klasa średnia (nauczyciele, dziennikarze, lekarze, etc.) w coraz większym stopniu została zastępowana przez młodych pracowników fizycznych. Dawna więź z partią radziecką przyjęła również wymiar ekonomiczny, kiedy Francuska Partia Komunistyczna od 1950 roku od Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego zaczęła otrzymywać rocznie kilka milionów franków w ramach pomocy finansowej.

W procesie stalinizacji francuskiej partii komunistycznej wielu wcześniejszych sympatyków i intelektualistów odwróciło się od niej. W tym surrealiści André Breton i Benjamin Peret, który dołączył przynajmniej tymczasowo do dwóch grup trockistowskich, a także pisarz André Gide[17].

Od lat 60. XX wieku widoczny był zwrot w stronę eurokomunizmu. W 1980 roku z inicjatywy Georges Marchaisa połączono „demokratyczną burżuazję” z retoryką marksizmu-leninizmu. W tym czasie FPK dalej działała na zasadach centralizmu demokratycznego, odrzucała krytykę ZSRR i określała się, jako partia rewolucyjna i leninowska. W 1994 roku, gdy liderem partii został Robert Hue ideologia FPK i wewnętrzna organizacja przeszła duże zmiany. Hue wyraźnie odrzucił radziecki model i przyjął bardzo ostrą krytykę wobec radzieckich przywódców, którzy „odrzucali przez lata prawa człowieka” i stosowali ograniczanie indywidualnych swobód realizując osobiste aspiracje. Obecnie Francuska Partia Komunistyczna uważa Związek Radziecki, jako „zboczenie” modelu komunistycznego i jednoznacznie odrzuca stalinizm. FPK nie uznaje rozpadu Związku Radzieckiego za upadek idei komunizmu i bagatelizuje rozpad radzieckiego wydania komunizmu uważając, że był to jedynie system ustrojowy. FPK dystansuje się od dawnego, historycznego przywiązania do Moskwy i ZSRR[18].

Kwestią, która nie zmieniła się w ideologii FPK jest zagorzała opozycja wobec kapitalizmu, który musi być „pokonany”, ponieważ zgodnie z ideologią FPK jest on „zmęczony” i „na skraju upadku”. Partia komunistyczna zinterpretowała aktualny przebieg globalizacji, jako potwierdzenie tez Karola Marksa i Fryderyka Engelsa na temat przyszłego rozwoju kapitalizmu. Partia zajmuje stanowisko eurosceptyczne[19].

Platforma Komunistyczna (niem. Kommunistische Plattform, KPF) - została utworzona, jako tendencja wewnątrz PDS. Jest mniej krytyczna wobec NRD niż inne grupy, przy tym wykazuje przywiązanie do ortodoksyjnego marksizmu. Celem strategicznym KPF jest „budowanie nowego społeczeństwa socjalistycznego, wykorzystując pozytywne doświadczenia realnego socjalizmu i uczenia się na błędach”. Jej główną liderką jest Sahra Wagenknecht. W maju 2008 roku platforma miała około 961 członków, czyli około 1% z krajowej przynależności w partii.

Socjalistyczna Lewica (niem. Sozialistische Linke) - została utworzona w sierpniu 2006 roku i obejmuje zwolenników keynesizmu i komunistów reformatorów, a także trockistowską organizację Linksruck będącą członkiem Międzynarodowej Tendencji Socjalistycznej. Grupa stara się ukierunkować partię w kierunku ruchu robotniczego. Wielu przywódców Socjalistycznej Lewicy to dawni członkowie WASG. Socjalistyczna Lewica sympatyzuje z holenderską Partią Socjalistyczną i włoskim Odrodzeniem Komunistycznym[20].

Partia Socjalistyczna (niderl. Socialistische Partij, SP) - holenderska lewicowa partia polityczna. Swoje korzenie ma w ruchu maoistów z lat 1970 tych.

Od 1990 roku, stoi ona za umiarkowanym demokratycznym socjalizmem, który jest zgodny z zasadami przewodnimi opartymi na wartościach „godności ludzkiej, równości i solidarności”. Socjalistyczna Partia wywiera fundamentalną krytykę nad kapitalizmem i wzywa do stanowczej demokratyzacji społeczeństwa zawierając w tym i życie gospodarcze[21] [22] [23].

Jest ona często klasyfikowana, jako partia lewicowo populistyczna. Od początku XXI wieku Partia Socjalistyczna Holandii dalej się socialdemokratyzowała i jest w międzyczasie określana mianem klasycznej partii socjaldemokratycznej zajmującej wcześniejsze pozycje Partii van de Arbeid lub identyfikującej się, jako bardziej lewicowa alternatywa wobec niej[24] [25].

W statucie Socjalistycznej Partii Holandii jest napisane m.in.:

Artykuł 3: Cele i drogi:

Nasze stowarzyszenie postawiło sobie za cel stworzenie w Holandii społeczeństwa socjalistycznego, w którym ludzka godność, równość i solidarność międzyludzka nabierają właściwy kształt[26].

Socjalistyczna Partia Holandii twierdzi, że Unia Europejska, nabywa coraz większego znaczenia. Towarzyszy temu utratą suwerenności Holandii. SP czuje przez Unie Europejska narzucenie neoliberalizmu, który odrzuca. Rozwój Unii Europejskiej do potęgi militarnej i misje za granicą, w których Holandia zawsze jest zaangażowana, też odrzuca. Zamiast europejskiego „Superpaństwa”[27]

Partia Socjalistyczna Holandii chce pokojowego współistnienia, suwerenności narodowych, które mogą żyć własną tożsamością kulturową. NATO Socjalistyczna Partia również ocenia krytycznie, jako „aktywność globalnie agresywnych sił interwencyjnych”[28]. Zaplanowała z okazji 60. rocznicy NATO w 2009 roku, stworzyć alternatywną strategię obrony.

Przemiany ideologiczne w innych partiach sprawiły, że Socjalistyczna Partia łatwo identyfikuje się, jako Partia Pracy w Holandii - „Partij van de Arbeid”. PvdA była pod kierownictwem Wima Koka przesuwana coraz bardziej w centrystyczną pozycję polityki. Inna konkurencyjna partia CPN zajmuje bardziej kwestie ekologiczne i odsunęła się od klasy robotniczej. Taka sytuacja stworzyła korzystną dotychczas niewypełnioną lukę odbiorców politycznych, która adekwatnie zostaje wypełniana przez Socjalistyczna Partie Holandii[29].

Odrodzenie Komunistyczne lub Partia Odbudowy Komunistycznej (wł. Partito della Rifondazione Comunista, RC) – włoska skrajnie lewicowa partia polityczna;

Partia Partito della Rifondazione Comunista w ostatnich latach wytworzyła profil nowoczesnej partii komunistycznej, która odróżnia się od tradycyjnie marksistowsko-leninowskich partii komunistycznych tak samo, jak od partii socjaldemokratycznych? Partito della Rifondazione Comunista postanowiła podstawowe kryteria komunizmu wywodzące się z XX wieku wyeliminować i po przekształceniu ich na XXI wiek na nowo sprecyzować. Czyni ona to odwołując się na strukturalne zmiany społeczne mające miejsce w dzisiejszych czasach, które z jednej strony charakteryzują się wzrastającą świadomością produkcji wiedzy (General Intellect, Karola Marksa z manuskryptu „ogólny zakres krytyki

ekonomi politycznej”, o którym się on wypowiada) wywodzi, zaś z drugiej strony, kiedy Karol Marks stara się je w kontekście socjologicznym – defragmentacja i prekaryzacja[30].

Emancypacyjna Lewica (niem. Emanzipatorische Linke, Ema.Li) - prąd obejmujący zwolenników wolnościowego socjalizmu. Popiera zdecentralizowane społeczeństwa i wspieranie ruchów społecznych. Głównymi przedstawicielami platformy są Katja Kipping i Caren Lay[31].

Reformatorska Lewica (niem. Netzwerk Reformlinke) - została założona w 2003, jako tendencja w PDS. Promuje stanowisko socjaldemokratyczne i wspiera współpracę z Socjaldemokratyczną Partią Niemiec i Sojusz 90/Zieloni. Prominentnym członkiem sieci jest Petra Pau[32].

Demokratyczno Socjalistyczne Forum (niem. Forum demokratischer Sozialismus) - jest demokratyczno-socjalistyczną frakcją, która była pierwotnie częścią PDS. Wspiera udział w rządach koalicyjnych, programowo jest blisko Reformatorskiej Lewicy[33].

Jako punkt wyjścia swojej polityki partia Die Linke ujmuje Konstytucja Niemiec, w której wzywa do „demokratycznego socjalizmu”. Partia Lewicy tematyzuje na polu swojej polityki zewnętrznej cztery obszary: polityka obronna, polityka gospodarki światowej, demokratyzacja ONZ i Unii Europejskiej.

Partia Lewicy domaga się polityki rozbrojenia[34]. Przez sprawiedliwość społeczną, urzeczywistnienie praw człowieka i zrównoważony rozwój i demokrację chce uzyskać stabilność i pokojową współpracę. Generalnie odrzuca misje zagraniczne Bundeswehry. Partia żąda rozwiązania NATO i zastąpienia go Kolektywnym Systemem Bezpieczeństwa z udziałem Rosji oraz stanowczego dostosowania niemieckiej polityki zewnętrznej ściśle na niemilitarny sposób pokonywanie konfliktów oraz współpracę zamiast konfrontacji[35] [36] [37].

Partia Lewicy żąda wszechstronnego zniesienia długów biednych państw i podwyższenia poziomu pomocy rozwojowej. Partia Die Linke chce mieć odpowiednie wpływy w Organizacji Narodów Zjednoczonych, WTO i Banku Światowym oraz bilateralnych kontraktów i umów Unii Europejskiej wobec Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji.

ONZ ma zostać przez rewaloryzację Sesji Plenarnej i przebudowę Rady Bezpieczeństwa zdemokratyzowane i wzmocnione. Celem jest utworzenie bardziej sprawiedliwej gospodarki światowej i lepszego ładu społecznego. Ponadto partia lewicy opowiada się za tym, by porwania, tajne więzienia i tortury zostały zakazane ponad aktualne porozumienia w skali światowej.

Unii Europejskiej powinny zostać wyznaczone nowe cele. Partia zdecydowanie sprzeciwia się militaryzacji UE i domaga się rozwiązania amerykańskich baz wojskowych w Europie.

Solidarna postawa partii wobec „postępowych ruchów” w Ameryce Łacińskiej została umieszczona w uchwale zgodnie z decyzją Komitetu Federalnego partii z 21 września 2008 roku. „Jej konkretnym wyrazem w szczególności w kontynuacji materialnych i politycznych kampanii solidarnościowych AG Kuba”[38].

Partia Die Linke opowiada się za równymi prawami i partnerskimi stosunkami międzynarodowymi między Zachodem a Rosją. Niemcy i Unia Europejska muszą ukształtować swój stosunek partnerski do Rosji w interesie wspólnych

wyzwań międzynarodowych. Do tego należą poszukiwania rozwiązań w kwestii zmian klimatycznych, zapobieganie militaryzacji kosmosu prowadzonej przez Stany Zjednoczone, wspólnych zmagani na rzecz rozbrojeń atomowych i politycznej odwilży, powrotu do wiążących umów zawartych na podstawie obowiązującego prawa międzynarodowego[39].

Przewodniczący klubu Parlamentarnego, Volker Kauder ostro skrytykował krytyczną wypowiedź Partii Lewicy na temat polityki Rządu Federalnego Niemiec w kwestii Ukrainy. Według niego Partia Lewicy ignoruje „Pragnienie Wolności” państw takich jak Polska, Rumunia, Bułgaria czy krajów bałtyckich, które dobrowolnie zadecydowały się na swoje wejście do UE i NATO. „Ona nie rozumie, co oznacza Europa“, orzekł Kauder, dla „Westdeutsche Allgemeine Zeitung”. „Partia Lewica jest oddziałem propagandowym Rosji”[40].

Fundacja im. Róży Luksemburg:

Fundacja Analizy Społecznej i Edukacji Politycznej im. Róży Luksemburg (niem. Rosa-Luxemburg-Stiftung) – niemiecka fundacja zbliżona do Partii Die Linke. Powstała w 1990 w Berlinie dla analizy społecznej i politycznej. Organizacja oddana jest celom i wartościom międzynarodowego ruchu socjalistycznego i socjaldemokratycznego. Od 2003 fundacja ma biura zagraniczne w Johannesburgu, Moskwie i Warszawie.

Niemiecka Partia Komunistyczna (DKP):

Niemiecka Partia Komunistyczna (DKP) – zarejestrowana w 1968 roku w Republice Federalnej Niemiec - mała partia. Ze względu na podobieństwa w 1956 zakazanej KPD (Komunistyczna Partia Niemiec) jest ona uznawana, jako jej następczyni[41]. DKP widzi siebie, jako partia rewolucyjna[42] i odwołuje się do teorii Marksa, Engelsa i Lenina. Odnosi się do państw socjalistycznych, takich jak Kuba, NRD i ZSRR[43]. Mimo, że dystansuje się od zbrodni stalinowskich, uznaje jednak jego historyczne dokonania wyniesienia Związku Radzieckiego do światowej potęgi[44].

„Nasz Czas” tygodnik wydawany przez Niemiecką Partię Komunistyczną. Piątek 19 czerwca 2015 r.[45]. Artykuł: „Europa, jako wyrzutnia rakiet” Willi Gernsa. Przytoczone są słowa Igora Korotszenko redaktora rosyjskiej gazety „Narodowa Obrona” oraz członka rady społecznej ministerstwa obrony Federacji Rosyjskiej wypowiedziane w łotewskim radiu „Baltcom”, iż stacjonowanie amerykańskich rakiet naziemnych na terenie Europy, skierowanych przeciwko Rosji oznaczać będzie jeden krok do trzeciej wojny światowej. Rosja nie stawia żadnych rakiet na Kubie. Amerykanie stawiają swoje rakiety w Europie, by zadać Rosji pierwszy cios. Zadaje pytanie, dlaczego? Przecież nie ma dzisiaj żadnego zagrożenia!

Marksistowsko-leninowska Partia Niemiec jest małą partią niemiecką. Została założona 20 lipca 1982 roku. MLPD opowiada się za rewolucyjną kolektywizacją środków produkcji. W teorii i praktyce, MLPD odwołuje się do Józefa Stalina[46]. Interpretacji marksizmu i leninizmu - zwane stalinizmem lub jego rozwinięciem przez Mao Zedonga - zwany maoizmem[47].

Oprócz Józefa Stalina i Mao Zedonga, partia opiera się na teoriach Karola Marksa[48] Fryderyka Engelsa[49] i Włodzimierza Lenina[50] oraz Ernsta Thälmana[51]. Zadeklarowanym celem partii jest ustanowienie dyktatury

proletariatu, jako etapu przejściowego do bezklasowego społeczeństwa komunistycznego. Komunistyczna Partia Niemiec (1990), została założona w Berlinie Wschodnim w styczniu 1990 roku, jako partia polityczna. Aby odróżnić ją od KPD, nazywana jest w niektórych publikacjach, jako „KPD-Ost” lub „KPD (Red Flag)[52]”. „Ze względu na traktat zjednoczeniowy nie wchodzi, jako strona z byłej NRD pod zakaz KPD, a więc od 1956 zezwolono na udział we wszystkich wyborach do Bundestagu i Landtagu.

KPD przyznaje się do istnienia socjalizmu w NRD i innych byłych krajów demokracji ludowej w Europie, a odnosi się do ZSRR Józefa Stalina, Nikity Chruszczowa, Leonida Breżniewa i Waltera Ulbrichta, NRD i Ericha Honeckera. Ich orientacją jest marksizm-leninizm. Na XX. Kongresie Partii Komunistycznej, zdecydowano się przekształcić w partię bolszewicką. KPD jest jedną z organizacji politycznych w Niemczech, pozytywnie oceniając Stalina. Nikita Chruszczowa zaś oceniając, jako „rewizjonistę”. Również oceniają idee Dżucze z przywódcą Korei Północnej, Kim Ir Sena czy polityką Songun jego następcy, Kim Dzong-il pozytywnie[53].

„Czerwony Lis” miesięcznik wydawany przez KPD – OST oraz Komunistyczną Platformę Partii Lewicy. Nr 208, 17 maja 2015 roku pisał, że 7 maja o godzinie 17.00 general major A.D Hainz Bilan na konferencji RF - grupy regionalnej Suhl w pomieszczeniach solidarności społecznej Rimbachhügel 3 przedstawi: 70 rocznica wyzwolenia od faszyzmu i aktualna rosyjska doktryna militarna”. 19 Maja przedstawi: „Znawca Związku Radzieckiego i Rosji Bruno Mahlow” – członek rady najstarszych partii lewica na konferencji RF- grupy regionalnej Berlin Marzahn – mitte Marzahn, Promenade 38, temat: „Jak Feniks z popiołu – odrodzenie Rosji na potęgę światową”. RF grupa regionalna Bautzen/Oberlausitz zaprasza na wyjątkową podróż do Berlina z okazji dnia zwycięstwa Armii Czerwonej 9 maja w parku Treptow w Berlinie. Autobus odjeżdża o godzinie 7.00 z placu Augusta Bebela. 12 maja o godzinie 17.00 w domu Sobrow, Postplatz 2, odbędzie się forum nt. aktualnej politycznej sytuacji w Rosji i Ukrainie[54]. Socjalistyczna Młodzieżówka Niemieckich Robotników jest marksistowsko-leninowsko zorientowaną organizacją młodzieżową, mającą tradycyjnie przyjazne więzi z niemiecką partią komunistyczną; SDAJ reprezentuje ogólne interesy pracy i nauki młodzieży. Celem politycznym jest polityka młodzieżowa klasy robotniczej a także różne tematy antykapitalistycznej polityki i antyfaszystowskiej i antymilitarystycznej pracy. Tematy antyrasistowskie, internacjonalizm, polityka edukacyjna i cięcia w finansowaniu pracy z młodzieżą to kolejne punkty dyskusyjne[55].

Partia Europejskiej Lewicy (ang. Party of the European Left) – partia polityczna działająca na poziomie europejskim, grupująca partie i organizacje socjalistyczne i komunistyczne z Unii Europejskiej oraz innych krajów europejskich. Możliwe jest również członkostwo w EPL osób prywatnych oraz innych grup politycznych. EPL została założona w celu startu w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Partia powstała 8 maja 2004 w Rzymie[56].

Po wizycie delegacji posłów GUE/NGL w Moskwie, GUE/NGL apeluje, aby wszyscy europejscy i rosyjscy parlamentarzyści byli usunięci z czarnych list, które zostały ustanowione po obu stronach, na początku roku 2015 i do wznowienia bezpośredniego dialogu między UE a Rosją.

W Moskwie delegacja GUE/NGL spotkała się z przedstawicielami Dumy Państwowej, Rady Federacji, Euroazjatyckiej Komisji Gospodarczej, Federacji Niezależnych Związków Zawodowych i działaczami społeczeństwa obywatelskiego. Przewodnicząca GUE/NGL Gabi Zimmer stwierdziła: „Już od kilku miesięcy, oficjalny kontakt pomiędzy Parlamentem Europejskim i Dumą Państwowej Federacji Rosyjskiej, został zamrożony. W świetle dramatycznych wydarzeń w wielu regionach świata, które mogą być rozwiązane jedynie poprzez skoordynowanie polityki globalnej społeczności, my, jako lewicowa grupa w Parlamencie Europejskim podjęliśmy inicjatywę, aby przyczynić się do przywrócenia dialogu między UE a Rosją”.

Wiceprezes GUE/NGL, Neoklis Sylikiotis, skomentował: „Sankcje, które zostały nałożone na Rosję przez UE mają negatywny wpływ na ludzi. Jest bardzo ważne, aby znaleźć pokojowe rozwiązanie i parlamenty mają bardzo ważną rolę do odegrania w tej sytuacji. Niestety, sankcje, które zostały nałożone na członków Dumy Państwowej, wykluczają jakąkolwiek możliwość wznowienia bezpośredniego dialogu z UE. Dlatego apelujemy do UE o normalizację stosunków politycznych z Rosją oraz wycofanie parlamentarzystów z czarnej listy.

Pan Helmut Scholz twierdzi dalej: „Doświadczeniem integracji europejskiej było i jest głębsza współpraca i powiązanie gospodarcze, zamiast rywalizacji i zakłóceń. To powinno być brane pod uwagę przez UE, jej państwa członkowskie i państwa członkowskie Unii Euroazji. Z widokiem na nasze wspólne interesy pokojowego współistnienia. Dlatego powinna zacząć się merytoryczne negocjacje na temat przyszłości stosunków między UE i Unia Euroazjatycką”.

Włoska eurodeputowana, Barbara Spinelli, powiedziała: „Sytuacja, której świadkami byliśmy w Moskwie jest przyczyną głębokiej troski. Każda inicjatywa rządu rosyjskiego - reakcja na rozszerzenie NATO na wschodnich granicach UE na Ukrainie, Euroazjatycka Wspólnota Gospodarcza, rosyjska interwencja zbrojna w Syrii - jest interpretowana w Europie jako prowokacja lub czynnik zakłócający. A to błędne przekonanie, przyczynia się do głębokiego oburzenia rosyjskiej elity”.

Pani Spinelli dalej: „Zimna wojna jest z powrotem, ale bez kodeksów postępowania i elementów pacyfikacji, które ją wyróżniają. Zamiast trzeźwej oceny rosyjskich interesów, państwa członkowskie UE wydają się biernie dostosowywać do administracji USA, której celem jest zarówno zachowanie jednobiegunowego zaburzenia świata powstałego po zakończeniu zimnej wojny lub improwizowane dwustronnych uzgodnień z Moskwą za plecami Europy. W każdym razie, to nie jest w interesie Unii Europejskiej”[57].

Partia Lewicy opowiada się za równymi prawami i partnerskimi relacjami między Zachodem a Rosją. Niemcy i Unia Europejska muszą utrzymywać dobre stosunki dyplomatyczne z Rosją w interesie wspólnych wyzwań międzynarodowych[58].

Były przewodniczący Die Linke – Gysi, reprezentuje stosunkowo umiarkowane pozycje wierności Moskwie Partii Lewicy. Jest on w Rosji rozumiany i cytowany jako koronny świadek własnej pozycji. Jeszcze, mocniej jak Gysi argumentują jednak lewicowi politycy jak np. Sahra Wagenknecht, w pełni uzasadniając działanie Rosji. Uważają oni, że jest to całkowicie w porządku, że Putin traktuje stare republiki radzieckie, a nawet byłych członków Układu Warszawskiego, jako należące do jego terytorium[59].

Demokratyczni lewicowcy opowiadają się za sprawiedliwością społeczną, równością szans dla edukacji i dobrobytu, tolerancją i szacunkiem dla wszystkich ludzi, opieką silnych nad słabszymi i sprawiedliwym podziałem zasobów oraz pacyfistycznym nastawieniem. Jaki jest, więc apel do wszystkich lewicowych obrońców Putina i Rosji? Pamiętajcie o swoich ideałach? Krytykujcie wszystkich, którzy działają przeciw waszym ideałom. Przestańcie tępo wszystko to, co amerykańskie złe etykietować – i wszystko, co rosyjskie wznosić na piedestał? Nie chowajcie się za tchórzy, którzy operują czarno-białym myśleniem zimnej wojny. Miejcie odwagę podążać własną drogą, waszą drogą lewicową[60].

Dominik Sierzputowski, doktorant Akademii Obrony Narodowej, Bezpieczeństwo Narodowe

Przypisy:

1. Der Tagespiegel
2. Wprowadzono ubezpieczenie zdrowotne, ubezpieczenie od bezrobocia, emerytalnego wprowadzono podatek progresywny, itd
3. Will Grant: CIA man recounts Che Guevara's death, BBC News, 8. Oktober 2007.
4. Wacław Solski. Moje wspomnienia, Biblioteka Kultury, tom 270, Instytut Literacki, Paryż, 1977
5. Nejjodov V. V.: SED a kultura NDR. Historická monografie., Hradec Kralove 2009
6. Vgl. Andreas Schmidt, "... mitfahren oder abgeworfen werden." Die Zwangsvereinigung von KPD und SPD in der Provinz Sachsen/im Land Sachsen-Anhalt 1945–1949. Lit Verlag, Münster 2004 (Forschungen zur Neuesten Geschichte, 2), S. 10.
7. Wilfried Loth, Die Sowjetunion und die deutsche Frage: Studien zur sowjetischen Deutschlandpolitik von Stalin bis Chruschtschow, Göttingen 2007, ISBN 3-525-36298-6, s. 83.
8. Neues Deutschland vom 17. Mai 1957, Quelle [1], (abgerufen am 12. Mai 2009)
9. Heike Amos, Politik und Organisation der SED-Zentrale 1949-1963: Struktur und Arbeitsweise von Politbüro, Sekretariat, Zentralkomitee und ZK-Apparat, LIT Verlag Berlin-Hamburg-Münster, 2003, ISBN 9783825861872, s. 48/49/56/67.
10. Wacław Solski. Moje wspomnienia, Biblioteka Kultury, tom 270, Instytut Literacki, Paryż, 1977
11. Niemiecka Lewica wybrała nowych przywódców.
12. Zur Auseinandersetzung mit der Geschichte (PDF; 116 kB), die-linke.de
13. Die neue Linke sieht sich auf Platz drei. In: netzeitung.de.
14. Rede von Oskar Lafontaine. Die-linke.de
15. Abrüstung statt Aufrüstung - NATO ist ein Unsicherheitsbündnis. Die-linke.de
16. Partie Socjaldemokratyczne Europy, Książka i Wiedza, 1982, s.126
17. In: Sonntagsblatt zu Staatszeitung und Herold (New York), 27.
18. Pierre, Bréchon (2011), Les partis politiques français, La documentation française
19. Information Guide Euroscepticism
20. August 1939, S.A3 9. Linke nimmt Export von Kleinwaffen in den Blick. In: heute im Bundestag.
21. Paul Lucardie: Populismus im Parteiensystem in Deutschland und den Niederlanden. In: Aus Politik und Zeitgeschichte, Nr. 35–36/2007.
22. Gerrit Voerman: Linkspopulismus im Vergleich. Die niederländische Socialistische Partij (SP) und die deutsche Linke. In: Populismus in der modernen Demokratie. Die

- Niederlande und Deutschland im Vergleich Waxmann, Münster 2011, s. 179–204.
23. Simon Otjes, Tom Louwerse: Populists in Parliament. Comparing Left-Wing and Right-Wing Populism in the Netherlands. In: Political Studies, Band 63, Nr. 1, März 2015, s. 60–79.
24. Gerrit Voerman, Paul Lucardie: De sociaal-democratisering van de SP. In: Verloren slag, De PvdA en de verkiezingen van november 2006. Wiardi Beckman Stichting, Amsterdam 2007, S. 139–164.
25. Merijn Oudenampsen: Explaining the Swing to the Right. The Dutch Debate on the Rise of Right-wing Populism. In: Right-Wing Populism in Europe. Politics and Discourse. Bloomsbury, London/New York 2013, S. 191–208, auf s. 202.
26. 9e Congres van de SP (Hrsg.): Heel de mens. 18. Dezember 1999
27. tamze,
28. SP Verkiezingsprogramma van de SP 2006–2010. Oktober 2006, s. 68
29. 9e Congres van de SP (Hrsg.): Heel de mens. 18. Dezember 1999
30. Italiens Linke ist völlig planlos Jungle World vom 14. Juli 2011
31. Linke nimmt Export von Kleinwaffen in den Blick. In: heute im Bundestag.
32. Programmvergleich Linke – andere Parteien
33. Bundestagswahlprogramm 2009, S. 54.
34. Beschluss der Parteitage von WASG und Linkspartei. PDS am 24. und 25. März 2007 in Dortmund. Die-linke.de.
35. Beschluss des Bundesausschusses vom 21. September 2008. Die-linke.de.
36. Die Linke
37. Handelsblatt.
38. Verfassungsschutzbericht 2009 s.180.
39. Programm der Deutschen Kommunistischen Partei (DKP).
40. Verfassungsschutzbericht Seite 173.
41. Demokratie auf Kuba « DKP-Nachrichtenportal. In: dkp.de.
42. Kein negativer, kein positiver Stalin-Kult auf der Webseite der DKP.
43. Josef Stalin auf der Webseite der MLPD.
44. Mao Zedong auf der Webseite der MLPD.
45. Karl Marx auf der Webseite der MLPD.
46. Friedrich Engels auf der Webseite der MLPD.
47. Lenin auf der Webseite der MLPD.
48. Ernst Thälmann auf der Webseite der MLPD.
49. Landesamt für Verfassungsschutz Brandenburg Glossar: Kommunistische Partei Deutschlands (KPD),
51. Die Verdienste des Präsidenten Kim Il Sung um den Aufbau des Staates auf der Webseite der KPD.
52. Verfassungsschutzbericht 2007, S. 160: Verfassungsschutzbericht 2007.
53. Tamze,
54. Der Rotfuchs 17 Nr 208 Mai Jahr 2015
55. <http://www.sdaj-netz.de/uber-uns/ags>
56. Party of the european left.com,
57. Party of the european left – news,
58. Die linke.de
59. Frankfurter Neue Presse - Regionale Nachrichten aus dem Rhein-Main Gebiet
60. www.cicero.de/berliner...die-linke-leidet.

WIELCY SOCJALIŚCI

Jarosław Tomaszewicz

Zygmunt Zaremba [1895-1967]



Zygmunt Zaremba był postacią wyłamującą się z wszelkich schematów – enfant terrible naszego środowiska, jak sam o sobie pisał. Jego niekończące się boje na przemian z komunistyczną lewicą i z burżuazyjną czy oportunistyczną prawicą mogły sprawiać wrażenie chaotycznych. W rzeczywistości był to pryncypialny indywidualista, który konsekwentnie zachowywał niezmiennie stanowisko w zmieniającej się sytuacji. Zaremba był lewicowym socjalistą, wiernym rewolucyjnej tradycji marksizmu i zasadom ludowładztwa.

Urodził się 28 kwietnia 1895 r. w Piotrkowie. Pochodził – co dość typowe dla tej generacji działaczy ruchu robotniczego, od Waryńskiego do Piłsudskiego – z rodziny ziemiańskiej o patriotycznych tradycjach. Pierwszy kontakt z piotrkowskimi socjalistami nawiązał jeszcze w szkole. Jako dziesięcioletek wziął udział w strajku szkolnym w 1905 r., rok później wstąpił do Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej, pozostającego pod wpływami Polskiej Partii Socjalistycznej. Młodociany radykał nie ukrywał swego wolnomyślicielskiego stanowiska, co poskutkowało oceną niedostateczną z religii i w rezultacie usunięciem go ze szkoły. Jak jednak wspominał sam Zaremba: Bardziej odpowiadało mi przyjęcie od Chrystusa szlachetnych i pięknych elementów jego nauki, co w życiu współczesnym reprezentował dla mnie socjalizm. Nie doszedłem więc do zasadniczego negowania religii, ale związane z nią obrządki stały się dla mnie obce.

W 1912 r. został członkiem Zarządu Warszawskiego ZMPN, a niebawem wstąpił do PPS – Frakcji Rewolucyjnej. W szeregach tej partii nie zagrzał jed-

nak miejsca – szybko wszedł w konflikt z Piłsudskim, co skierowało go w stronę PPS – Opozycji. Była to grupa niepodległościowych socjalistów pod wodzą Feliksa Perla, krytykująca Frakcję za odchodzenie od socjalistycznych pryncypiów. Za tę działalność został aresztowany w 1914 r., ale wkrótce zwolniono go z braku dowodów – oskarżający prowokator zginął w zamachu. Pierwsza wojna światowa rzuciła Zarembę w głąb Rosji, do Charkowa, gdzie w 1915 r. sformalizował swój trzyletni już związek z Natalią Lipszycową. Pozostał aktywnym działaczem PPS – Opozycji, a po rewolucji lutowej współtworzył charkowskie Zjednoczenie Socjalistów Polskich. Miała to być jednolita organizacja skupiająca wszystkie polskie grupy socjalistyczne, uznająca rewolucję proletariacką za gwarancję niepodległości Polski.

Można powiedzieć, że już wtedy ukształtował się zasadniczy zrąb poglądów Zaremby. Uważał za najważniejsze zadanie socjalistów polskich – niepodległy byt narodowy, gdyż bez niepodległości nie jest możliwe wyzwolenie społeczne. Jak pisał: Gdy naród jest w niewoli politycznej na karku klasy robotniczej, oprócz własnego pasożyta burżuazji, [...] rząd zaborczy siedzi. [...] [dlatego] pierwszym zadaniem robotnika polskiego, pierwszym krokiem do socjalizmu musi być niepodległość.

Podkreślał przy tym, że celem musi być pełna niepodległość Polski, a nie federalizm w ramach Austro-Węgier czy Rosji. Zarazem daleki był od zamykania sprawy socjalizmu w ramach narodowych – głosił konieczność triumfu socjalizmu w całej Europie. Z tym wiązał się – rzadki w szeregach PPS – postulat współpracy z rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Zaremba poparł rewolucję październikową, widząc w niej początek nowej epoki. Choć krytykował rozwiązanie parlamentu przez bolszewików, to uważał, że obalenie [...] władzy Rad Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich – będzie obaleniem klasy robotniczej; dlatego opozycję mieńszewików określił jako zbrodnię wobec ruchu robotniczego. Stanowisko takie sprawiło, że został pełnomocnikiem bolszewickiego Komisariatu do Spraw Polskich w Charkowie. Rewolucyjna polaryzacja doprowadziła jednak do rozpadu ZSP. Wobec fiaska tego „jednolito-frontowego” projektu Zaremba wstąpił do PPS i jesienią 1917 r. został wybrany w skład Centralnego Komitetu Wykonawczego w Rosji.

W 1918 r. wrócił do Polski i zamieszkał w Warszawie. Z marszu rzucił się w wir działalności politycznej, rychło wysuwając na czoło partii. Uczestniczył w przejęciu przez PPS drukarni „gadzinowej” (tj. wydawanej przez niemieckie władze okupacyjne) „Gazety Polskiej”, na bazie której powstała partyjna poligrafia. W listopadzie 1918 r. wybrano go do CKW partii. W 1922 r. jako kandydat PPS został najmłodszym posłem w Sejmie, gdzie pozostawał do 1935 r. Należał do czołowych publicystów socjalistycznych, działał w ruchu spółdzielczym i związkowym. Przy tym wszystkim znajdował czas na czynny udział w dzielnicowej organizacji PPS w swym miejscu zamieszkania. Niepospolicie zdolny, inteligencja żywa, energiczny, dzielne pióro, mówca efektowny – tak oceniali go towarzysze.

W ruchu socjalistycznym reprezentował lewe skrzydło. Początkowo charakteryzowały go skłonności probolszewickie – pozostawał zwolennikiem współpracy z komunistami i obrony Sowiec, jako gwaranta postępu, polemizując w tej kwestii z A. Szczypiorskim. Nie odszedł jednak z PPS wraz z grupami Czeszejko-Sochackiego i Żarskiego, które przyłączyły się do partii komunistycznej. Charakterystyczne było jego stanowisko w czasie wojny 1920 r. Z jednej strony krytykował ekspansję na wschodzie, uważając, że Piłsudski realizuje interesy ziemiaństwa, i sprzeciwiał się udziałowi PPS w koalicyjnym „rządzie obrony narodowej”. Z drugiej współorganizował oddziały robotnicze do walki z najazdem bolszewickim i chciał niepodległej Ukrainy, bo bezpośrednie graniczenie z Rosją to wielkie niebezpieczeństwo dla naszej niepodległości. Sprzecznosc? Niekoniecznie – Zaremba domagał się w tym czasie zwołania ogólnopolskiego zjazdu rad, który ustanowiłby niepodległą Polskę socjalistyczną.

Niewątpliwie barierą odcinającą go od komunizmu była kwestia niepodległości. Broniąc państwa narodowego, pisał: I nie chodzi tu bynajmniej, przez kogo to państwo jest rządzone [...] – chodzi tu o samą treść państwa, [...] o jego terytorium i naród. Państwo, które ma się stać terenem zwycięskiej rewolucji socjalnej [...] musi być państwem jednolitym.

Ale krystalizując swe poglądy w sprawach ustrojowych, Zaremba dostrzegał też inne różnice – twierdził, za programem partii, że ustroj socjalistyczny nie może być urzeczywistniony wbrew większości społeczeństwa, musi tedy opierać się na zasadach demokratycznych, dodając, że akceptowalna jest tylko dyktatura większości społeczeństwa. Uważając, że w Polsce brak jest warunków dla rewolucji proletariackiej, sformułował postulat rządu robotniczo-chłopskiego: Istnienie [...] silnego włościaństwa stwarza konieczność podziału władzy między proletariatem a włościaństwem. Formą tego „ludowładztwa” miały być Rady Delegatów Robotniczych i Chłopskich, uzupełnione o przedstawicieli inteligencji. Rady obdarzone inicjatywą ustawodawczą, uprawnieniami kontrolnymi i prawem weta miały stanowić uzupełnienie Sejmu. Takie stanowisko odróżniało Zarembę zarówno od komunistów z ich hasłem „Cała władza w ręce Rad!”, jak i od reformistycznej większości PPS, ograniczającej się do parlamentaryzmu.

U zarania niepodległości ukształtował też Zaremba zasadnicze założenia swej wizji ustroju społeczno-gospodarczego. Głosząc konieczność dopełnienia demokracji politycznej przez demokrację w zarządzie życiem przemysłowym, rzucił hasło: upaństwowić i uspołecnić zarazem zakłady pracy. W praktyce polegać miało to na zarządzaniu przemysłem przez komitety fabryczne – w ten sposób Zaremba nie tylko chciał ugruntować socjalizm, ale też zmienić psychikę robotnika-najemnika na psychikę robotnika-twórcy.

Poglądy te sytuowały Zarembę w kręgu oddziaływania tzw. austromarksizmu – kierunku w ruchu robotniczym pośredniego między komunizmem i socjaldemokracją, ukonstytuowanego w latach 1921-1923 w Międzynarodową Wspólnotę Pracy Partii Socjalistycznych (tzw. międzynarodówka wiedeńska albo Międzynarodówka II i 1/2). Z tych pozycji Zaremba występował (np. na XIX kongresie PPS w 1924 r.) przeciw udziałowi w rządach koalicyjnych i jednostronnemu parlamentaryzmowi, opowiadając się za współpracą z piłsudczykami (frakcja piłsudczykowska stanowiła wówczas w PPS radykalne, lewe skrzydło).

ło partii). Wywołało to konflikt Zaremby z jego dotychczasowym mentorem Perlem, który oświadczył, że opozycjoniści są malkontentami, którzy ułatwiają działalność komunistom. Konflikt zakończył się porażką Zaremby, popartego przez zaledwie 43 delegatów. Mimo to na XX kongresie partii w 1926 r. Zaremba został wybrany do Rady Naczelnej i CKW.

Uznanie dla radykalizmu piłsudczyków łączył Zaremba z nieprzejednaną wrogością wobec endecji, którą postrzegał jako ucieleśnienie zarówno społecznej reakcji, jak i narodowej ugody. Nic dziwnego, że w maju 1926 r. Zaremba poparł wraz z całą lewicą, komunistów nie wyłączając, przewrót Piłsudskiego (ba, jeszcze w 1962 r. bronił go, przypominając o zagrożeniu przez faszyzm endecko-witosowy). Szybciej jednak niż inni socjaliści przeszedł do krytyki nieodpowiedzialnych przed nikim klik militarno-biurokratycznych. Już w lipcu stwierdzał zdecydowany wpływ na rząd [Kazimierza Bartła] sfer kapitalistycznych i obszarniczych, a w grudniu 1926 r. na forum Rady Naczelnej PPS domagał się zaostżenia kursu opozycyjnego. Rządy sanacji ocenił jako skrajną interwencję na rzecz utrzymania starego porządku, mówił o faszycacji Polski.

Antysanacyjny kurs wymuszał przegrupowanie w ruchu socjalistycznym. Zaremba z jednej strony zaangażował się w walkę przeciw socjalistom-piłsudczykom, którzy w 1928 r. wyodrębnili się w PPS – dawną Frakcję Rewolucyjną, a z drugiej w rozmowy z „austromarksistowską” Niezależną Socjalistyczną Partią Pracy Bolesława Drobnera, która w tymże 1928 r. przyłączyła się do PPS. W tym okresie pozycja Zaremby w PPS umocniła się: nie tylko znów został wybrany do CKW na XXI kongresie, ale przejął też kierowanie polityką wydawniczą partii, zyskując sobie przydomek czerwonego Hearsta (od nazwiska amerykańskiego magnata prasowego). Akces drobnerowców zmienił układ sił w PPS. Zaremba, do tej pory plasujący się na pozycji lewoskrzydłowej, teraz znalazł się w centrum, moderując sprzeczne tendencje partyjnej prawicy (Zygmunt Żuławski, Adam Ciołkosz) i nowej lewicy (Drobner, Stanisław Dubois). Wbrew partyjnej prawicy uważał przejęcie władzy przez proletariat za cel bezpośredni PPS, ale zarazem – inaczej niż lewica – nie uważał tego za cel jedyny, podnosił rolę postulatów częściowych. Odrzucał zarówno komunistyczną formułę dyktatury proletariatu, jak i reformizm, który dla form demokratycznych gotowy byłby poświęcić treść społeczną nadchodzącego przewrotu.

Takie stanowisko znajdowało swe odzwierciedlenie w koncepcji sojuszków – tu również Zaremba reprezentował poglądy odmienne zarówno od prawego, jak i lewego skrzydła. Nie chciał ograniczania się do metod parlamentarnych, warunkującego sojusz z partiami centrowymi. Na XXII kongresie w 1931 r. wystąpił przeciw kompromisowi z najrozmaitszymi żywiołami na platformie politycznej demokracji, krytykując z radykalnych pozycji Centrolew. Chciał sojuszu z chłopami – ale nie z partiami chłopskimi. Bliżsi byli mu lewicowi piłsudzczy z Klubów Demokratycznych.

Sceptyczny pozostawał też wobec zbliżenia z komunistami (choć osobiście przyjaźnił się np. z Jerzym Borejszą). O ile początkowo skłonny był popierać

tw. pakt o nieagresji PPS i KPP, to po procesach moskiewskich 1936-1937, masakrujących starą gwardię bolszewicką, zmienił zdanie i uznał PPS za jedyną siłę polskiej klasy robotniczej. Konsekwentnie jednak domagał się legalizacji KPP – pisał: Demokracja polska musi czerpać swą siłę [...] nie z zakazów i ograniczeń wolności, lecz z poczucia swej głębokiej słuszności [...] skazywać, znosić, delegalizować wolno tylko na podstawie dokonanych czynów, a nie wyznawanych przekonań. W tym okresie Zaremba zrewidował swój stosunek do ZSRR – uznał, że próba budownictwa socjalistycznego w zacofanym kraju w warunkach izolacji doprowadziła do degeneracji systemu. W 1934 r. biurokratyczna nowa klasa rządząca pod wodzą Stalina przejęła ostatecznie władzę, ustanawiając państwo dyktatury nowej biurokracji. Odmawiał ustrojowi radzieckiemu miana socjalizmu, określając go jako amalgamat upaństwowionej gospodarki i despotyzmu barbarzyńskiego nowej rządzącej kasty. Tym niemniej państwowy kapitalizm ZSRR traktował jako ustrój przejściowy do socjalizmu.

Systemowi sowieckiemu przeciwstawiał własną wizję socjalizmu, doprecyzowując wcześniejsze założenia. Uważając biurokratyczną skostniałość za główne zagrożenie dla socjalizmu, podtrzymywał nacisk na robotnicze współzarządzanie w przemyśle; pisał, że wewnętrzne życie przedsiębiorstwa państwowego musi się opierać o zasady słusznej płacy i demokratycznego zarządu z udziałem przedstawicieli związków zawodowych i organizacji konsumenckich. W polemice z komunistami podkreślał, że – w odróżnieniu od ZSRR – w procesie budowania socjalizmu w Polsce należy dążyć do szybkiego podniesienia stopy życiowej mas pracujących. To prowadziło do pewnych przewartościowań. W handlu podstawą nowego aparatu wymiany miała być spółdzielczość, ale dostrzeżemy tu nowy wątek – Zaremba zaznaczał: nie będziemy [...] niszczyli nawet [...] wyzyskującego ludność aparatu prywatnego pośrednictwa [...], póki nie zbudujemy spółdzielczej organizacji o dostatecznej sile i sprawności. Kolejnym novum było uznanie trwałej roli drobnej własności w rzemiośle. To samo dotyczyło rolnictwa: tu nie przewidywano nacjonalizacji ziemi, lecz reformę rolną i rozwój dobrowolnej spółdzielczości wiejskiej, współlistniejącej z gospodarstwami rodzinnymi.

Różnił się również od sowieckiego model ustroju politycznego. Zaremba wypracował odmienną od komunistycznej formułę dyktatury proletariatu. Pisał, że komunistycznemu hasłu dyktatury proletariatu przeciwstawił [...] program PPS hasło rządów socjalistycznych, [...] zdolnych do odparcia ataków reakcji, ale podległych kontroli mas i od tych mas zależnych. Podkreślał konieczność kontroli mas ludowych nad rządem robotniczo-chłopskim, jako że – jak wyznał – obawiam się zarówno biurokracji sanacyjnej, jak i swojej własnej. Służyć miały temu szerokie gwarancje praw obywatelskich, rozwój samorządności, przekazanie funkcji policyjnych samorządom, utworzenie armii typu milicyjnego. Zapowiadał: Skończy się biurokratyczne pasożytnictwo w instytucjach państwowych.

Ostrość konfliktów narodowościowych w latach 30. wymusiła na Zarembie podjęcie problemu mniejszości narodowych, a zwłaszcza żydowskiej. Działacz PPS ostro wystąpił przeciw antysemityzmowi, nie demonizował go jednak jako wcielenia metafizycznego zła, lecz poddawał marksistowskiej analizie. Pisał, że antysemityzm eksploatuje budzące się i nieświadome odruchy uczuciowe wy-

wołane przez stosunki społeczne. Personifikuje źródło krzywdy w najbardziej powierzchownej, lecz bliskiej wyobraźni formie: Żyda konkurenta dla drobno-mieszczanina, Żyda fabrykanta lub bankiera dla robotnika. Charakterystyczna była jego polemika z Janem Maurycym Borskim – ten publicysta PPS (notabene żydowskiego pochodzenia) w broszurze „Sprawa żydowska a socjalizm” przyjął punkt widzenia syjonistów: Żydzi stanowią osobny naród, który nie czuje związku z Polską, więc najlepszym rozwiązaniem będzie emigracja do Palestyny. Zaremba stanął na stanowisku wypracowanym przez sojusznicy Bund, domagając się autonomii narodowo-kulturalnej dla Żydów w Polsce. Uzasadniał: Miarę dla Żydów i Arabów mam jednakową. Występuję przeciwko zmuszaniu Żydów do emigracji z Polski i nie mogę pogodzić się z tym, że Arabów wolno wypędzać z ich siedzib.

U schyłku lat 30. na porządku dnia stało zagrożenie ze strony hitlerowskich Niemiec – zagrożenie podwójne, bo zarówno dla bytu narodowego Polski, jak i dla socjalistycznego programu politycznego. W tych warunkach Zaremba złagodził swe opozycyjne stanowisko, licząc na ustępstwa ze strony sanacji; w 1939 r. opowiedział się za utworzeniem rządu obrony narodowej. Podkreślał jednak: dajemy [...] przede wszystkim wyraz [...] nieugiętej walki z każdą próbą targnięcia się na naszą niepodległość. Ale wraz z tym twierdzimy [...], że nasze postulaty wewnętrznej przebudowy państwa to jedyna droga do jego rozwoju i zdobycia jak największej potęgi. Braterskie współzycie wszystkich narodowości [...] zniesienie wyzysku kapitalistycznego.

Gdy Rzesza zaatakowała Polskę, Zaremba znów stanął w pierwszym szeregu aktywistów. Już 1 września 1939 r. współtworzył Robotniczy Komitet Pomocy Społecznej (potem Komitet Obywatelski Obrony Warszawy), a 5 września – przezwyciężając opór defetystycznie nastawionych wojskowych – przeforsował utworzenie Ochotniczej Robotniczej Brygady Obrony Warszawy. Po kapitulacji to od niego wyszła propozycja reorganizacji ruchu socjalistycznego: działalność PPS została zawieszona, a na jej miejsce w październiku powstał Ruch Mas Pracujących Miast i Wsi „Wolność – Równość – Niepodległość”. WRN budowany był na fundamencie partyjnego centrum, bez udziału radykalnych lewicowców i zwolenników Żuławskiego.

W socjalistycznym podziemiu Zaremba działał pod pseudonimem „Marcin”, posługując się również nazwiskami Czajkowski i Smreczyński. Zajmował się konspiracyjnymi wydawnictwami, reprezentował też WRN w namiastce podziemnego parlamentu – Głównej Radzie Politycznej. Najważniejszą rolę odegrał wszakże jako ideolog ruchu, pisząc wspólnie z ludowcem Stanisławem Miłkowskim i demokratą T. Wojeńskim „Program Polski Ludowej”, a w 1944 r. publikując rozprawę „Demokracja społeczna. Próba wizji okresu przejściowego”.

Zaremba wychodzi tu od analizy współczesnych stosunków społecznych. Stwierdza, że kapitalizm znajduje się w fazie schyłkowej, przekształcając się w menedżerski superkapitalizm – kartel karteli kapitalistycznych. Towarzyszył mu temu kryzys demokracji burżuazyjnej, którego przejawem stał się faszyzm

jako antydemokratyczna odpowiedź klas posiadających na zagrożenie ze strony mas ludowych. Faszizm wszakże, pełniąc początkowo funkcję gwardii pretoriańskiej kapitalizmu, później uniezależnił się, co doprowadziło do kulminacji sprzeczności.

Zdaniem Zaremby kapitalizm wyczerpał już wszystkie możliwości, dlatego jedyną alternatywą dla świata pozostaje socjalizm. Podtrzymywał swój projekt gospodarki uspołecznionej, w której nacjonalizacji lub komunalizacji podlegałyby wszystkie zakłady zatrudniające ponad 50 pracowników; wciąż akcentował rolę samorządu pracowniczego (zwieńczonego Państwową Radą Planu Gospodarczego), pisząc, że bez ich [pracowników – J.T.] udziału w kierownictwie przedsiębiorstwa – nie do pomyślenia jest stworzenie społeczeństwa wolnych ludzi pracy. Zarazem – zapewne to ustępstwo na rzecz ludowców – wyraźniej zaznaczał, że podstawą ustroju rolnego będzie samodzielny warsztat rolniczy obrabiany rękami osiadłej na nim rodziny.

Pewnej modyfikacji (choć głównie w zakresie frazeologii) uległa wizja ustroju politycznego. Demokracja społeczna definiowana była już nie jako rząd robotniczo- chłopski, ale jako rządy większości, którym mniejszość musi się podporządkować, korzystając jednocześnie z praw kontroli i krytyki. Podkreślał, że wolność jednostki zapewniona będzie przez stałą kontrolę społeczną nad aparatem państwa, ta zaś – przez rozwój samorządności i system wielopartyjny.

Wyraźnemu zaostrzeniu uległ w tym okresie antykomunizm Zaremby. Oto komunizm bez maski! – pisał o pakcie Ribbentrop-Mołotow. Wykazał on nie przeciwieństwo, lecz pobratymstwo z faszyzmem – pokrewieństwo totalistycznego podkładu ideowego. W ZSRR uległa zaprzeczeniu kwestia najważniejsza, a mianowicie sam człowiek. Jego życie, jego zdrowie, jego wolność. W 1941 r. wraz z Pużakiem i Arciszewskim skierował list do socjalistów w Londynie, krytykujący układ Sikorski-Majski i postulujący stanowcze [...] zwalczanie [...] prądów sowiefolskich. Trzy lata później opowiedział się za wybuchem powstania w Warszawie (co wywołało sprzeciw Pużaka), a w czasie walk redagował „Robotnika”. Dla Zaremby antyfaszystowskie powstanie zbrojne było przejawem wierności imponderabiliom – zasadom Niepodległości i demokratycznego Socjalizmu. W odezwie z 3 października 1944 r. zapowiadał, że powstańcy, którzy dziś walczą o Polskę całą i niepodległą, jutro urzeczywistnią wielki program przebudowy społecznej i wolności obywatelskiej. W tym duchu napisał „Powstanie sierpniowe” – ujętą z lewicowego punktu widzenia relację z powstania warszawskiego, porównującą je do Komuny Paryskiej.

Po kapitulacji powstania Rada Jedności Narodowej (dawna Główna Rada Polityczna) wydelegowała Zarembę do Londynu, nie zdołał jednak tam wyjechać. Zamiast tego odbudowuje pod komunistycznym reżimem konspiracyjne struktury PPS-WRN, wydając w Krakowie biuletyn „AS”. Początkowo bierze pod uwagę, by zachowując krytyczne stanowisko, szukać sposobów włączenia się w nowy układ stosunków, dlatego utrzymuje kontakty z Józefem Cyrankiewiczem z prokomunistycznej „lubelskiej” PPS. 1 lipca 1945 r. na forum RJN oświadczył, nawiązując do powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, że okres państwa podziemnego kończy się z chwilą utworzenia w kraju rządu, który zyskuje uznanie sprzymierzonych. Gdy jednak konspiracyjna PPS-

-WRN zdecydowała o samorozwiązaniu i wstępowaniu w szeregi PPS „lubelskiej” – Zaremba wraz z Pużakiem pozostał w opozycji.

Jesienią 1946 r. wyjechał do Francji, rozpoczynając ostatni, emigracyjny etap swego życia. Od 1947 r. wydaje socjalistyczny periodyk „Światło” i publikuje w nim, opracowuje program zjazdu PPS w Pont-a-Lesse. Na zjeździe polskich socjalistów w Ardenach w maju 1948 r. został wybrany przewodniczącym Rady Partyjnej, podczas gdy Ciołkosz stanął na czele Centralnego Komitetu Zagranicznego. Jako reprezentant PPS wiosną 1947 r. współtworzył Międzynarodowe Biuro Socjalistyczne, w 1949 r. przekształcone w Unię Socjalistyczną Krajów Europy Środkowo-Wschodniej, a od 1951 r. afiliowane przy Międzynarodówce Socjalistycznej. Od 1950 r. uczestniczył w pracach Committee of International Socialist Conference, w 1951 r. wziął udział w kongresie Międzynarodówki Socjalistycznej we Frankfurcie.

Aktywnie uczestniczy w życiu polskiego wychodźstwa. W 1947 r. poparł przejście PPS do opozycji wobec rządu Bora-Komorowskiego – z inicjatywy socjalistów powstał blok lewicy – Porozumienie Polskich Stronnictw Demokratycznych – z udziałem ludowców, Polskiego Stronnictwa Demokratycznego, Stronnictwa Pracy i postpiłsudczykowskiej grupy Niepodległość i Demokracja. Kilka lat później zmienił zdanie i zaangażował się w tworzenie Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, opartej na kompromisie ze Stronnictwem Narodowym, choć nietrudno zauważyć, że wspólnym mianownikiem tego porozumienia był opór wobec mafii sanacyjnej.

Komunistyczne rządy wyostrzyły sprzeciw Zaremby wobec sowieckiego modelu socjalizmu. Uważał, że przeprowadzane w kraju reformy idą zbyt daleko; krytykował hipertrofię sektora państwowego i biurokracji, sposób przeprowadzania nacjonalizacji (likwidacja małych firm) i reformy rolnej, forsowną industrializację i kolektywizację rolnictwa, wreszcie – last but not least – uzależnienie od ZSRR. Postulował oparcie produkcji rolnej na [...] samodzielnych gospodarstwach chłopskich zrzeszonych na zasadach dobrowolnej i demokratycznej spółdzielczości kredytowej. [...] Zachowując w ręku państwa główne dźwignie życia gospodarczego i oddając środki produkcji pod bezpośredni zarząd i kontrolę producentów i konsumentów, gospodarka socjalistyczna winna zostawić swobodę drobnym producentom i rzemieślnikom [...], aby mogli [...] wypełnić luki w gospodarce państwowej. Z tego powodu domagał się prowadzenia nieustępliwej walki z imperializmem sowieckim i jego agenturami w imię odzyskania niepodległości, krytykując zachodnią socjaldemokrację za przemilczanie zbrodni sowieckich.

Poglądy Zaremby i tak odbiegały jednak od głównego nurtu polskiej emigracji. Twardo oznajmiał, że nie ma powrotu do czasów przedwrześniowych, występował przeciw walce zbrojnej. Już w 1946 r. gotów był zaakceptować granicę wschodnią, bronił też w imię elementarnych interesów narodowych granicy na Odrze i Nysie. Jesienią 1948 r. – po usunięciu Gomułki – dostrzegł wielonurtowość PPR.

W tym nurcie poszukiwania – jak to ujął Melchior Wańkowicz – trzeciego miejsca mieściła się idea Stanów Zjednoczonych Europy, jako socjaldemokratycznej siły przełamującej dwubiegunowy podział świata na bloki komunistyczny i kapitalistyczny. Warto jednak zwrócić uwagę, że federalizm Zaremby miał charakter nie tyle kosmopolityczny, co internacjonalistyczny – podmiotem pozostawały narody, a nie abstrakcyjna społeczność międzynarodowa. Pisał on: Socjalizm Międzynarodowy winien wysunąć ideę całkowitej wolności narodów i ras, pełnego [...] ich samookreślenia oraz pełnej ich równości.

W miarę upływu lat narastał krytycyzm Zaremby wobec zdominowanego przez nostalgiczną prawicę środowiska emigracyjnego. Jak pisał, emigranci na pozór wybrali wolność, [a] w rzeczywistości wybierali dla siebie możliwość życia w dogodniejszych warunkach. Jego ideowy pryncypializm, wierność swej proletariackiej ideologii nakazywały PPS zajmowanie pozycji odrębnej i samodzielnej oraz stworzenie własnych organów [...] o wyraźnym socjalistycznym charakterze. Dlatego coraz krytyczniej oceniał szopkę legalistyczną, domagał się wyraźnego rozgraniczenia elementów wstecznych od lewicowych i zerwania z konformistyczną frazeologią pseudopatriotyczną. Istotną rolę odgrywała postawa Zaremby – jak go określiła Wanda Czapska-Jordan: optymista z natury – której istotą było nie obrażanie się na historię, lecz tkwienie w prądzie przyszłościowym. Zawsze starał się patrzeć w przyszłość i w niej odnajdywać symptomy zmian na lepsze. Jak podkreślał, od roku 1945 nie liczył na wojnę [jako metodę obalenia komunizmu – J.T.], lecz na siły żywotne narodu i naszej klasy robotniczej.

Wydarzenia 1956 r. w kraju – najpierw Poznański Czerwiec, potem Październik – były dla Zaremby dowodem na słuszność tego stanowiska. Pisał, że klasa robotnicza nie tylko żyje, ale potrafi również wznieść się na wyżyny rewolucyjnej manifestacji, natomiast tzw. antykomunistyczne siły, reprezentujące pełną negację zaszłych przemian [...] były nieobecne w tym powszechnym poruszeniu serc i umysłów. Uważał, że klasa robotnicza na razie poparła Gomułkę, ale nie przestanie napierać w kierunku gruntownych przeobrażeń całego systemu. Dokonujące się na przełomie 1956 i 1957 r. przemiany uznał za realne (nie kosmetyczne) i pozytywne, ale niewystarczające, dlatego należy popierać [...] utrwalenie się tych wyników przewrotu październikowego, które dały większe usamodzielnienie się Polski wobec ZSRR [...]. Należy nie ustawać w walce o dalszy rozwój października, a w pierwszym rzędzie o odbudowanie niezależnego ruchu robotniczego. IV zjazd emigracyjnej PPS w 1957 r. dokonał pozytywnej oceny Października, a Zaremba usiłował uzyskać zgodę na rozpowszechnianie „Światła” w kraju.

Październik '56 okazał się niewykorzystaną szansą – po latach Zaremba oceniał, że batalia październikowa została przegrana, gdyż Gomułka uległ logice totalitarnej natury partii. Wydarzenia te wyznaczyły jednak nową strategię PPS pod kierunkiem Zaremby. W styczniu 1959 r. Rada Centralna partii w Lens zażądała wyjścia socjalistów z TRJN, w następnym roku doszło do zerwania

współpracy z prezydentem Zaleskim. Zwrot ten doprowadził do secesji grupy socjalistów (Adam Pragier, małżeństwo Ciołkoszów) stojących na platformie jedności narodowej na emigracji. Dla Zaremby jedność narodowa była zawsze, jak pisał, oszustwem ideologicznym.

Nowa strategia stała się dla Zaremby okazją do pogłębienia i rozwinięcia analizy komunizmu. Uważał ewolucję ruchu i systemu komunistycznego za obiektywną i historycznie zdeterminowaną. Pisał, że nie ma możliwości zawrócenia z tej drogi [demokratyzacji – J.T.], że świat komunistyczny podlega głębokiemu i nieodwracalnemu [...] procesowi przemian w kierunku dobrobytu i wolności. Zauważył, że przełom ideologiczny, jaki miał miejsce po śmierci Stalina, był skutkiem przemiany pokoleniowej, która do kierownictwa wprowadziła pragmatyków stawiających na pokojowe współistnienie z Zachodem. Punktem wyjścia była jego teoria nowej klasy rządzącej w państwach komunistycznych (oligarchiczna klasa [...] biurokratów partyjnych i państwowych [...] czerpiąca liczne przywileje z faktu posiadania nieograniczonej władzy i dysponująca wszystkimi środkami produkcji), którą, jak podkreślał, sformułował wcześniej niż powstała podobnie zwana teoria Milovana Đžilasa. Nowa klasa stopniowo odchodziła od frazeologii klasowo-proletariackiej na rzecz narodowej (co Zarembo krytykował z pozycji lewicowych), a rządzące partie komunistyczne stawały się partiami ogólnonarodowymi. W rezultacie monopartia przeistaczała się z zakonu w mikrospołeczeństwo – odzwierciedlenie realnego społeczeństwa – a sprzeczności klasowe przenoszone były do jej wnętrza.

Szczególnie wyraźnie widać było to, jego zdaniem, w państwach satelickich, gdzie występuje rozdzielenie partii na oddanych Rosji przywódców [...] oraz na zwykłe pionki partyjne, żyjące troskami i nadziejami społeczeństwa. Co więcej, Zarembo dostrzegał w tych partiach działaczy, którzy chcą bronić własnej klasy robotniczej i najlepiej pojętych interesów własnego narodu. W ten sposób formowała się opozycja wewnętrzna w partiach komunistycznych, nacechowana dążeniem do uzyskania niezależności wobec Związku Radzieckiego.

Zarembo utożsamiał tę opozycję z tzw. rewizjonistami – nurtem ideowym młodej inteligencji komunistycznej, krytykującym marksistowsko-leninowski dogmatyzm. W jego oczach nie była to garstka intelektualistów, ale żywiołowy oddolny ruch, wyraz klasowych interesów [...] proletariatu. Traktował rewizjonistów jako część opozycji demokratycznej działającą wewnątrz partii komunistycznej, a nawet jako opozycję socjalistyczną w obozie komunistycznym – załączek nowego odrodzenia socjalizmu w naszych krajach. Krytykował co prawda rewizjonizm za niekonsekwencję (przede wszystkim za uznawanie systemu monopartyjnego), ale w oczach pryncypialnych antykomunistów takie stanowisko Zaremby i tak było nieledwie zdradą.

Tym bardziej, że Zarembo szedł jeszcze dalej, proklamując gotowość otwarcia na ruch komunistyczny jako taki. Pisał o konieczności rozbicia tumanu myślowego „antykomunizmu”, malującego diabła niezmiennie grożącego Ludzkości swymi widłami. Twierdził, że wśród komunistów przybywa coraz

więcej ludzi rozumiejących, że socjalizm bez wolności człowieka jest potworną karykaturą. Z drugiej strony nie ukrywał swego krytycyzmu wobec ewolucji zachodniej socjaldemokracji, której zarzucał zatuszowanie klasowego oblicza, żalosne wrażenie demonstracji ideologicznej pustki, „upaństwowienie” socjalizmu w ramach istniejących stosunków. Nietrudno dosłyszeć tu echa modnej wtedy teorii konwergencji, zakładającej nie tylko koegzystencję, ale też wzajemne zbliżenie przeciwstawnych systemów. Na konferencji wschodnioeuropejskich socjalistów w Amsterdamie w październiku 1963 r. Zaremba wygłosił referat „O aktywną politykę socjalizmu wobec ruchu komunistycznego”, który – jak wspominał – wywołał święte oburzenie i dał okazję do wygłaszania płomiennych mów antykomunistycznych (powtarzanych od dziesięciu lat bez zmiany). Głosił w nim tezę o utrwaleniu rewizjonizmu jako stałego zjawiska wewnętrznego w ruchu komunistycznym, co miało umożliwić likwidację rozłamów w ruchu robotniczym. Zaremba oznajmiał jednak zarazem, że niemożliwa jest solidarność między więźniem i dozorcą. Odbudowa jedności ruchu robotniczego miała się odbywać na zasadach równości różnych kierunków (komunistycznego, socjaldemokratycznego, syndykalistycznego i chrześcijańsko-społecznego), niezależności od rządów i demokratycznej organizacji wewnętrznej partii robotniczych.

Jako warunki minimum kompromisu z komunistami Zaremba wysuwał żądania swobody stowarzyszeń (w tym stowarzyszenia wychowawczo-politycznego o charakterze socjalistycznym), wewnętrznej demokracji w ruchu związkowym i spółdzielczym, wreszcie wolnych wyborów do terenowych rad narodowych. W drugim etapie reform miała zostać odbudowana partia socjalistyczna, przeprowadzone wolne wybory parlamentarne i ustanowiona gospodarka trójsektorowa. Był to program wprowadzenia socjalistycznych zasad wolności na podłożu gospodarki upaństwowionej i scentralizowanej. Jak pisał, w warunkach dyktatury komunistycznej najważniejsza jest odbudowa demokracji. Twierdził zarazem, że demokracja to nie tyle określona struktura państwowa, co postawa obywateli, sygnalizując w ten sposób możliwość wykorzystania formalnie demokratycznych instytucji ustrojowych PRL na drodze żywiołowości i drobinkowego oddziaływania. Chcemy na tej drodze skupić wszystkie żywotne siły naszego społeczeństwa, bez względu na dawne i obecne podziały – dodawał, precyzując, że będzie to zgrupowanie sił demokratycznych [...] od komunistycznych rewizjonistów do chrześcijańsko-społecznych. W praktyce próbował to realizować, nawiązując poprzez Barbarę Toruńczyk kontakty z grupą Kuronia, Modzelewskiego i Michnika. Strategię tę określił mianem neopozytywizmu socjalistycznego, przez analogię do neopozytywizmu katolickiego reprezentowanego przez grupę „Znak”.

Pewnej modyfikacji uległ też program Zarembki w zakresie polityki zagranicznej. Oczywiście wierny pozostał imponderabiliom – nieodmiennie twierdził, że sprawa Niepodległości jest ściśle związana ze sprawą Socjalizmu, gdyż proletariatus nie ścierpi na dłuższą metę ani dyktatury, ani niewoli narodowej. Stwierdzając, że Polska to zamaskowana kolonia ZSRR, żądał pełnej swobody państwa polskiego w jego polityce zagranicznej i wewnętrznej. Jednak w swej publicystyce Zarembka nie wraca już do koncepcji paneuropejskich, zadowala-

jąc się neutralizacją Europy Środkowej od Renu po Bug: zjednoczonych Niemiec, Polski, Czechosłowacji i Węgier (bliski był tu przywódca SPD Kurtowi Schumacherowi).

Idee Zaremby z lat 60. nie spotkały się ze zrozumieniem na emigracji. Po krytyce jego amsterdamskiego referatu zgłosił rezygnację ze stanowiska przewodniczącego Wydziału Zagranicznego CKZ. W 1964 r. założył nowy periodyk „Droga”, który miał skupiać wszystkich demokratów polskich stojących nogami na ziemi i myślących kategoriami jutra, a nie lat minionych (biorąc Październik '56 za punkt odniesienia), jednak wobec oporu towarzyszy inicjatywa ta nie odniosła sukcesu. Koncentrował się coraz bardziej na pracy teoretycznej, wydawał kolejne książki: „Narodziny klasy rządzącej w ZSRR” (1963), „Cel i droga” (1963), „Przemiany w ruchu komunistycznym” (1965), „Słowo o Wacławie Machajskim” (1967).

Sterany życiem chciał wrócić do kraju, nie zdążył jednak tego uczynić. Zmarł 5 października 1967 r. w Sceaux.

dr Jarosław Tomasiewicz

Powyższy tekst pierwotnie ukazał się w kwartalniku „Nowy Obywatel” jesienią 2013 roku.

Przedruk w oparciu o publikację na:

<http://lewicowo.pl/prostym-kursem-zygmunt-zaremba/>

Tytuł pochodzi od redakcji.

LEWICA

Szukać tego, co nas łączy na lewicy

Rozmowa z prof. Tadeuszem Iwińskim,
wieloletnim posłem (1991-2015) i działaczem SLD



Co dalej z SLD? Czy partia jest jeszcze w stanie skusić czymś wyborców?

Ostatnie wybory parlamentarne to największa klęska lewicy w historii III RP. Jest ona tym bardziej dotkliwa, że choćby ze skromnym udziałem lewicy w Sejmie, byłibyśmy w stanie zatrzymać PiS, które nie miałyby bezwzględnej większości. Nie mogłoby w sporym stopniu czynić tego, co obserwujemy dziś. Za to wszyscy ponosimy część odpowiedzialności, w największej jednak mierze konkretni ludzie z kierownictwa. Przeważył pogląd, aby iść w szerokiej formule i jako koalicja, co wymagało uzyskania ponad 8% głosów, ale gwarantowało subwencję z budżetu państwa. Opowiadały się za tym mniejsze

ugrupowania, a w Sojuszu to rozwiązanie forsował zwłaszcza sekretarz generalny, ale także np. pierwszy szef naszego sztabu wyborczego, lider organizacji mazowieckiej. Sam byłem zwolennikiem tego, aby Zjednoczona Lewica, ze względu na bezpieczeństwo formacji (uwzględniając przy tym negatywne doświadczenia polskiej prawicy – „Ojczyzny” z 1993 r. i AWS Prawicy z 2001r.– oraz analogie z Turcji, gdzie obowiązuje próg 10%) poszła do wyborów jako komitet wyborczy (np. tak, jak Kukiz’15). Wówczas wystarczyło przekroczyć próg 5%, choć nie byłoby subwencji. Nawet przy naszym słabym wyniku, 7,55%

głosów, dysponowalibyśmy ok. 30 mandatami (więcej niż Nowoczesna), mając gwarancję obecności w mediach i kilku milionów złotych rocznie na klub parlamentarny. Uznano jednak, że to wariant defensywny, a nie ofensywny i wiemy, jak to się skończyło. Okazał się po prostu śmiertelnie ryzykowny! Mówię o tym otwarcie, jako zwolennik tezy Kennedy'ego, że „lepsze są nieprawdziwe prawdy, niż nieprawdziwe iluzje”.

SLD powinien się obecnie nade wszystko umocnić, ale mieć zarazem świadomość, że w następnych wyborach warto wystąpić jako szeroki front lewicy – w rodzaju dawnego włoskiego „Drzewa Oliwnego”. SLD, czy to się komuś podoba czy nie, nadal jest najsilniejszą partią na lewicy, ale koncepcja jego dalszego funkcjonowania, wymaga głębszej analizy. Swego czasu w ramach SLD (do 1999 r. nie był on partią polityczną, lecz wyborczą strukturą koalicyjną i Klubem Parlamentarnym) skupiało się ponad 30 podmiotów, w tym organizacje społeczne, kobiece i młodzieżowe, związki zawodowe (nie tylko OPZZ), oraz ugrupowania polityczne. To się składało na rzeczywisty sojusz. Na dziś kluczowym zadaniem jest, aby elektorat lewicy społecznej, który głosował ostatnio częściowo PO i Nowoczesną, a nawet na PiS, ale w wielkim stopniu pozostał w domu, wrócił do SLD. Ci ludzie są w dużej mierze rozczarowani polityką i otaczającą nas rzeczywistością. Warunkiem powrotu jest autentycznie lewicowy program oraz świecenie własnym przykładem.

Dla części wyborców SLD, sporym zaskoczeniem, a w konsekwencji odpuszczeniem sobie wyborów, była koalicja z Januszem Palikotem, którego elektorat SLD nie znosił. Przez cztery lata w Sejmie Leszek Miller toczył z przewodniczącym Ruchu Palikota zażarte spory. Raptem, kilka miesięcy przed wyborami, obaj głoszą, że do wyborów idą razem.

Zgadzam się. Kłopot polegał na tym, iż w kampanii wyborczej nie udało się swoiście schować Millera i Palikota, tak jak się udało PiS-owi schować Jarosława Kaczyńskiego oraz kilku jego najbliższych współpracowników. Projekt samego połączenia nie był zły, sam opowiadałem się za tą ideą: ludzie przy tym lubią, gdy politycy potrafią się porozumieć. SLD w sondażach w tamtym okresie miał różne poparcie, od 2% do 5%. Trochę za późno jednak wystartowaliśmy z projektem Zjednoczonej Lewicy i za późno też dokonujemy zmiany na funkcji szefa Sojuszu.

Pomysł, aby to Barbara Nowacka była naszą liderką, według mnie się sprawdził, choć była ona współprzewodniczącą struktury Janusza Palikota. Nam zabrakło niewiele ponad 60 tys. głosów. Otarliśmy się o próg wyborczy, o przysłowiowy włos. Ponadto wyraźne i bezmyślne „pompowanie” w ostatnich dniach kampanii przez liberalne środowiska partii Razem – nota bene powinna ona nazywać się „Osobno” skutecznie odebrało nam głosy, tak potrzebne do przekroczenia progu. Warto przy tym zaakcentować, iż obie te listy wsparło łącznie 1,7 miliona wyborców; przy wspólnym starciu dawało to 47 mandatów. Tuż po wyborach, byłem w Paryżu i w Lizbonie. Tam nikt nie chciał uwierzyć, że nie dostaliśmy się do Sejmu. Jesteśmy bowiem jedynym państwem w Europie, bez lewicowej reprezentacji w parlamencie!

Od pewnego czasu wokół SLD brakuje intelektualistów, nie ma żadnych klubów dyskusyjnych, młodzież nie garnie się do partii. Można niekiedy odnieść wrażenie, że partia zajmuje się sama sobą.

Jest tygodnik „Przegląd”, który cechuje bardzo wysoki poziom. Dobrze, że odrodziła się „Trybuna”, choć jej czytelnictwo jest zdecydowanie za małe. Mimo starać wciąż za słabo wykorzystujemy internet i nie potrafimy uruchomić potencjału młodego pokolenia. Z aktywnością wśród kobiet jest trochę lepiej, choć dotyczy to szczególnie środowisk wielkomiejskich. Ogromnym problemem jest wielkie geograficznie zróżnicowanie wpływów lewicy. Historyczne i socjologiczne uwarunkowania, wszystkiego nie wyjaśniają. Jeżeli na 41 okręgów wyborczych do Sejmu, tylko w 18 przekroczyliśmy próg 8%, mówi to samo za siebie. Aż w sześciu uzyskaliśmy poniżej 5% i to nawet w mającym takie tradycje Radomiu.

W wyborach generalnie powinniśmy stawiać na ludzi, którzy mają największą siłę przyciągania głosów – to dziś jedyne kryterium wyborcze. Pod tym względem popełniliśmy wiele błędów, np. w ubiegłych wyborach nie oferując pierwszego miejsca w Krakowie prof. Janowi Widackiemu, czy w tych nie wystawiając w ważnym okręgu wrocławskim posła Elsnera oraz nie przyjmując oferty senatora Józefa Piniora. Szczególnie na tym tle należy docenić wynik, jaki zdobył Jerzy Wenderlich, który jako jedyny wygrał ze wszystkimi rywalami, w tym z PiS i PO w swoim okręgu. Powinniśmy też umieć uczyć się od konkurencji. Przykładem jest np. determinacja, jaką wykazuje się „Gazeta Polska”, ideowo związana z PiS, która m.in. poprzez swoje kluby, sprzyja głębokiemu osadzeniu tej partii nawet na poziomie powiatów i gmin. Takiej bazy nie potrafiłszy wypracować. Ponadto zdecydowanie niedostatecznie otaczaliśmy się środowiskami naukowymi i ludźmi kultury. Więcej trzeba ośrodków i fundacji typu im. Ignacego Daszyńskiego, Kazimierza Kellles-Krauza i Ferdynanda Lassalle’a. Potrzebne są też regularne, okresowe konferencje i dyskusje programowe.

I to jest chyba zadanie dla SLD, aby pomóc tym, którzy chcą wspomóc lewicę. Przed wojną posłowie PPS dużą część swoich pieniędzy, przeznaczali na swój organ prasowy „Robotnika”. Dziennik Trybuna aż prosi się o pomoc.

Zgadzam się absolutnie. Podobnie jest z „Przeglądem Socjalistycznym”. Kilkakrotnie zwracałem na to uwagę na posiedzeniach SLD. Na szczęście „Myśl Socjaldemokratyczna” dzielnie sama sobie daje radę. Nurt intelektualny polskiej lewicy zawsze był znaczący. Te cztery lata poza Sejmem, to będzie wielkie wyzwanie dla Sojuszu. Należy szykować się na długi marsz lewicy.

Jaka powinna być dziś strategia Sojuszu, aby wrócić do Sejmu? Partii, która po raz pierwszy jest poza Sejmem, której ciężko będzie przebić się do świadomości społecznej, bez dostępu do mediów.

To, co w miniowych latach SLD osłabiało, to również pewien kryzys lewicy na świecie, w tym w Europie, choć można znaleźć przykłady, gdzie radzi ona

sobie nie najgorzej, jak choćby w Szwecji, w Grecji, we Francji, we Włoszech, na Słowacji i Czechach, ostatnio w Portugalii i w Hiszpanii a nawet w Niemczech. Nie potrafiliśmy tu nad Wisłą stworzyć alternatywy dla tego modelu kapitalizmu, który bardziej przypomina latynoamerykański niż nowoczesny europejski. Często zapominamy o tym zapisie polskiej Konstytucji (art. 20), mówiący wyraźnie, iż podstawą polskiej gospodarki jest społeczna gospodarka rynkowa. Tymczasem, to z pewnością jest antyspołeczna jej odmiana. Należy znaleźć właściwą równowagę między rolą rynku a rolą państwa. U nas ta ostatnia sprowadza się głównie do strażnika bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego (w nauce – funkcji „nocnego stróża”). Zabrakło regulacyjnej oraz integracyjnej roli państwa. Zawsze byłem adwokatem tzw. teorii konwergencji pozytywnej, aby syntetycznie połączyć najlepsze cechy ustroju socjalistycznego i kapitalistycznego. My mamy dziś w praktyce konwergencję w jej wersji negatywnej.

Przez siedem kadencji byłem posłem z Warmii i Mazur, regionu gdzie zawsze było największe bezrobocie i duży odsetek ludzi, którzy pracowali w PGR-ach. Oni po ich upadku, w rezultacie reformy Balcerowicza, nie otrzymali od państwa żadnej pomocy, zostali skazani na samych sobie. Powinniśmy więc m.in. chronić ofiary transformacji. Mamy dobrą Konstytucję, a wspominam o tym nie dlatego, że przez cztery lata (1993–1997) byłem członkiem Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, która przygotowała projekt naszej ustawy zasadniczej. Ale gdy czyta się ludziom jej liczne artykuły, to widzę często ich rozczarowanie, tym, że co innego mówi Konstytucja, a co innego jest w rzeczywistości. Niestety nie kładliśmy jako Sojusz, dostatecznego nacisku na to, aby te niektóre, podstawowe zapisy, były właściwie realizowane. Bo czy Polska jest „dobrem wspólnym wszystkich obywateli” (art.1), „demokratycznym państwem prawnym urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej” (art.2)? Czy obywatele mają „równy dostęp do świadczeń opieki zdrowotnej, finansowanej ze środków publicznych?” (art.68), a „nauka w szkołach publicznych jest bezpłatna”(art. 70)? To tylko niektóre przykłady.

Ponadto musimy poprawić styl naszego działania. Jak pisała Eliza Orzeszkowa „Jeśli kogoś do czegoś chce się porwać, to samemu należy mieć w sobie żar”. Tego często w szeregach lewicy brakuje, a na pewno jest go za mało. Wreszcie każdy z nas popełnia błędy, jednak z list SLD niekiedy kandydowały osoby, które traktowały politykę jako karierę, a nie służbę. Warto coś zrobić konkretnego, nawet na niewielką skalę. Np. przez wszystkie lata, od początków wyborów na posła w 1991 r., co miesiąc wpłacałem określoną kwotę na Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Szczytnie i utrzymywałem z nim stały kontakt. Sam czułem się z tym lepiej. Prowadziłem również inną akcję. Znajdowałem sponsorów (sam to też czyniłem), aby fundować roczne, spore stypendia dla uzdolnionych maturzystów, wywodzących się z rodzin znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej, aby mogli podjąć wyższe studia. Mam naturalnie świadomość iż to kropla w morzu potrzeb, ale przez tyle lat tych stypendystów zebrało się ok. setki.

A inne zaniedbania?

Banałem jest, iż trzeba słuchać bardziej ludzi. Niemal każdy polityk lubi mówić, gorzej jest ze słuchaniem, a najgorzej z wyciąganiem wniosków z tego ,

co się słyszy. Zauważalne to było nierzadko u wielu naszych przedstawicieli, że są oderwani od ludzi, nie są dostatecznie zintegrowani ze społeczeństwem. A teraz, gdy kogoś nie ma w parlamencie, to bardzo trudno realizować jakąkolwiek politykę, choć na szczęście mamy jeszcze sporą grupę radnych. Jako lewica społeczna powinniśmy kłaść nacisk przede wszystkim na problemy socjalne, zmniejszanie nierówności społecznych i współpracować w tym zakresie szerzej ze związkami zawodowymi oraz organizacjami pozarządowymi. Wątek światopoglądowych, czy równościowych nie lekceważę, ale warto pamiętać iż spora część elektoratu SLD to ludzie o poglądach konserwatywnych.

Mamy wiele zaniedbań, szczególnie teraz, pod rządami PiS, w sferze polskiej polityki zagranicznej, którą lewica także powinna się konsekwentnie zajmować. Zwłaszcza jeśli chodzi o tzw. politykę wschodnią i unijną. Np. jako jedyny w Sejmie, SLD zwracał uwagę na wzrost tendencji nacjonalistycznych, nie tylko w Rosji, lecz również na Ukrainie. Wielu dostrzec tego nie chciało, nawet gdy w Kijowie przyjęto ustawy de facto gloryfikujące UPA, odpowiedzialną za zbrodnię na Wołyniu i osobiście Stepana Bandereę. Co by nie mówić, to PiS wypracowało sobie własną wizję rzeczywistości międzynarodowej, którą należy oceniać zdecydowanie negatywnie, ale trzeba jej przeciwstawić spójną i realną alternatywę.

SLD poniósł również porażkę na poziomie polityki historycznej. Dziś młodzież jest niemal wyłącznie prawicowa. Czci tzw. Żołnierzy Wyklętych a o Polsce Ludowej mówi wyłącznie negatywnie.

Na to nałożyły się rozmaite błędy, również naszego Klubu, który kiedyś, przez techniczną pomyłkę, zagłosował za tym, aby „Żołnierze Wyklęci” mieli swoje święto. Nie powinniśmy się bać polemiki w sprawie polityki historycznej. Tę politykę zastąpiła dziś propaganda ze strony prawicy, a my nie potrafiliśmy na to dobrze odpowiadać, choć podjęliśmy pewne próby np. jeśli chodzi o ocenę okresu rządów Edwarda Gierka; wydaliśmy też tzw. „Niezbędnik historyczny”. Rozmawiałem o tym niedawno ze studentami wydziału historycznego UW.

Pod rządami PiS, niestety należy oczekiwać coraz więcej prezentyzmu i ahistoryczności w procesie edukacji oraz kształtowania w tym duchu świadomości społecznej. Bez właściwej, zgodnej z prawdą, na to odpowiedzi, nie zdobędziemy wpływów nawet w części młodego pokolenia. Kluczowa jest tu rzetelna ocena okresu Polski Ludowej. Ukazania awansu cywilizacyjnego ogromnych grup społecznych, milionów ludzi. Przypominania ówczesnych uwarunkowań międzynarodowych. Także tego, iż w grupie państw socjalistycznych tylko u nas występowała prywatna własność środków produkcji, że nigdzie w Europie nie budowało się tyle Kościołów, iż od lat 70-tych można było dość swobodnie jeździć za granicę, choć główny problem stanowiła niewymienialność złotego. Polska nie była oczywiście państwem suwerennym, ale obok Jugosławii, była w ramach istniejącego systemu tym, gdzie swobód było więcej niż w naszym otoczeniu międzynarodowym.

Czy SLD będzie działać nadal pod własnym szyldem. To pod tym szyldem Sojusz święcił największe sukcesy. Krzysztof Gawkowski stwierdził, iż „dzi-

siaj partia jest bliżej tego, by powiedzieć tak Zjednoczonej Lewicy i powoli zegnać się z SLD”. Dla wielu osób ten szyld i ta nazwa nadal dużo znaczą?

W moim przekonaniu trzeba w pierwszej kolejności umocnić SLD. Bez uporządkowania SLD, na tej pokieroszowanej lewicy, nic pozytywnego się nie stanie. Powinniśmy szukać tego, co nas łączy na lewicy, wszystkie ugrupowania. Krzysztof opowiada się za referendum w sprawie ewentualnej zmiany nazwy partii. Mam co do tego duże wątpliwości. Najpierw należy zorganizować poważną i szeroką dyskusję o przyczynach własnej porażki. W duchu takim, jaką zapoczątkowała debata zainicjowana przez lewicowe fundacje i think-tanki kilka tygodni temu, w ramach tzw. Forum Postępu. Trzeba się zastanowić nad tym, czego zabrakło? I generalnie, jaka jest Polska w drugiej dekadzie XXI stulecia, a jaką powinna być? Poważne błędy były już przy tym popełnione wcześniej, zwłaszcza podczas wyborów prezydenckich. Warto też cały czas spamiętać, iż w polityce najbardziej liczą się ludzie, którzy mają własny dorobek zawodowy.

Kto ma największe szanse na funkcje przewodniczącego SLD? Dużym zaskoczeniem był fakt, iż na tę funkcję zgłosiło się aż 10 osób.

Sam byłem tym zaskoczony. Błędem chyba było to, że nie postawiono żadnego progu do ubiegania się o fotel przewodniczącego, np. zebranie 500 podpisów poparcia. To jednak dobrze świadczy o partii, że tyle osób startuje w tych wyborach. SLD to nie jest masa upadłościowa, jak mówią złośliwi. Wśród tych osób są i młodzi ludzie i bardziej doświadczeni. Uważam, że pojedynkę rozstrzygnie się pomiędzy trzema osobami – Jerzym Wenderlichem, Krzysztofem Gawkowskim i Włodzimierzem Czarzastym. Nie sadzę jednak, aby ktokolwiek z nich uzyskał bezwzględną większość, więc nowego przewodniczącego zapewne wybierze Kongres Sojuszu 23 stycznia br. Na ten czas moim zdaniem Jerzy byłby osobą najbardziej odpowiednią. Jest doświadczony, wciąż pełen energii, powszechnie rozpoznawalny i ma wysoki poziom zaufania społecznego, wyraźnie większy niż ktokolwiek z pozostałych kandydatów. Był dwukrotnie dobrym wicemarszałkiem Sejmu, a ponadto miał świetny wynik wyborczy. Jako jedyny spośród ok. 900 osób na naszych listach, pokonał wszystkich w swoim toruńskim okręgu wyborczym.

Będzie Pan nadal w SLD?

Oczywiście. Od samego początku byłem w SdRP, m.in. jako wiceprzewodniczący partii, następnie w SLD. Dysponujemy nadal sporym potencjałem. Trzeba wyciągnął wnioski, zarówno teoretyczne, personalne jak i organizacyjne, szukając tego co łączy, a nie dzieli. Wierzę, że możemy nie tylko wrócić do Sejmu, ale zyskać szersze poparcie społeczne. Należy zrobić wszystko, żeby nie był to czas stracony.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Przemysław Prekiel

Blog prasowy

Wybory 2015

25 października 2015 roku odbędą się jedno z najważniejszych wyborów, przed jakimi stoją Polacy po przemianach roku 1989. Wyzwaniem, jakie stoi przed nami jest kształt polskiej demokracji, a tym samym przyszłość kraju i los narodu.

Trwająca od kilku miesięcy intensywna debata polityczna, która ogarnęła kraj i wszystkie praktycznie środowiska społeczne wskazała jednoznacznie na panujące niezadowolenie i chęć zmian. Problem polega dziś na tym, czy mają to być zmiany fundamentalne, a więc powrót do korzeni protestów roku 1980, czy też kolejny etap pudrowania coraz bardziej pomarszczonej i zmurszałej, neoliberalnej twarzy naszego nadwiślańskiego kapitalizmu.

Świat generalnie po siedmiu latach poważnego kryzysu odrzuca neoliberalne wzorce i poszukuje nowych rozwiązań zarówno w sferze społeczno-gospodarczej, jak też podejmuje nowe wyzwania dotyczące współpracy międzynarodowej. Problemem widocznym w kampanii wyborczej w naszym kraju jest brak konsensusu co do potrzeby głębokich reform i ich kierunku. Ścierają się wyraźnie dwie opcje: konserwatywna, które wyraża znacząca część obozu posierpniowego, odpowiedzialna m.in. za realizację naszej polityki przez 25 lat, szczególnie w sferze gospodarczej i społecznej oraz reformatorska, działająca z dobrymi intencjami, choć nie do końca mająca świadomość dotyczącą kształtu i zakresu niezbędnych reform.

Intencje reformatorskie zrodziły się zarówno na lewicy, jak i na prawicy. Są one wyrazem protestu przeciw patologiom III RP, coraz bardziej wyraźnie rysującym się brakiem szans rozwojowych dla młodego pokolenia i kryzysem wartości rysującym się na naszej europejskiej idei. Rzutuje to na pogłębiającą się tymczasowość życia społecznego, gospodarczego i politycznego. Od dłuższego już czasu modele indywidualnego rozwoju kolidują z funkcjami państwa i dy-

namiką rozwoju wynikającą z narastającej fali rewolucji technologicznej i informacyjnej. Problem polega jednak na tym, że nikt nie próbuje na szczeblu państwa konstruować idei długofalowego rozwoju, nie rysuje perspektyw życia, pracy, rodziny. Maleje spójność społeczna – indywidualizm i egoizm zabija wszystko.

Nikt nie walczy dziś, poza frazesami propagandowymi, o nadanie społeczeństwu charakteru obywatelskiego, a obywatelom podmiotowości. Wszystko i wszystkich zdominował i zorał brutalny rynek. Niedopuszczalnie ograniczył on również funkcje państwa.

Polska i Polacy stoją więc przed wielkim wyzwaniem, ale też przed wielką szansą. Zrozumienie istoty zjawisk globalnego rozwoju i znalezienie strategii dla Polski, także dla Europy jest wielkim zadaniem. Niektóre z ugrupowań aktywnych w tej kampanii wyborczej wyrażały takie tendencje, aby zmienić Polskę, zmieniać świat. Płytkość haseł wyborczych nie wyniosła wyraźnie na powierzchnię idei i kierunku tych reform, niemniej jednak widać z wielu wygłoszonych opinii, że zawalił się budowany od ćwierćwiecza system i na jego gruzach trzeba budować coś nowego.

To ważne przesłanie, które może rodzić daleko idące konsekwencje. Chciałbym wierzyć, że ta energia protestu, która wyraża się w różnych formach i narasta, nie przekształci się w rewolucyjny, niszczący zapal, ale zamieni się we wspólną ideę naprawy i odrodzenia.

Polska lewica, mimo wielkiego bagażu historycznego, jaki niesie, rozumie współczesność i wyraża wolę znalezienia się w gronie reformatorskich poczynań. Trzeba mieć nadzieję, że w tych wyborach społeczeństwo po raz kolejny zapali lewicy, tej zjednoczonej, zielone światło i zawierzy w jej skuteczność, niezbędną w kształtowaniu polskiej demokracji.

Andrzej Ziemiński

Obrachunkowe błędy lewicy

Brak obecności partii lewicowej (bądź za taką się uważającej) w parlamencie, pomimo uzyskanych ponad 11 % łącznego poparcia w ostatnich wyborach dla dwóch komitetów startujących pod szyldem lewicy (tzw. ZLew i Razem), zawdzięczają one sobie samym. W prawicowych mediach powstało nawet, podbarwione sarkazmem, tzw. równanie Zandberga, wg którego „7,55 % + 3,62 %” (uzyskane przybliżone wyniki obu komitetów) ma dawać w rezultacie „0 %”. Otóż przywódcom lewicy (pomimo ich niekiedy wieloletniego doświadczenia) zabrakło poczucia realizmu, a bez tego w polityce – ani rusz.

Czołowe ugrupowania Koalicyjnego Komitetu Wyborczego Zjednoczona Lewica (SLD i Twój Ruch Janusza Palikota) w tego-rocznych wyborach prezydenckich uzyskały sumarycznie (ich kandydaci) niespełna 4 %. Podobny, a niekiedy wyższy, poziom poparcia prognozowały dla tychże formacji także sondaże. Logicznym byłoby więc celowanie w przekroczenie zbliżonego (ok. 5 %), nie zaś wyższego, progu w wyborach parlamentarnych. Natomiast partie te (razem z kilkoma mniejszymi ugrupowaniami takimi jak m.in. Unia Pracy, Zieloni czy PPS) zdecydowały się na utworzenie Komitetu Koalicyjnego, który dla wejścia do parlamentu musi przekroczyć min. 8 % próg, tym samym ustawiając sobie wyraźnie zawyżoną poprzeczkę.

Kluczową rolę odegrały przy tej decyzji pieniądze – każda z kilku partii koalicyjnych chciała mieć swój, znaczący, udział w subwencji budżetowej, a te dla koalicji są wyższe. Jest więcej „łupów” do podziału. Subwencję, a i owszem, dostaną (uzyskali łącznie 7,55 %, a więc więcej niż 6 % wystarczające dla subwencjonowania poszczególnych podmiotów koalicyjnych), ale nie będą miały za to mandatów w parlamencie. Realną alternatywą było startowanie jako samodzielna partia (np. SLD), którą wiązałyby zwykły próg wyborczy, co nie wykluczałoby przecież jednoczesnego otwarcia i stworzenia „quasi-koalicji” poprzez obdzielenie części wyborczych „jedynek” kandydatami/-tkami partii zaprzyjaźnionych. Albo ew. startowanie jako Komitet Wyborczy Wyborców, tyle że wówczas nie można liczyć na – no więc właśnie – subwencję budżetową (taką dro-

gę wybrał tym razem Kukiz), ale też nie ma ryzyka potknięcia się o ośmioprocentowy próg.

Kolejną przyczyną wyborczego fiaska lewicy było rozbitcie głosów jej wyborców na dwa obozy. O ile przed samymi wyborami niektóre sondaże dawały koalicyjnemu tzw. ZLewowi szansę na przekroczenie 8, a nawet – w bardziej optymistycznej wersji – 10 %, o tyle wizerunkowo-retoryczny sukces Adriana Zandberga reprezentującego nową, lewicową partię Razem w telewizyjnej Debacie Liderów (a później nagłośnienie tego sukcesu przez media, być może nawet „ponad miarę”) przyczynił się do – wysoce prawdopodobnego – przepływu części elektoratu ZLewu do partii Razem. Ta – raptem na kilka dni przed wyborami – odnotowała znaczny wzrost poparcia. I choć niektórzy publicyści i analitycy twierdzą, że nie było tutaj znaczących przepływów, a alternatywna i antysystemowa partia Razem zawdzięcza swój wyborczy wynik raczej wyborcom niezdecydowanym czy wręcz byłym sympatykom PO, Kukiza lub nawet Korwina, to trudno dać wiarę tezie, że owe 0,45 % brakujące ZLewowi do przekroczenia progu – nie „odpłynęło” do partii Razem, o bardzo zbliżonym przecież, lewicowym programie (tak ZLew, jak i Razem orbitowały wokół postulatów typowych dla socjaldemokracji). Stąd rzeczzone wcześniej „równanie Zandberga”. A tak fetowany na alter-lewicy sukces Zandberga i przyjaciół nie przekłada się jednak na żadne miejsca w parlamencie. Za same pieniądze uzyskane z subwencji budżetowej (jako że przekroczyli 3 % dla partii) nowej polityki Razem-owcy raczej nie zbudują, podobnie jak nie uczyniły tego kiedyś – również lądujące pod progiem – Unia Pracy czy Socjaldemokracja Polska.

Nie bez znaczenia dla takiego, a nie innego wyniku lewicy, w tym samego ZLewu, pozostały także błędy i zaniechania parlamentarnych partii lewicowych z ostatnich lat, a nawet dekad, a także miałka – sama w sobie – kampania, ale to temat na odrębną analizę.

W efekcie Sejm został zdominowany przez partie różnych odcieni prawicy (jakkolwiek niekiedy także, w poszczególnych kwestiach, „lewicujących”), a partia już za niedługo rządząca – PiS, w ew. porozumieniu z Ruchem Kukiza bądź posłami innych ugrupowań, może przymierzać się do prób

zmiany Konstytucji (wymagane 2/3 głosów na sali Sejmowej, przy obecności co najmniej połowy posłów). Nota bene – nawet prezes zwycięskiego PiS-u, Jarosław Kaczyński wielokrotnie zauważał i podkreślał w toku ostatnich kampanii przedwyborczych, że w demokracji potrzebna jest opozycja. Tym razem część potencjalnej opozycji, na własne życzenie, rozminęła się z miejscami w parlamentarnych ławach – zmniejszając tym samym Sejmową „bioróżnorodność”. Podobno jednak nie ma tego „złego”, co by na „dobre” nie wyszło i być może do tej pory „koncesjonowaną” lewicę czeka proces odnowy i przebudowy. „Młode wilki” ZLewu już szykują się do odsunięcia od władzy starego kierownictwa partii (co samo w sobie nie musi być jeszcze gwarantem przyszłego sukcesu), słyszy się także o możliwych próbach porozumienia z Razem-owcami... Z drugiej strony niewykluczony jest jednak proces erozji. Warto w tym miejscu przywołać sentencję jednego z twórców teorii krążenia elit Vilfreda Pareto, który

głosił, że „historia jest cmentarzyskiem arystokracji”. Tzw. żelazny elektorat - w jakiejś mierze postPRLowski - SLD, dzięki któremu mógłby jeszcze w tych wyborach liczyć teoretycznie na ok. 5 % poparcia – co by nie mówić – wymiera.

Być może polityka to tylko teatr, ale w przedstawieniu wciągani i angażowani są także – chcąc czy nie – widzowie. Podobno życie polityczne nie znosi także próżni i można przewidywać przesunięcia się w najbliższym czasie niektórych akcentów w głoszonych programach PO, PSL czy samym, kojarzonym z chadecją, PiS-em w stronę orientacji lewicowych bądź lewicujących – czy to ekonomicznych, czy światopoglądowych (przy czym wiele już takich akcentów i obietnic, o charakterze ekonomiczno-socjalnym, było obecnych w programie przedwyborczym PiS-u, pytanie co z ich realizacją pozostaje otwarte).

Paweł Woźniak

MANIFESTACJA KOMITETU OBRONY DEMOKRACJI

No i zjawiska i zachowania społeczne są nieobliczalne. Po klęsce pierwszych pikiet KOD stwierdziłem, że nikt nie będzie się zabijał za trzech sędziów Trybunału Konstytucyjnego, skoro wcześniej - kiedy rząd podnosił wiek emerytalny, mało to kogo interesowało. Odszczekuję, choć przecież na zdrowy rozum dla przeciętnego człowieka wiek emerytalny jest ważniejszy niż to, kto zasiada w Trybunale Konstytucyjnym.

Mylilem się, zresztą organizatorzy manifestacji też. Okazało się, że pod siedzibą Trybunału Konstytucyjnego w Alei Szucha zjawilo się - zdaniem władz Warszawy - 50 tysięcy ludzi!

W Alei Szucha ludzie byli stłoczeni jak przysłowiowe sardynki w puszcze, można było dostać klaustrofobii.

Z piętrowego autobusu podobno przemawiali: szef KOD Mateusz Kijowski, Ryszard Petru z Nowoczesnej.pl, Barbara Nowacka ze Zjednoczonej Lewicy, Sławomir Neumann z PO i Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL.

Piszę „podobno”, bo choć stałem dosyć blisko, to na skutek fatalnego nagłośnienia, słyszałem tylko jakieś pogłosy i echa, a i mało co widziałem.

Okazało się, że ilość manifestantów przerosła najśmielsze oczekiwania organizatorów. Na moje oko organizatorzy przygotowali się na jakieś 5 tysięcy osób, a nie 50 tysięcy - i tak też zrobili nagłośnienie i służby porządkowe.

Nie przeszkodziło to jednak manifestantom, którzy świetnie się bawili przy spontanicznie wznoszonych hasłach „Demokracja”, „Obronimy Trybunał”, „Andrzej Duda się nie udał”, „Andrzej Duda oddaj dyplom”, „Stop psuciu demokracji” itp. Modne było grupowe fotografowanie się przy co ciekawszych transparentach np.: „Duda pamiętaj że jesteś tylko kotem prezesa”, „Kraków przepasza za Dudę, Ziobrę i Gawina”.

Manifestanci przeszli przed Sejm, a potem Pałac Prezydencki. Zdaje mi się, że jak czołówka była pod Pałacem to końcówka jeszcze nie wyszła spod Trybunału.

W każdym razie PiS nieźle wściekł Warszawę.

Grzegorz Ilka

Zjednoczeniowy błąd

Klęska wyborcza projektu Zjednoczonej Lewicy każe na nowo zdefiniować przyszłość lewicy w Polsce. I choć na cztery lata znika ona z Sejmu, widoki na przyszłość nie są wcale takie złe.

Porażki w tych wyborach należy rozpatrywać w niezrozumiałej dla wielu wyborców SLD mariażu z partią Janusza Palikota, która pod koniec mijającej kadencji była już w politycznym niebycie. Przez niemal cztery lata Leszek Miller niemiłosiernie punktował byłego posła PO, nie brakowało uszczypliwości, które wyrobiły ogromną przepaść między dwoma środowiskami. Wskreszenie trupa Twojego Ruchu był błędem, za który płaci teraz SLD.

Jeśli spojrzysz się na przepływ elektoratu partii Janusza Palikota, to widać wyraźnie, że najwięcej wyborców z 2011 roku, powędrowało do Pawła Kukiza i Janusza Korwin-Mikkego. Nie byli to więc wyborcy lewicowi, którzy oczekiwali od państwa pomocy, chcieli bardziej sprawiedliwego dzielenia dochodów, czy wreszcie, z sentymentem darzyli czasy Polski Ludowej, które dla wyborców SLD były bardzo istotne. Punktem kulminacyjnym było głosowanie w sprawie podwyższenie wieku emerytalnego.

SLD zachował się jak należy, postulując uzależnienie przejścia na emeryturę ze stażem pracy. Środowisko Janusza Palikota poparło projekt rządowy. Wówczas SLD mocno poszybował w górę, sondaże pokazywały kilkanaście punktów procentowych społecznego poparcia.

Wyborcy SLD są mocno wymagający i słusznie. Pokazali to w maju, kiedy pokazali środkowy palec kandydatce, która nie dość, że nie promowała marki SLD, partii która wypromowała ją samą, to mocno dystansowała się od SLD i jej programu. Nie wyciągnięto z tego właściwych wniosków. Leszkowi Millerowi udało się wygrać wojnę z Januszem Palikotem, tym bardziej dla wyborców było niezrozumiałe, że wyciąga on rękę do tego, który już niemal zniknął. Gdyby SLD poszedł w tych wyborach samodzielnie, to wynik 5% byłby osiągalny. Sojusz miałby cztery lata na przemyślenie tego, jak ma wyglądać lewica i wokół jakich haseł ma funkcjonować.

Nie grzebałbym jeszcze tej partii. Jako jedyna ma swoich radnych na różnych szczeblach, starostów, burmistrzów, prezydentów. Jako jedyna ma swoich posłów w Parlamencie Europejskim. To duży kapitał. W roku 1993 Sejm był bez prawicy i ta nie zniknęła, wręcz przeciwnie, okrzepła i zaczęła długi marsz po rząd dusz. Teraz w SLD należy postawić na wymianę pokoleniową. Nie brakuje młodych w SLD, którzy mogliby tę partię prowadzić w przyszłości. Postawienie na młodych nie oznacza, że od starych, sprawdzonych polityków, należy się odciąć. Partia polityczna nie może być z jednej strony domem spokojnej starości a z drugiej organizacją młodzieżową. W partii politycznej muszą przynikać się różne nurty, różne doświadczenia. Leszka Millera musi ktoś jednak zastąpić.

Im dłużej rządzić będzie PiS, tym większa tęsknota będzie za lewicą. Nikt bowiem w Sejmie nie upomni się o trzecią stawkę dla najbogatszych, sprawy obyczajowe zostaną odesłane do lamusa. Jest jeszcze jedna rzecz, która odgrywa w Polsce ogromną rolę, to polityka historyczna. Wyborcy SLD to głównie wyborcy średnio-starszego pokolenia, dla których PRL to nie była czarna dziura w historii Polski. W obecnym Sejmie nikt o tych ludzi się nie upomni.

To nie Adrian Zadnberg zatopił lewicę, lecz Janusz Palikot. Z kolei Partia Razem świętuje głównie to, że w Sejmie zabraknie Millera, Wenderlicha czy Gawkowskiego, zapominając, że to za ich sprawą do Sejmu przedostawały się prospołeczne projekty, jak wyższa płaca minimalna czy płaca godzinowa. Znikomy to sukces dla lewicy, duży dla partii Razem.

Przemysław Prekiel

Jan Guz: Są obietnice - czekamy na szczegóły

Z uwagą wysłuchałem expose nowej premier rządu, Beaty Szydło. Moje szczególne zainteresowanie wzbudziły kwestie dotyczące rynku pracy, polityki rodzinnej, świadczeń emerytalnych, polityki gospodarczej (w tym podatkowej) państwa oraz wynagrodzeń. Czekam jednak na szczegóły dotyczące przedstawionych rozwiązań. Bez nich trudno ocenić program nowego rządu.

Najistotniejsze dla OPZZ deklaracje nowej szefowej rządu to:

- obietnica obniżenia wieku emerytalnego do 60 lat dla kobiet, 65 dla mężczyzn. Postulujemy, aby rząd uwzględnił propozycję OPZZ dodatkowej możliwości przechodzenia na emeryturę ze względu na staż pracy. OPZZ ma przygotowany konkretny projekt w tej sprawie, pod którym podpisało się 700 tys. Polaków i Polek. Rząd powinien dokonać całościowej reformy systemu emerytalnego. Wycinkowe zmiany mogą skutkować radykalną obniżką przyszłych emerytur,

- obietnica wprowadzenia świadczenia 500 zł na pierwsze dziecko w biednych rodzinach i bez kryterium dochodowego na każde kolejne. Popieramy podnoszenie świadczeń rodzinnych. Jednocześnie istotny będzie sposób wprowadzenia nowych rozwiązań tak, aby inne zapowiadane w tym zakresie zmiany nie doprowadziły do obniżenia łącznych świadczeń dla najuboższych rodzin,

- wprowadzenie minimalnej płacy godzinowej wysokości 12 zł brutto. OPZZ już dwa lata temu przygotowało projekt ustawy w tej sprawie, który jest szerszy i bardziej kompleksowy niż zapowiedź Prawa i Sprawiedliwości. Jednocześnie uważamy, że aktualnie minimalna stawka godzinowa w umowach cywilnoprawnych powinna wynosić co najmniej 15 zł,

- pakt o podniesieniu płac. Czekamy na konkretne działania w tym obszarze. Prawo i Sprawiedliwość w kampanii wyborczej wiele mówiło o znacznym podniesieniu płac, także w sferze budżetowej i złożyło obietnice szybkich podwyżek wielu grupom zawodowym,

- zwiększenie kwoty wolnej do 8 tys. zł. OPZZ opowiada się za całościową zmianą systemu podatkowego, która powinna uwzględnić nie tylko zwiększenie kwoty

wolnej od podatku, ale przede wszystkim wprowadzenie silniejszej progresji podatkowej, w tym nowych stawek podatku PIT oraz wyższych pracowniczych kosztów uzyskania przychodu. Popieramy więc obniżenie podatków dla osób o najniższych dochodach. Wiemy, że takie rozwiązanie doprowadziłoby do wielomiliardowych spadków wpływów budżetowych. Dlatego uważamy, że rząd powinien podnieść obciążenia fiskalne dla osób o najwyższych dochodach,

- zwiększenie ściągalności podatków, w tym szczególnie podatku VAT jest jak najbardziej uzasadnione. Przypominamy jednak, że w kampanii wyborczej PiS obiecywał obniżenie stawek podatku VAT, o czym premier nie wspomniała w swoim expose,

- zapowiedź zniesienia umów śmieciowych. Liczymy na przedstawienie rozwiązań ustawowych w tym obszarze,

- reindustrializacja państwa, radykalny wzrost wydatków na inwestycje do co najmniej biliona złotych, ulgi inwestycyjne. Kierunek zmian jest nam bliski. Z takim apelem do polityków OPZZ zwrócił się już kilkanaście miesięcy temu. Zapowiedziane korzystanie z ulg inwestycyjnych powinno być jednak premią tylko za tworzenie wysokiej jakości miejsc pracy,

- finansowanie służby zdrowia z budżetu państwa, odejście od traktowania opieki zdrowotnej jako przedsiębiorstwa nastawionego na zysk, oddzielenie publicznej i publicznej służby zdrowia, wprowadzenie bezpłatnych leków dla osób od 75 roku życia, przywrócenie gabinetów lekarskich i stomatologicznych do szkół. Wskazany kierunek zmian jest zgodny z postulatami OPZZ,

- deklaracja opodatkowania banków i sklepów wielkopowierzchniowych. Popieramy zwiększenie obciążeń podatkowych dla firm przynoszących największe zyski. Efekty zależeć będą od sposobu wprowadzenia zmian. Warto więc poddać te propozycje konsultacjom społecznym,

- budowa tanich mieszkań pod wynajem z kredytów bankowych. Zdaniem OPZZ rozwój budownictwa stanowi jedno z ważniejszych wyzwań dla rządu. W naszej opinii lepszym rozwiązaniem byłby jednak rozwój budownictwa komunalnego i socjalnego,

- stopniowe odchodzenie od gimnazjów i powrót do ośmioletniej szkoły podstawowej oraz czteroletniego liceum. Obawiamy się, że wdrożenie tych rozwiązań doprowadziło-

by do zwolnienia wielu tysięcy nauczycieli oraz wysokich dodatkowych kosztów nie przekładających się na poprawę jakości pracy szkół. Oczekujemy dyskusji na ten temat w ramach Rady Dialogu Społecznego,

- w exposé szefowej rządu z niepokojem odebraliśmy brak odniesienia do Rady Dialogu Społecznego i roli związków zawodowych na poszczególnych poziomach ich działania: państwa, branży, przedsiębiorstwa. Rada Dialogu Społecznego jest instytucją, w ramach której rząd powinien poszukiwać rozwiązań służących pracow-

nikom i gospodarce oraz wypracowywać porozumienia ostatecznego kształtu reform.

- w swoim exposé Pani Premier nie wskazała terminów, czy sposobu dochodzenia do realizacji większości propozycji. Liczymy więc, że wkrótce poznamy harmonogram wdrażanych rozwiązań.

Jan Guz

Lewica po wyborach

Rozmowa z dr. hab. Rafałem Chwedorukiem, politologiem z Uniwersytetu Warszawskiego

Dlaczego projekt Zjednoczonej Lewicy nie powiódł się?

Nie powiódł się w takich samych powodów, jak nie powiodły się wszystkie wcześniejsze, analogiczne usiłowania, łączenia SLD z innymi partiami. Tak było w przypadku LiD, gdzie SLD połączył się ze środowiskiem Unii Wolności, a poparcie uzyskał prawie dwukrotnie mniejsze, niż zakładał. Z tych samych względów nie powiódł się projekt Europa Plus.

W Polsce nie ma tak zdefiniowanego elektoratu, do którego inicjatywa łącząca postpeerelowską lewicę ze środowiskami bądź liberalnymi, bądź lewicą kulturową by dotarły. Jedyńi wyborcy w Polsce, świadomi swojej lewicowej tożsamości, to wyborcy w wieku 60 plus, ów mityczny, żelazny elektorat SLD, elektorat, który w kluczowych kwestiach niczym nie różni się od średniej poglądów Polaków, także w kwestiach obyczajowych, natomiast który odróżnia się w stosunku do innych elektoratów stosunkiem do przeszłości. Połączenie słabnącego SLD z ugrupowaniami, które swoją tożsamość określały przez kwestie kulturowe, w najlepszym razie nie przysparzały nowych wyborców, a odstraszyło część najwierniejszych SLD, absolutnie nie zainteresowanych kwestiami i problemami zmiany płci, in vitro, czy domniemaną utratą praw obywatelskich na skutek rządów PiS.

To znamienne dla tej części Europy, że elektoraty partii lewicowych są umiarkowanie prosocjalne i zerkające z pewną tęsknotą ku przeszłości. SLD zrobił wszystko, czego oczekiwał neoliberalny mainstream, czyli zmieniło nazwę, postawiło na czele osobę młodą, nie uwikłaną w przeszłość, kobietę, do końca eksponowało kwestie kulturowe, wreszcie także przyjęło retorykę anty PiS i zapowiadało, że nigdy z PiS, a ani razu nie padła taka deklaracja, że nigdy z PO.

Przyczyna porażki było również to, że porozumienie pozycjonowało się w roli przystawki PO w przyszłym Sejmie. Zjednoczona Lewica nie przedstawiła kilku prostych komunikatów niezbędnych do tego, aby zmobilizować jak najwięcej wyborców SLD, by zechcieli zagłosować na taką formację. Absolutnie zdumiewające są wypowiedzi polityków związanych z tym komitem wyborczym, dokładnie takie same, jak polityków SLD po kazusie Magdaleny Ogórek, że koncepcja była dobra, tylko wykonanie gorsze.

To już koniec SLD i Leszka Millera w polityce?

Trudno dziś sobie wyobrazić powrót Leszka Millera do aktywnej polityki. Tylko cud mógłby uratować, już nie tylko SLD, ale w ogóle lewicę w przestrzeni parlamentarnej. Wydaje się, że Polska stanie się nową Turcją, gdzie najważniejszą formacją jest formacja konserwatywna, na którą głosują przede wszystkim mniej zamożni mieszkańcy, natomiast główną opozycją jest partia ludowo-republikańska, choć formalnie jest stowarzyszona w Międzynarodówce Socja-

listycznej, to programowo jest partią liberalno-demokratyczną a ich elektorat to najzamożniejsi Turcy. Polska więc zmierza w tę stronę, gdzie będziemy mieli do czynienia z tego typu podziałem. Będzie socjalno-konserwatywna partia, socjalna gospodarcza, konserwatywna obyczajowo, której głównym oponentem będą środowiska liberalne ekonomicznie.

Co powinno zrobić dziś SLD, żeby odbić się od dna?

SLD niewiele już może zrobić. Jeśli chciałoby przetrwać, to natychmiast musiałoby się ratować, tak, jak to się stało w roku 2008, kiedy rok po istnieniu LiD-u, partii groziło zniknięcie, udało się wówczas jeszcze na dwa-trzy lata skonsolidować partię, zająć trzecie miejsce w wyborach prezydenckich i osiągnąć niewyobrażalny z dzisiejszej perspektywy wynik w wyborach w 2011 roku. Tylko konsolidacja i odwołanie się do żelaznego elektoratu, zmiany przywództwa a także odcięcie się od statusu formacji wspomagającej PO, daje szansę na przetrwanie. Pytanie oczywiście, czy SLD jest w stanie podjąć taki wysiłek, korzystając z niewielkich zasobów, jakie ma, czyli kilku posłów do PE, radnych na różnych szczeblach samorządowych. To wymaga ogromnej determinacji i wielu zbiegów okoliczności.

Może w takim razie partia RAZEM będzie nadzieją lewicy?

Nie sędzę, żeby partia RAZEM kiedykolwiek osiągnęła wynik zbliżony do głównych partii lewicowych Europy zachodniej, czy w naszej części kontynentu. Doceniając wysiłek organizacyjny RAZEM, należy zauważyć, że partia ta adresuje swój przekaz głównie do ludzi młodych. Im młodszy Polacy, tym mniej postaw lewicowych, wśród najmłodszych niemal nie ma ludzi, którzy utożsamiają się z lewicą. Nie wiemy jaki dziś lewica ma pogląd na kwestię emigracji, jaki jest pogląd na historię, na politykę pamięci.

Poparcie dla RAZEM pojawiło się dopiero po debacie i nie jest przypadkiem, że partia ta najwięcej wyborców zabrała ruchowi Pawła Kukiza. Przepływy z SLD do partii RAZEM były dużo mniejsze. Jeśli RAZEM ma odebrać jakąś rolę, musi być partią antyestablishmentową, partią, która musiała by odciąć się od jakichkolwiek związków z głównym, liberalnym nurtem w Polsce. Paradoksem jest to, że jeden z czołowych liberalnych tytułów wskazał na partię RAZEM, jako jedną z tych, na które można głosować, by nie dopuścić PiS do władzy.

Tu, gdzie lewica w naszej części Europy odgrywa podmiotową rolę, jak np. na Słowacji czy w Czechach, to odgrywa tę rolę zawsze wbrew neoliberalnemu mainstreamowi.

**Dziękuję za rozmowę
Rozmawiał Przemysław Prekiel**

Felietony

POLITYKA BEZ MASEK

Maria Szyszkowska

Demokracja jako parawan

Wieloznaczność pojęcia „demokracja” pozwala na szafowanie nim. Od wieków funkcjonują rozmaite teorie demokracji. Elementem wspólnym jest wskazywanie na równość jako wartość, która leży u podstaw tego ustroju. Ale równość również można rozmaicie interpretować. Niewątpliwie równość formalnoprawna jest wartością pozorną w zestawieniu z równością materialną, bo tylko na papierze można stwierdzić równość kłoszarda i na przykład syna ministra.

Utarło się obecnie sprowadzanie sensu demokracji do funkcjonowania w państwie określonych instytucji. Ale nie stanowią one tamy dla utajonego totalitaryzmu jeżeli staje się dozwolony w państwie jeden światopogląd. Dominacja określonego światopoglądu nie broni obywateli przed zniewoleniem mimo różnorodnych instytucji w rodzaju: parlament, Trybunał Konstytucyjny, Trybunał Stanu, Rzecznik Praw Obywatelskich, czy trójpodział władz.

Również żądanie odpolitycznienia poszczególnych instytucji w państwie demokratycznym jest zabiegiem pozornym. Prezydenci zrzekają się wprawdzie – by podać ten przykład – przynależności partyjnej, ale to nie znaczy, że tracą poglądy polityczne. Uniwersalnych poglądów politycznych, analogicznie do uniwersalnej moralności, nie ma. Apolityczność jest możliwa, ale tylko w kręgu osób pozbawionych jakiegokolwiek zainteresowania sprawami wykraczającymi poza obszar ich domu. A takie osoby nie są z reguły wybierane na stanowiska w państwie chociażby dlatego, że nie kandydują.

Obrońcy demokracji są w oczach większości cenieni, ponieważ wypada w XXI wieku być zwolennikiem tej formy ustrojowej. Ale demokracja nie jest wartością aż tak mocno przemawiającą do społeczeństwa, by powstało ono w jej obronie bez inspiracji i organizacji. To, co lansowane przez media staje się modne i przyjmowane jest jako prawidłowe i niepodważalne. Nakaz rozwiązań demokratycznych stał się na tyle oczywisty, że nie budzi niepokoju nawet rozrośnięta biurokracja do której ten ustrój prowadzi. Nie wzbudza niepokoju wzrastająca liczba urzędników stojących na straży lawinowo uchwalanych przepisów prawnych. Nakaz demokracji stał się na tyle oczywisty, że Amerykanie nie spotkali się z oburzeniem Europejczyków, gdy z przemocą, drogą rozlewu krwi, wprowadzali tę formę ustrojową w krajach Islamu. Kontynent europejski teoretycznie spragniony pokoju po wstrząsie, jakim była II wojna światowa – przychylnie oceniał i wspomagał działania amerykańskich żołnierzy.

Ustrój republikański ma istotną przewagę nad demokracją, ale nie słyszymy o nim w mediach. Otóż nie jest on wyrazem tyranii większości lecz takim rozwiązywaniem spraw politycznych, społecznych, gospodarczych, że uwzględnione zostają oczekiwania mniejszościowych grup w społeczeństwie. W państwie demokratycznym są one z reguły pomijane. Potęguje tę sytuację prawnie dozwolony lobbing, na który mogą sobie pozwo-

lić jedynie osoby bogate. One nie stanowią nigdy wprawdzie większości, ale mają środki finansowe, by większość ukierunkować na spełnianie własnych celów. Szczególnie irytująca stała się obrona demokracji w Polsce przez tych, którzy przez dwie kadencje ją niejednokrotnie naruszali. Mam na myśli rządy PO.

Krzyczący „łapać złodzieja” oczekują, że nie będzie się go poszukiwać w gronie osób domagających się tego. Podobnie PO zarzucając PiSowi naruszenie Konstytucji – własne działania sprzeczne z nią określają jedynie jako błąd. Media nie podnoszą dostatecznie wyraźnie tego, że wybór przez PO w czerwcu dwóch sędziów do Trybunału Konstytucyjnego przed upływem kadencji, stanowił naruszenie prawa.

W polityce zdarzenia, jak powyższe, nie dzieją się bez powodu. Jest oczywiste, że PO przewidując możliwość przegrania wyborów parlamentarnych, postawiło mieć „swój” Trybunał Konstytucyjny. Tą drogą chciano – w razie przegranej – blokować ustawy uchwalane przez parlament. W konsekwencji PO mające własne media, przekonywałoby społeczeństwo, że należy doprowadzić do wcześniejszych wyborów, bowiem PiS nie wywiązuje się z zapowiedzi wyborczych. Nie brakuje inteligencji działaczom PO. Ale jest ona skierowana w niewłaściwym kierunku, a mianowicie służy ich interesom partyjnym.

Nie zdarzyło się dotąd, by początek nowych rządów po wyborach zespolony był z tak wielkim atakiem opozycji parlamentarnej. Wszelkie działania PiSu są oceniane w mediach negatywnie. Straszy się PiSem również w sferze światopoglądowej przemilczając, że za rządów PO skierowano pokaźne kwoty z budżetu na świątynię Opatrzności. Ogół społeczeństwa zapomniał również o tym, że kandydaci do parlamentu z list PO zabiegali o poparcie u proboszczów. Natomiast pojawienie się w Radiu Maryja, po wyborach, przedstawicieli nowego rządu świadczy o wdzięczności, która jest cechą coraz rzadziej spotykaną.

Polska jest od 1989 roku państwem katolickim. Wszystkie rządzące partie, łącznie z SLD, umacniały potęgę Kościoła katolickiego w Polsce. Dlatego wzmagany przez znaczną część polskiej inteligencji, a zwłaszcza intelektualistów, lęk przed PiSem nie ma uzasadnienia. Dodam, że głoszony przez tę partię patriotyzm może doprowadzić do odrodzenia polskiej gospodarki i przezwyciężenia sytuacji Polski traktowanej jako rynek zbytu przez międzynarodowe koncerny.

Nie było społecznych protestów wobec Trybunału Konstytucyjnego, gdy podwyższono wiek emerytalny, gdy wyprowadzone zostały fundusze z OFE, gdy Trybunał orzekł, że prywatyzacja odbyła się zgodnie z prawem. Nie było protestów z powodu nierozliczenia wielu afer powstałych w okresie rządów PO. Profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego protestowali, ale tylko w swojej sprawie, gdy lustracja miała nas dotyczyć. Obecnie profesorowie Wydziału Prawa i Administracji UW poparli protest opozycji parlamentarnej krytykując zmiany w Trybunale Konstytucyjnym wprowadzone przez PiS. Ponieważ nie zgłaszali protestów w czasie rządów PO oraz rządów SLD, nawet wobec niekorzystnych zmian w edukacji, więc zgłosiłam zdanie odrębne, czyli nie podpisałam protestu wobec PiSu zaniepokojona upolitycznieniem mojego Wydziału.

Maria Szyszkowska, prof. zw. dr hab., filozof, działaczka społeczna i państwowa, członek Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN

PROSTO Z BUSZU

Janusz Rygielski

Islamskie preludium

W okresie ostatnich pięciu lat dwóch australijskich premierów i jedna premierka wyprowadziła się z The Lodge, australijskiego ekwiwalentu Białego Domu czy Pałacu Namiestnikowskiego. Trzeba podkreślić, że żadne medium alternatywne, nie mówiąc o MSMach[1], nie postawiło komukolwiek z tej trójki zarzutu, iż odchodząc z tego obiektu, ozdobionego dziełami sztuki, zabrał sobie na pamiątkę lub na wyposażenie innego biura obraz Toma Robertsa czy Arthura Boyda, nie mówiąc o zastawie, sztuccach, makatce, czy rolce papieru toaletowego. W porównaniu z niektórymi przywódcami innych krajów, premierzy Australii prezentują się pod tym względem niemal wzorowo. Najwyraźniej do Australii nie dotarła jeszcze wielowiekowa, europejska kultura, której typowym przedstawicielem okazał się człowiek uważający się za uszlachconego, pozbawiony manier, zwłaszcza w towarzystwie głów państw, nie znający ortografii i zabijający zwierzęta dla przyjemności. Czyżby muzułmanie wybrali się w tamte okolice robić porządek.

Zarówno australijskie MSMy jak i media polonijne poświęciły sporo miejsca ogromnej inwazji synów Allacha na kontynent europejski. Pragnę zauważyć, że pierwsza, mała inwazja miała miejsce piętnaście lat wcześniej. Otóż krótko po rozpadnięciu się Związku Radzieckiego, urodzili się rebelianci w Kosowie, stanowiącym autonomiczną republikę w Republice Serbskiej, a ta z kolei należała do Jugosławii. Przed Kosowem zbuntowały się Chorwacja, Słowenia i Bośnia.

Zwykle nagroda za wywołanie zamieszek w dowolnym kraju należy się wielce zasłużonej Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale początek niszczenia Jugosławii powierzono Niemcom, co one przyjęły z wielkim entuzjazmem. Wygląda na to, że los Jugosławii nie był dyskutowany, kiedy zdecydowano o zjednoczeniu Niemiec. Gorbaczow nie miał żadnego do tego tytułu. A Amerykanie woleli nie ruszać tego tematu.

Jugosławia, jaką pamiętam z wypraw w góry Macedonii i Czarnogóry, była bogatsza niż Polska, ludziom powodziło się lepiej. Fakt, w tym kraju była tylko jedna partia (w Polsce były niby trzy), miała miejsce cenzura, a co mnie najbardziej zaszokowało, to umundurowane hufce pracy młodzieży. Z drugiej jednak strony fabryki nie były własnością państwa, ale zatrudnionych w nich pracowników. Ponadto każdy mógł prowadzić działalność gospodarczą, praktycznie bez żadnych ograniczeń. Komu nie podobał się system, ten mógł w każdej chwili otrzymać paszport i wyemigrować np. do Australii. Tito rządził dożywotnio, ale udało mu się stworzyć własny, niepowtarzalny system, w którym skłócone wcześniej narody, zwłaszcza Serbowie i Chorwaci, żyły przez 45 lat w spokoju. Kierowanie państwem było mocno zdecentralizowane, republiki (także autonomiczne) miały własne rządy. Państwo było neutralne, nie należało ani do Układu Warszawskiego, ani też do NATO. Na forum międzynarodowym odgrywało dużą rolę w ruchu państw niezaangażowanych. Jugosławia nie wadziła nikomu i nie wtrącała się w sprawy innych. Za czasów stalinowskich produkowano w Polsce karykatury Tito, w formie rozwścieczonego psa, z podpisem „Tito – pies łańcuchowy kapitalizmu”.

W listopadzie 2009 r., w 20 rocznicę obalenia Muru Berlińskiego i krótko później zjednoczenia Niemiec, które to wydarzenia symbolizują zakończenie „Zimnej Wojny”,

Global Research zamieściła artykuł zatytułowany „Rozpad Jugosławii”[2]. Autor twierdzi, że zjednoczone pokojowo Niemcy opowiadały się za nagłą deklaracją niepodległości Chorwacji i Słowenii, a także za szybkim międzynarodowym uznaniem niepodległości tych państw. Tłumaczy to panującym ówczesnie przekonaniem, że otwierała się era upadku totalitarnych reżymów na kontynencie, otwierająca możliwość stworzenia zjednoczonej Europy. Ale w przypadku Chorwacji nie zadbano o zapewnienie modelu koegzystencji Chorwatów i Serbów. I dodaje, że „...pochodzenie konfliktu etnicznego w Bośni i Hercegowinie, który wybuchnął wiosną 1992 r., może być tylko zrozumiałe, jeśli w wyjaśnieniu jest uwzględniona działalność sił zewnętrznych”. Sprowokowanie bośniackich muzułmanów, którzy stanowili ok. 40% populacji republiki, do walki o własne państwo, było pierwszym krokiem inwazji wyznaniowej w Europie. Bośniacy mówili językiem serbskim lub chorwackim, własnego nie posiadali. Stworzyli więc język bośniacki, dodając do serbskiego słowa tureckie. Iskenderov zadaje pytanie: „Dlaczego Niemcy, kraj właśnie odbudowany po traumatycznym podziale, narzuconym im po Drugiej Wojnie Światowej, przyjmują aktywną rolę w restrukturyzacji bałkańskiej geopolityki?” I tu wyjaśnia, że po rozpadzie Układu Warszawskiego i zjednoczeniu Niemiec poczuły się one bardzo mocne i aktywnie zmierzały do europejskiego przywództwa. Niemcy miały powiązania z Chorwacją i Słowenią sprzed wojny i niechlubne podczas niej.

Po Słowenii, Chorwacji oraz Bosni i Hercegowinie przyszła kolej na Kosowo[3]. Zbyt duży kąsek, aby pozostawić go Niemcom. Do akcji włączyli się Amerykanie i całe NATO. Uruchomiono gigantyczną kampanię medialną, mającą udowodnić, że to nie islamscy terroryści masakrują Serbów żyjących w Kosowie, ale przeciwnie, że to rząd jugosłowiański uprawia holocaust na Albańczykach. Mechanizm tej propagandy pokazano w filmie „Wag the Dog”. Jugosławia, nawet bez Słowenii, Chorwacji oraz Bośni i Hercegowiny uporałaby się z problemem. Lokalny rząd Kosowa był skłonny do kompromisu, ale warunki dyktowali terroryści. Rząd jugosłowiański nie używał samolotów w konflikcie z Albańczykami, ale NATO ogłosiło Jugosławię terenem „No Fly Zone”, czyli strefą, w której samoloty wojskowe Jugosławii nie miały prawa latać. Pod tym pretekstem, poza obiektami wojskowymi, bombardowano mosty, zakłady przemysłowe, linie kolejowe, lotniska, przekaźniki radia i telewizji, szkoły i nawet ambasadę chińską w Belgradzie.

Myśl Polska opublikowała w ubiegłym roku artykuł pt. „Bombardowania Serbii: zbrodnia czy ludobójstwo?”[4]. Podano w nim, że wprawdzie NATO nie użyło broni chemicznej, ale za to ze szczególnym pietyzmem niszczyło fabryki produkujące środki chemiczne, co dawało ten sam efekt. Ponadto używano bomby wzbogacane zubożonym uranem. Wykonano ponad 2300 nalotów, zużyto około 28 000 sztuk amunicji i wystrzelono ponad tysiąc rakiet „Tomahawk”. Zniszczono lub uszkodzono 25 tys. obiektów, w tym tysiąc cywilnych. Zabito ponad 2000 cywilów i okaleczono trzy razy tyle.

Po zakończeniu wojny powoływano różne komisje i zespoły mające za zadanie zapoznanie się z jej skutkami. W 1999 r. ONZ wydelegowała do Serbii komisję Programu Środowiska Organizacji Narodów Zjednoczonych (United Nations Environment Programme – UNEP) pod przewodnictwem Senegalczyka Bakary Kante, w celu ustalenia skutków bombardowań Serbii dla środowiska naturalnego. ONZ ukrył ten raport przed opinią publiczną, ale niektóre jego fragmenty zdążyły wyciec. Jest w nim mowa o katastrofie ekologicznej. Powietrze i grunt zostały na trwałe zanieczyszczone materiałami trującymi i promieniotwórczymi. „Raport kategorycznie stwierdza, że następne genera-

cje mieszkające na zbombardowanych obszarach będą podatne na schorzenia rakotwórcze, leukemię, zwiększy się ilość poronień i deformacji u noworodków”. Amerykańska organizacja Projekt Wojennych Zatruc (Military Toxic Project – MTP) wywalczyła od rządu USA informację, iż na Serbię zrzucono 9,45 ton odpadów jądrowych. Okres półrozpadu zubożonego uranu wynosi 4,5 miliarda lat. Inny zespół, wysłany przez ONZ pod kierownictwem Fina Peka Havisto, ustalił na podstawie 340 próbek gleby i wody obecność w nich uranu 236 jak również ślady plutonu.

„W roku w 2001 roku na leukemię zmarło - 7 Włochów, 5 Belgów, 2 Holendrów, 2 Hiszpanów, 1 Portugalczyk i 1 Czech. Wszyscy służyli w ramach kontyngentu NATO w Kosowie. A oprócz tego, leukemię stwierdzono u 30 żołnierzy włoskich, 8 hiszpańskich, 4 francuskich i 4 belgijskich. Specjalna komisja ONZ potwierdziła, że wszyscy oni znajdowali się na terenie będącym wcześniej pod ostrzałem amerykańskiej amunicji ze zubożonym uranem. Do 2007 roku we Włoszech zmarło na raka 45 byłych żołnierzy z kontyngentu NATO w Kosowie”. I to był wielki skandal, chociaż świat nie przejmuje się, ilu ludzi umiera co roku w Serbii, z powodu NATOwskich bombardowań kilkanaście lat temu. Brytyjski biolog Roger Hoghill oszacował po bombardowaniach, że w ich rezultacie umrze 10 tys. ludzi. Oceny dokonane w Serbii po kilku latach były wielokrotnie większe.

„Śmiercionośny uran był używany także podczas nalotów na serbską część Bośni i Hercegowiny w 1995 roku. Ze zbombardowanej wtedy miejscowości Hadżici do miejscowości Bratunac przesiedlono 3.500 Serbów. Z tej liczby, w ciągu tylko 5 lat, zmarło na raka aż 1.112 osób”.

I po co było to wszystko? Jugosławii zabrano jej serbską kolebkę, którą w wieku XIV zajęli Turcy i narzucili islam miejscowej ludności. Przy okazji globaliści zostali właścicielami największej na świecie kopalni węgla, którego rezerwy wynoszą 17 miliardów ton[5]. Amerykanie założyli w Kosowie największą bazę wojskową na świecie. Do tego maleńkiego kraiku, rządzonego przez byłych kryminalistów, ściągają kandydaci na terrorystów. Ciekawe ilu z nich obecnie, po przeszkoleniu, uczestniczy w wielkim marszu na Europę? MSMy nie informują o zachowaniu nowych „emigrantów”, o walkach wewnętrznych z innowiercami z tego samego kraju, o kradzieżach i demolowaniu centrów handlowych, o gwałtach i prostytucji w miasteczkach namiotowych, o namolnych propozycjach, z jakimi kobiety niemieckie spotykają się często i o gwałtach na nich. A to dopiero preludium.

Janusz Rygielski, dr inżynier geodeta, pisarz, publicysta, na stałe mieszka w Australii

Przypisy:

[1] Main Stream Media

[2] Dr Pyotr Iskenderov, The Disintegration of Yugoslavia,

[3] <http://www.globalresearch.ca/the-disintegration-of-yugoslavia/16077>

http://www.iacenter.org/folder04/kosovo_mines.htm

[4] <http://www.mysl-polska.pl/node/69>

[5] Germany: Migrants Rape Epidemic, Gatestone Institute, <http://www.gatestoneinstitute.org/6527/migrants-rape-germany>

MOJA POLSKA

Jan Herman

Obrona demokracji

Kilkanaście osób, które szanuję, zaprosiło mnie poprzez tzw. fanpage, abym poparł w internetowy sposób obronę demokracji. Skrót (akronim) ten nowej inicjatywy – to KOD.

Od razu mówię: sympatyzuję, ale nie dam się nabrać. Inicjatywa ta bowiem jest nie obronna, tylko agresywna wobec formacji, która właśnie wygrała legalne, przez nikogo nie podważane głosowania zwane wyborami parlamentarnymi. Adam, u którego goszczę, podpowiada: i pretensjonalna. Tak jest, to jest inicjatywa tak bardzo „sierakowska”, że aż narcystyczna. Zatem inicjatywa zmierzająca do nękania zwycięskiego ugrupowania parlamentarnego – to inicjatywa przeciwdemokratyczna u podstaw.

Zanim mnie z grona znajomych skreślicie – pozwólcie coś powiedzieć, w imię demokracji. Sytuacja, w której jakieś ugrupowanie zdoła elekcyjnie „zasypać czapkami” pozostałe ugrupowania – jest nienormalna i kusi do zachowań pogłębiających monopol. Tu się zgadzamy. Nie bez przyczyny ktoś już nazwał obecną sytuację parlamentarną – PRL-em.

Najpierw może o PiS, który w oczach „demokratów” robi za podwórkowego obwiesia.

1. Prawo i Sprawiedliwość jest moherowo-narodowym „białkiem” narośniętym wokół „żółtka” Porozumienia Centrum – i to w tej „śpiącej” formacji, trzeba szukać komórki płodowej wszystkiego, co było w poprzedniej edycji (PiS-LPR-Samoobrona) i spodziewać się trzeba;

2. PC powstało jako pierwsze znaczące ugrupowanie wielogłowe (kilkanaście ugrupowań skupionych wokół haseł demokratycznych, narodowych i chrześcijańskich) otwarcie sprzeciwiające się formule „zadanej” Polsce przez Okrągły Stół (Magdalenkę), a kiedy – wysunięty przez PC – Wałęsa okazał się niezbyt niezłomny – Kaczyńscy nie zawahali się porzucić ciepłych posad, by zacząć od nowa;

3. Dziś PiS – uwzględniwszy tę młodą tradycję przełomu z roku 90-go – jest jedynym ugrupowaniem politycznym, które przetrwało w Parlamencie przez cały okres Transformacji, i cały czas było „przeciw”, nawet za AWS, nawet potem, kiedy rządziło;

4. Przypomnę, że dwa niesławne lata rządów PiS z przybudówkami okazały się szaleństwem sanacyjnym, podczas którego Polsce zabrakło Grabskich i Kwiatkowskich, ale też Narutowiczów, a nie zabrakło Eligiuszów Niewiadomskich (skądinąd malarz, wykładowca i krytyk sztuki, społecznik, uczestnik walk o niepodległość Polski), żeby nie wspomnieć Dzierżyńskiego;

5. Za największy błąd PiS-u dzisiejszego uważam (podkreślam, to moje prywatne zdanie) pogłębianie USA-filii, zapewne w nadziei, że w ten sposób jakoś tam odtworzy się Międzymorze: ani Ukraińcy, ani Litwini, ani Białorusini, ani połowa Polaków nie kupuje tego pomysłu;

A teraz o demokracji, które to pojęcie – na swoje nieszczęście – zostało przetłumaczone literalnie (ludowładztwo), a nie konceptualnie (rządy wyważające i równoważące różnorodne interesy społeczne).

Otóż demokracja to taka wizja społeczno-polityczna (nigdy i nigdzie nie wprowadzona w życie), która zakłada, że możliwe są mechanizmy polityczne, na mocy których pragnienia ekonomiczne i duchowe najdrobniejszych nawet wspólnot można zarówno manifestować, jak też skutecznie zaspokoić. Wizja ta od zarania, od początków prób zaprowadzania kaleczona jest za pomocą takich szczyryków i skalpeli, jak „większość”, jak „głosowanie”, jak „reprezentacja”, jak „cesja upoważnień”, jak „egzekutywa”. Ilekroć znalazł się dobry powód, by użyć któregoś z tych sprzętów – znajdowano jeszcze lepsze powody, by demokrację zamieniać w jej farsę i instalować w rzeczywistość społeczną rozmaite przeciwdemokratyczne patologie.

W rzeczywistości demokracja możliwa jest jedynie wtedy (zgaduję, nie widziałem jeszcze demokracji), kiedy społeczna, obywatelska samorządność i gospodarcza samopomoc ujawnią niepotrzebność większości państwowych prerogatyw. To oznacza, że Kaszubów sprawy Podhalan będą interesować wyłącznie poprzez przyjaźnie i poszukiwania dobrych wzorców.

Zauważcie, szanowni namawiacze KOD-owi, czym jest Wasza inicjatywa: oznacza ona ręczne sterowanie wynikami wyborów, o których nikt z Was nie powie, że są nie-demokratyczne. Czyli uruchamianie jakiś „oddolny” nośnik patologii. To ja, a nie Wy głosicie, że demokracji w naszych wyborach nie uświadczysz. To ja wskazuję na to, że w wyniku koincydencji zapisów Konstytucji, Ordynacji Wyborczej i Regulaminu Sejmu Polską rządzi w rzeczywistości zaledwie kilkanaście osób. To ja twierdzę, że zanim zacznę głosować na kandydatów, to chciałbym mieć – w lokalnej społeczności – rzeczywisty wpływ na wyłanianie kandydatów. To ja od lat serwuję koncept Ordynacji Sołtysowskiej (ostatnio nazywam ją Swojszczyźnianą). To ja wskazuję od lat na zagnieżdzenia się Państwa wszędzie tam, gdzie poprzez Budżety, Fundusze i Bilanse elity „prywatyzują” Kraj, w tym Regalia, łupią Naród bez oglądania się na potrzeby Gospodarki, Kraju, Ludności. To ja pokazuję, że mimo zapisów konstytucyjnych nadal nie ma w Polsce społecznej gospodarki rynkowej, że artykuł 104 pozwala politykom okręcać nas sobie wokół palca, że Polską lokalną rządzią Zatrzaski Lokalne, a „centralnie” mamy do czynienia z Pentagramem (mega-polityka, mega-biznes, mega-gangi, mega-służby, mega-media).

Przyłączycie się do mnie? Polajkujecie choćby?

Szanowni moi druhowie, cudownie złączeni transformatorzy i amatorzy walki klasowej! Napiszcie jasno: Kaczyńskiego Jarosława, brata Lecha, który wysługuje się nadal Maciarewiczem, Kamińskim i tym trzecim – uważamy za enfant terrible polskiej polityki, obawiamy się jego wszechwładzy i dążymy do ostatecznego rozwiązania kwestii kacej przez wyeliminowanie go z polityki. Powiedzcie, że macie uzasadnione (potwierdzam) obawy o to, czy ten ponury triumwirat jest politycznie poczytalny i że zamierzacie go wtrącić do politycznego lochu na zawsze. Jednym słowem: nazwijcie po imieniu swoje przeciwdemokratyczne pragnienie przywrócenia sobie świętego spokoju – to może przystąpię, przy czym nie przyłożę ręki do uśmiercania czyjejs władzy w sposób inny niż wyborczy.

Tyle, że wtedy zawsze powstaje pytanie, a nawet dwa: co się stało, że stanęliśmy w takiej potrzebie, a drugie: co zrobimy z naszą demokracją, kiedy już bezecników usuniemy?

Jan Herman, niezależny publicysta

Recenzje



Czy lewica obudzi państwo?

Krzysztof Gawkowski należy do młodego pokolenia polityków lewicy. Szuka on odpowiedzi na kluczowe pytania, przed jakimi stoi lewica – jak naprawić państwo i w jaki sposób przekonać obywateli, aby uwierzyli w lewicową alternatywę w momencie, kiedy od dekady władzę dzielą między sobą prawicowe formacje.

W swojej publikacji sekretarz generalny SLD zaczyna od swojej przygody z polityką. Zwraca uwagę na bardzo częsty błąd wielu polityków i samorządowców, którzy zachłystnęli się sukcesem wyborczym, a ten, jak wiadomo, nie trwa wiecznie. Pokora to bowiem cecha pożądana nie tylko w polityce. Jego aktywność polityczna zaczęła się dość wcześnie, bowiem od kampanii prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, następnie przyszła aktywność samorządowa, czego ukoronowaniem był mandat radnego.

To w samorządzie stawiał swoje pierwsze polityczne kroki i jak sam podkreśla, to najlepsza odskocznia do wielkiej polityki.

Polską politykę od dekady zdominował dyskurs pomiędzy dwiema partiami, które zabiegają mniej więcej o tego samego wyborcę. W jej trakcie, lewicowa retoryka zaczęła zanikać a prawicowe partie zaczęły używać socjalnego języka, co jest trendem ogólnoswiatowym. Lewica gdzieś się w tym wszystkim zagubiła o czym autor wie i zdaje sobie sprawę. Zwraca on uwagę na najważniejsze bolączki państwa, takie jak bieda i wykluczenie społeczne, brak solidarności i rosnące nierówności. Hasło sprawiedliwości społecznej, które lewica głosi od swojego zarania, tak wyśmiewane przez prawicę, znajduje uznanie i aktualność w książce Krzysztofa Gawkowskiego.

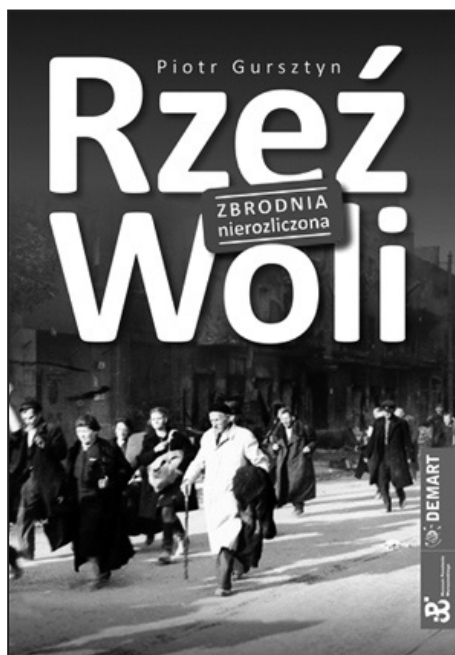
Książka jest emanacją socjaldemokratycznego spojrzenia na państwo. Czy wyjściu z kryzysu powinna w dalszym ciągu towarzyszyć polityka cięć i zaciskania pasa, jak ma to miejsce dziś? Lewica ma inny plan: „Zamiast cięć – inwestycje oraz sprawiedliwy system podatkowy, w którym osoby bogate będą płacić zdecydowanie wyższe podatki” - pisze Gawkowski. Chciałoby się rzec, nareszcie! Polityk SLD dostrzega również inny, istotny problem, mianowicie miałość pojęcia „świeckość państwa” które w praktyce nie znaczy nic. W Polsce mamy gigantyczny problem z neutralnością światopoglądową państwa” - zauważa. Te dwa fundamenty, czyli państwo sprawiedliwe i państwo świecie, stanowią filary lewicowej wizji państwa, które wcielić w życie próbuje lewicowy polityk młodego pokolenia.

Krzysztof Gawkowski rozprawia się również z polityką historyczną, którą prawica próbuje wykorzystać w doraźnej polityce, pisać historię na nowo. Bitwy o pamięć lewica przegrać nie może, bowiem jak pisał lewicowy pisarz George Orwell: „Kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość; kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość.”. Rok 2005 i zwycięstwo obozu PiS w wyborach parlamentarnych przyniósł nową jakość w polityce historycznej, to wówczas kładziono nacisk bardziej niż kiedykolwiek na historię. Lewica, trzeba to przyznać, nie zdawała sobie sprawy z tego, że wywieszenie białej flagi w tym aspekcie, może powodować zanik lewicowych wartości w debacie publicznej. Wystarczy spojrzeć na młodzież, w której odżyła fascynacja ruchem narodowym, a prawicowe marsze i pochody gromadzą dziesiątki tysięcy osób: „Wszystko, co dobre w II RP, łączyło się z Polską Partią Socjalistyczną”. Trudno się z tym nie zgodzić. Autor przypomina dokonania PPS w wielu aspektach: odbudowy państwa, walki o niepodległość, upowszechnianiu kultury, walką z wyzyskiem. Nie zapomina również o Polsce Ludowej, która dla wielu prawicowych polityków i publicystów, to czarna dziura w historii Polski. Zapomina się o jej dokonaniach oraz o fakcie, że było to państwo uznawane przez ONZ. To w okresie PRL zlikwidowano analfabetyzm, największa plagą II RP, która jest bardzo często mitologizowana. To wówczas możliwy był dostęp na wyższe uczelnie młodzieży robotniczej i wiejskiej, upowszechniono dostęp do kultury. Warto podkreślić, że była to forma nie tylko powszechna, ale również darmowa, pewien standard, które państwo oferowało swoim obywatelom.

Lewica według Krzysztofa Gawkowskiego, to lewica wolna od lęków i strachu. Wolność dla lewicy to nie tylko puste słowo, które oznacza jałowe stwierdzenie, to coś więcej niż wolność zrzeszania się i wolność wybory, to również wolność od strachu przed biedą i wykluczeniem społeczny. Autor to polityk z innego już pokolenia, inaczej patrzy na państwo i jego rolę. Nie zapomina jednak o spuściznie, która mu towarzyszy, czyli uniwersalnym zbiorze lewicowych wartości: równości, wolności i sprawiedliwości.

Przemysław Prekiel

Krzysztof Gawkowski – Obudzić państwo, Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2015, stron 277.



Białe plamy Powstania

O Powstaniu warszawskim napisano setki książek, tysiące artykułów. Wzbudza ono żywą dyskusję, przy okazji każdej rocznicy jego wybuchu. Wydawać by się mogło, że nie ma już nic, co czeka na odkrycie, ponowne zbadanie i udokumentowanie. Piotr Gursztyn odsłania jednak zbrodnię, jakiej nie znał świat. Mowa o rzezi na Woli, masakrze ludności cywilnej, okrucieństwie, które nie spotkała ręka sprawiedliwości. Książka Piotra Gursztyna „Rzeź Woli. Zbrodnia nierozliczona” wypełnia istotną lukę w zbiorowej pamięci.

Warszawy miało nie być. To bohaterkie miasto, podczas pięciu lat straszliwej okupacji, nie poddało się. Bunt, który narastał, był zapewne konsekwencją wybuchu Powstania. Rozkaz Adolfa Hitlera, choć nieoficjalny i nie na piśmie, brzmiał jasno „Warszawa winna być zrównana z ziemią,

powstanie winno być stłumione bezlitośnie”. Rozkaz ten wykonano z całą stanowczością i mocą, której nie znał cywilizowany świat. Co więcej, Heinrich Himmler, przekazując ten rozkaz siłom niemieckim w Warszawie, stwierdził: „Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”. Rzeczywiście, był.

Niemiecki okupant nader ochoczo i żwawo wcielał barbarzyńskie plany w życie. Tak zaczęła się rzeź Woli, jednorazowa masakra ludności cywilnej dokonana w Europie w czasie II wojny światowej, a zarazem prawdopodobnie największa w historii pojedyncza zbrodnia popełniona na narodzie polskim. W podtytule książki konserwatywnego publicysty jest napisane: „zbrodnia nierozliczona”. I to budzi największe zdumienie, że niemieckie okrucieństwo na Woli, nigdy nie zostało w żaden sposób ukarane. Jak to w ogóle możliwe? Zdecydowało o tym wiele czynników, takie jak nieudolność i brak determinacji polskich władz, specyficznej sytuacji międzynarodowej oraz zwykłemu szczęściu niemieckich zbrodniarzy.

To, co działo się wówczas w zachodniej części Warszawy, przerasta ludzkie wyobrażenia. Mieszkańcy Woli nie umierali, oni byli systematycznie likwidowani, wszyscy – mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy, dochodziło do okrutnych gwałtów, grabieży mienia, systematycznego burzenia miasta. Czytając niektóre fragmenty, których w książce jest mnóstwo, można odnieść wrażenie, że to niemożliwe, że zrobił to naród, który jest dziś liderem Europy, który wydał tylu mistrzów światowej kultury jak Johann Wolfgang von Goethe czy Ludwig van Beethoven. Autor bardzo często zwraca uwagę na mylenie pojęć, które towarzyszy nam na co dzień, mianowicie, iż to zbrodnie niemieckie, a nie jakiś wymagowanych hitlerowców, oni mieli narodowość. Warto to pamiętać dziś, kiedy systematycznie używa się zwrotu „hitlerowcy” bądź „naziści”.

Szokują losy tych, którzy odpowiadają szczególnie za zbrodnie popełnione na mieszkańcach Woli. Piotr Gursztyn wymienia: Erich von dem Bach, Heinz Reine-

farth, Oskar Dirlwanger oraz Alfred Spilker. Postać drugiego z nich, jest najbardziej przerażająca i urasta do rangi olbrzymiego skandalu w całym XX wieku. Ten kat Woli, który odpowiada za śmierć i cierpienia tysięcy Warszawiaków, po wojnie wiódł szczęśliwe życie, nie nękany przez nikogo, co gorsza, prowadził aktywne polityczne życie, był bowiem przez kilkanaście lat burmistrzem kurortu Westerland na wyspie Sylt, posłem do lokalnego Landtagu, cenionym prawnikiem, szanowanym obywatelem, który miał wielu zwolenników. Nigdy nie czuł się zobligowany do skruchy i nie przeprosił, co było stałym elementem niemieckich zbrodniarzy, którzy stłumili Powstanie. Zmarł spokojnie, nigdy nie został skazany. Aktem sprawiedliwości, jeśli można w ogóle uznać to za stosowne, był fakt, iż władza samorządowa z wyspy Sylt, gdzie Heinz Reinefarth pełnił funkcję burmistrza, przybyły na obchody 70-tej rocznicy wybuchu Powstania warszawskiego, przepraszając za zbrodnie. W 2013 roku, nie bez przeszkód, udało się na ścianie ratusza w Westerland umieścić tablicę, której zawarto skruchę i zawstyżenie, iż ktoś taki jak on, był ich burmistrzem.

Podczas jednego ze spotkań autorskich, Piotr Gursztyn zapytany, dlaczego ta książka, odpowiedział: „Ponieważ takiej nie było”. To prawda, tym bardziej jego praca zasługuje na szacunek. Książka zawiera szereg wspomnień mieszkańców Woli, co stanowi olbrzymi atut publikacji. Autor skrupulatnie ułożył je w całość, dając pierwsze skondensowane świadectwo niemieckich zbrodni na Woli.

Powstanie warszawskie można oceniać różnie. Nie brakuje bowiem skrajnych opinii, od jej zwolenników, po tych, którzy uważają, że wybuch Powstania nie miał żadnego sensu. Zdanie można mieć różne, ale nie wolno zapomnieć, bowiem pamięć to również odpowiedzialność. Piotr Gursztyn dokonał swoistego wyłomu w zbiorowej pamięci. Oby jego publikacja nie była ostatnią, która przyczyni się do większej, zbiorowej świadomości.

Przemysław Prekiel

Piotr Gursztyn „Rzeź Woli. Zbrodnia nierozliczona”, wyd. Demart, str. 390, Warszawa 2014.



Krwawe żniwo mitu żydokomuny

Tydzień po ataku Niemców na ZSRR, 29 VI 1941 roku Reinhard Heydrich szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy wysłał do dowódców podległych sobie Einsatzgruppen dalekopis przypominający wytyczne w sprawie tak zwanych akcji samooczyszczających, mające obowiązywać w początkowym okresie militarnej okupacji sowieckich terenów. Warto przytoczyć jego fragment, do niedawna nieznanymi polskim historykom:

„Nie należy stawiać przeszkód dążeniom do samoczyszczenia, występującym w antykomunistycznych i antyżydowskich kręgach na nowo zajętych obszarach. Przeciwnie należy je wywoływać, nie pozostawiając śladów, intensyfikować, jeśli to potrzebne oraz kierować na odpowiednie

tory, w taki jednak sposób żeby miejscowe „koła samoobrony” nie mogły powoływać się na rozporządzenia, lub udzielone politycznie przyrzeczenia”.

Jakie było ideologiczne i emocjonalne tło pogromów, które polska ludność przeprowadziła swym żydowskim sąsiadom w wielu miasteczkach Podlasia w czerwcu i lipcu 1941? Tomasz Gross, w swym polskim wydaniu książki „Sąsiedzi” jedynie mimochodem nakreślił przyczyny pogromów w Jedwabnem i pobliskim Radziłowie.

Wyjaśnia to historyk Mirosław Tryczyk w książce „Miasta Śmierci” napisanej w oparciu o materiały 700 procesów karnych toczących się po wojnie, rekonstruując przyczyny i przebieg tragicznych wydarzeń.

Tereny Jedwabnego i okolic długo przed wojną cieszyły się wątpliwą sławą regionu, którego ludność zarażona była bakcyłem nacjonalizmu i antysemityzmu. W zachodniej części województwa białostockiego miały miejsce pikiety, podczas których narodowcy bili osoby wychodzące ze sklepów żydowskich i niszczyli zakupione towary. Niejednokrotnie inspirowali je miejscowi księża, wśród których większość (wg raportu wojewody białostockiego z 1934 r.) sympatyzowała z endecją lub była członkami SN, wielu z nich często odmawiało pochówku socjalistom i komunistom.

O skali sympatii jaką na tamtych terenach cieszyła się endecja, świadczy m.in. fakt, że w wyborach w 1937 r. w Jedwabnym i okolicach frekwencja wyniosła jedynie 10%, co było wynikiem ogłoszonego przez nacjonalistów, a wspieranego przez ambon, bojkotu wyborów.

Po wybuchu II wojny światowej tereny te znalazły się początkowo pod okupacją sowiecką. Miejscowi Żydzi byli oskarżani, zgodnie z rozpowszechnionym mitem żydokomuny, o sympatię do okupanta i donoszenie do NKWD. Autor książki „Miasta Śmierci” dowodzi, że oskarżenia te były na ogół bezpodstawne, a Żydzi nie byli przez sowieckie władze faworyzowani.

M. Tryczyk podaje liczby aresztowanych przez NKWD w rejonie jedwabieńskim do czerwca 1940 roku. Na 37 tysięcy Polaków zamieszkujących rejon aresz-

towano 753, a z 1400 miejscowych Żydów aresztowi poddano 94, co stanowiło odpowiednio 2% miejscowej populacji Polaków i 6% populacji Żydów. Mimo to, mit żydokomuny okazał się trwały, a Żydów obwiniono między innymi o spowodowanie aresztowań mieszkańców Jedwabnego, które miały miejsce 19/20 czerwca 1941 roku.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej wojska hitlerowskie błyskawicznie, bo 23 czerwca, zajęły Jedwabne, pozostawiając tam jednak niewielki posterunek żandarmerii. Ukonstytuowały się, jak w innych miasteczkach regionu, polskie władze cywilne i polska milicja, a ich istnienie Niemcy tolerowali do późnej jesieni 1941 roku. Od razu też zaczęły się pierwsze samosądy na Żydach i domniemanych komunistach. Ludność żydowską polska milicja zmuszała ponadto do wykonywania poniżających prac - pielenia rynku łyżkami i czyszczenia wychodków gołymi rękoma.

8 lipca 1940 roku gestapowcy zainicjowali rozmowy z zarządem miasta, prawdopodobnie polecając mu przystąpienie do eksterminacji Żydów. Wedle zeznań świadków, Niemcy zażądali, by oszczędzić rzemieślników fachowców, jednak obecny na miejscu Bronisław Sz, stolarz, zaprotestował mówiąc, że Polacy mają wystarczająco dużo własnych rzemieślników. Jednocześnie Niemcy odmówili wydania Polakom broni, w związku z czym uczestnicy pogromu posługiwali się pałkami, szpadlami, siekierami, a także kilkoma zdobytymi przy rozbrajaniu Rosjan karabinami.

W wyniku ustaleń z gestapo, burmistrz Marian K. polecił chętnym mieszkańcom Jedwabnego, których stawiło się kilkudziesięciu, by uczestniczyli w zaganiu Żydów na rynek. Tam do 10 lipca głodzono ich i bito, każąc nosić pomnik Lenina, śpiewać „Przez nas wojna, za nas wojna” oraz „Hitler złoty, dał Żydom roboty”. 75 najmłodszych i najsilniejszych Żydów zakatowano nad wykopany przez nich zbiorowy grob. Pozostałych uformowano w pochód pod wodzą sędziego rabina każąc mu nieść czerwoną szmatę i zagnano do stodoły gdzie zostali spaleni żywcem. W tym samym czasie pozostała ludność miasteczka grażowała po żydowskich mieszkaniach, szukając chorych i ukrywających się jeszcze Żydów.

Oto zeznania ocalałego Szmula W.:

„Potem stodoła została oblana benzyną i podpalona, po czym poszli bandyci po żydowskich mieszkaniach szukając pozostałych chorych i dzieci. Znalezionych chorych sami zanieśli do stodoły, a dzieci wiązali po kilka za nóżki, i przytaszczyli na plecach, kładli na widły i rzucali na żarzące się węgle. Po pożarze z jeszcze nierozpadłych ciał wybijali siekierami złote zęby z ust”.

W pogromie i rabowaniu dobytku żydowskiego dobrowolnie uczestniczyli także mieszkańcy Radziłowa, Wąsosz, Szczuczyna i innych okolicznych miejscowości, gdzie pogromy dokonały się już wcześniej. Z 1600 osób narodowości żydowskiej zamieszkałych przed wojną w Jedwabnem, pogrom przeżyło jedynie około 200.

Wedle podobnego scenariusza odbył się pogrom w Radziłowie, miasteczku oddalonym kilkanaście kilometrów od Jedwabnego. Tam już 25 VI 1941 r. zjawiała się na posterunku żandarmerii delegacja Polaków pytając czy grozi kara za zabicie Żyda. „Niemcy odpowiedzieli, że Żydów nie chroni żadne prawo i można czynić z nimi co się podoba”.

Jak pisze w oparciu o zeznania świadków M. Tryczyk „polscy sąsiedzi przychodzili nocami, włamywali się do wybranych wcześniej mieszkań żydowskich, wyciągali mężczyzn na dwór i katowali tak długo, aż ich zabili (...). Dopiero wtedy następował atak na ich dom, rabunek, pobicie rodziny i dzieci, często połączone ze zgwałceniem młodych Żydówek (...). Najgłośniejszego tego rodzaju ataku w

Radziłowie dopuścił się miejscowy milicjant Ludwik K., który w biały dzień wywłókł na ulicę matkę i córkę z rodziny B i po kolei je zgwałcił a następnie zamordował uderzeniami kolby karabinu”.

Co ciekawe, za dnia polscy sąsiedzi zachowywali się poprawnie. Upadek porządku publicznego i puszczanie hamulców moralnych następowało powoli. I tak na przykład felczer M. członek zarządu miasta opatrywał Żydów, podczas gdy jego syn uczestniczył w aktach samosądów.

W Radziłowie pogrom, zarządzony na rozkaz miejscowego polskiego zarządu miasta, dowodzony przez milicjantów, wcześniejszych uczestników antysowieckiej partyzantki, zaczął się 7 lipca i trwał przez 3 dni. W tym czasie oddział gestapo, który wcześniej pojawił się w mieście, był nieobecny. Tutaj też poprowadzono Żydów na rynek, a następnie do znajdującej się nieopodal stodoły. Pochód prowadził miejscowy ksiądz Dołęgowski, z krzyżem. Podobnie jak w Jedwabnem całe wydarzenie było dokumentowane przez Niemców za pomocą aparatów fotograficznych.

Jak zeznał po wojnie Antoni O.:

„Wzdłuż domu mieszkalnego siostry mojej matki wykopany był rów. Tam mężczyźni stawiali dzieci żydowskie w wieku od 6 do 10 lat. Jak dziecko było starsze wpędzano je razem z dorosłymi do stodoły. Dzieci ustawiano po 10 koło siebie i mój wuj Władysław D, który miał jako jedyny karabin - strzelał w pierwszego. Pociski przez przejściu przez ciało pierwszego dziecka, zabijało następnego. Mówili, że szkoda kulek na Żydów”.

Metodę tę nazywano na „dziesiątaka”: „Skutek był taki, że wiele tych postrzałów nie było śmiertelnych i wiele dzieci Polacy pochowali żywcem. Zabijano w ten sposób i dorosłych.” W masakrze zginęło 800 osób. Po 3 dniach Niemcy przybyli do Radziłowa, zakazali dalszych mordów, a spod trupów wydostali żywego żydowskiego chłopca, którego odesłano do getta w Łomży. Wielu sprawców radziłowskiej masakry działało później w NSZ czy Armii Krajowej Obywatelskiej, dokonując antysemitycznych aktów zbrodni, a po wojnie walcząc w antykomunistycznym podziemiu.

Oto opis z Radziłowa:

„Sz. i jego siedmioletniego syna zastrzelił w łóżku jego furman. Następnie oba ciała pogrzebał w dole ze skrzyniami na śmieci koło jego mieszkania. Starą, chorą matkę, mordercy wyciągnęli z łóżka położyli na otwartym wozie i mocno popędzili konia. W szybkim biegu spadła spod koła, o które zaczepiła się jej koszula nocna i wlokła się po kamiennym bruku. Kiedy przyniesiono ją z masakry zostały po niej zakrwawione nogi”.

W Wąsoszu, masakra wedle tego samego scenariusza łącznie ze spalaniem części ofiar w stodole, rozegrała się 5 lipca 1941 r. Zeznanie Menachema F.:

„5 lipca 1941 obstawiła polska policja miasteczko Wąsosz (pow. grajewski) Chuligani miejscowi mordowali w domu i poza domem, kobiety gwałcili, ucinali piersi, małe dzieci rozbijali o mur, zabito też żony komandirów sowieckich (...) trupom obcinano palce ze złotymi pierścieniami, ze szczęk wyrrywano złote zęby, gdy w domu zastali rodziców i dzieci to najpierw mordowali dzieci (...) Pogrom trwał 3 dni. Tyle czasu dali im Niemcy na mord i grabież. Zginęło około 1200 Żydów, przeżyło 15”.

Zeznanie Stanisława D. mieszkańca Wąsosza uczestniczącego w zaganianiu Żydów do okopów przeciwczołgowych, gdzie mieli zostać zamordowani:

„Widziałem naocznie jak J. Antoni kazał się wszystkim Żydom kłaść na ziemi, przy czym jedna osoba kładła się głową w jedną stronę, a druga w przeciwną.

Następnie J. Antoni bił po głowach tych ludzi posiadany narzędziem. Była to sprężyna, na końcu której miał odważnik wagowy. Czy wszystkich uderzył chociaż po raz, w to wątpię, bo robił to błyskawicznie, a następnie krzyknął do stojących opodal ludzi: Kurwa go mać, zasypywać”.

Zofia L, Polka, tak precyzuje sposób działania zbrodniarzy z Wąsosz: „Kazali się układać ludziom na wznak, przykładali łopaty do gardeł i wbijali nogami. I już człowieka nie było”.

W swej książce M. Tryczyk wymienia jeszcze inne miejscowości na Podlasiu, gdzie dokonywały się podobne dobrze udokumentowane zbrodnie, które zamiast pogromami, z uwagi na ich zorganizowany charakter należałoby nazwać chyba zbrodniami ludobójstwa. Są to Szczuczyn, gdzie inicjatorem zbrodni był agent gestapo Mieczysław K., stojący na czele samozwańczego sądu „antykomunistycznej trójki” złożonej z siebie i dwóch miejscowych narodowców, a gdzie mordowano między innymi zaostrozonymi brzoźowymi kołkami. Jest to Goniądz, gdzie na czele komitetu antykomunistycznego stał folksdojcz Bernard K. Tam Żydów mordowano sztyletami, bagnietami i kijami, wyciągając ich domów, a systematyczne mordy trwały od połowy lipca do połowy września 1941 roku.

Wszędzie gdzie dokonywano masowych mordów – w Rajgrodzie, Kolnie, Suchowoli, Brańsku, Jasionówce powtarza się ten sam schemat: mordów dokonywano z antykomunistycznymi hasłami na ustach, pod formalną nieobecność niemieckich władz, lub przy ich bezczynności. W miejscowościach takich jak Szczuczyn, czy Brańsk, gdzie utworzono getta Polacy uczestniczyli w systematycznych mordach Żydów w zasadzie przez całą okupację, między innymi służąc w szeregach tzw. Hilfspolizei.

Co szokujące, po wojnie władze niezwykle łagodnie obchodziły się ze zbrodniami. Przesiępcy sądzeni na podstawie tak zwanego dekretu sierpniowego, wydanego w 1944 r. przez PKWN nie byli skazywani za zabójstwo, jeśli uczestniczyli jedynie w zadenuncjowaniu lub ujęciu i doprowadzeniu Żyda.

I tak Bernard K. inicjator wydarzeń w Goniądzu, gdzie zamordowano przynajmniej 180 Żydów został wyrokiem z 3 lutego 1949 r. skazany na 5 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw publicznych.

Antoni L, nauczyciel z Rajgrodu, na którego rozkaz zabito ponad 100 Żydów, przedwojenny członek Stronnictwa Narodowego, przewodniczący samozwańczego polskiego samorządu zwanego Komitetem Wyniszczenia Komunizmu wyrokiem sądu z 7 maja 1958 roku został uniewinniony.

Dlaczego tak się stało?

Wielu ze tych sprawców po wojnie było członkami PPR i PZPR. Przede wszystkim jednak władze komunistyczne troszcząc się o swoją popularność wśród miejscowej ludności starały się zatuzszować zbrodnie dokonane przez polskie milicje w czerwcu i lipcu 1941 roku. Często manipulowano świadkami, starając się ich skłonić do zmiany zeznań i przypisania zbrodni Niemcom.

Dopiero dziś, prawda o polskich zbrodniach tamtego okresu, często paradoksalnie dzięki prokuratorom IPN-u, wychodzi na jaw.

Zbrodnie te, powinny skłonić nas do refleksji nad historią polskiego nacjonalizmu, którego propaganda zebrała w czasie wojny tragiczne żniwo. Główny ideolog polskiego nacjonalizmu Roman Dmowski nie widział, przypomnijmy, sprzeczności między tradycją katolicką a szowinistycznym, wzywającym do odizolowania Żydów w gettach i odebrania im praw obywatelskim, antysemityzmem. W 1935 roku pełen podziwu dla „narodowej rewolucji” w Niemczech napisał o niesławnych ustawach norymberskich:

Recenzje

„Takie prawodawstwo jest wzorowane na prawodawstwie epoki, która miała najmądrzejszą politykę w stosunku do żydów, na średniowieczu i nauce Kościoła Katolickiego”.

Tomasz Sosnowski

Mirosław Tryczyk „Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów”, Warszawa, Wydawnictwo RM, 2015.

Życie na lewicy

Promocja książki „Jaka Polska”

W dniu 7 października 2015 roku odbyła się w Sejmie z inicjatywy Klubu Parlamentarnego SLD i Wydawnictwa „Kto jest Kim” promocja wydanej ostatnio książki „Jaka Polska”. Książka jest zbiorem 25 wywiadów przeprowadzonych przez współpracownika „Przeglądu Socjalistycznego” Przemysława Prekiela z przedstawicielami czołówki polskiej lewicy – jej przywódców i lewicowych intelektualistów.

Wydanie książki zbiega się z kampanią wyborczą do Sejmu i Senatu RP, trudno więc nie kojarzyć tych dwóch faktów, choć rozmowy nie dotyczą kampanii wyborczej i jej haseł głoszonych przez Zjednoczoną Lewicę. Są one wyrazem myślenia i troski o Polskę, jej dalszy rozwój, współpracę międzynarodową, sojusze, ale także mamy tutaj szeroki wykład na temat potrzeby zwrotu w polityce gospodarczej i społecznej, ochronie zdrowia.

Recenzję książki można znaleźć w witrynie „Przeglądu Socjalistycznego”.

W spotkaniu promocyjnym uczestniczyli przedstawiciele Klubu Parlamentarnego SLD z Leszkiem Millerem, OPZZ z Janem Guzem, PPS z Bogusławem Gorskim.

Podczas spotkania głos zabrali rozmówcy Przemysława Prekiela, którzy rozwinęli w swych wystąpieniach tematy dotyczące opublikowanej treści rozmów.

Spotkanie było potwierdzeniem, że na lewicy i wokół lewicy znajduje się bardzo liczna grupa osób z różnych środowisk, specjalizacji naukowych i różnych pokoleń, intelektualnie przygotowana do obiektywnego i jednocześnie kompetentnego udziału w kierowaniu państwem polskim.

To wielki atut polskiej lewicy, ważny szczególnie w tak przełomowych dla Polski czasach, jak dziś.

Grzegorz Kołodko na konwencji ZL

10 października 2015 roku w Warszawie odbyła się kolejna konwencja Zjedno-

zonej Lewicy. Gościem specjalnym był prof. Grzegorz Kołodko b. minister finansów i wicepremier w rządach SLD-PSL.

Liderka Zjednoczonej Lewicy Barbara Nowacka w swoim wystąpieniu zaznaczyła, że najbliższe wybory parlamentarne są inne niż poprzednie. – Te wybory są o kształt demokracji, w której chcemy żyć – oceniła. Zapewniała, że lewica będzie upominać się o każdego dyskryminowanego. – To będzie siła, która upomni się o dyskryminowanych, bez względu na to, czy są dyskryminowani ze względu na płeć, wiek, dochody, o to, kogo kochają lub w co wierzą. Upomnimy się o każdego, nawet najmniejszego dyskryminowanego przez państwo, przez system, przez wymiar sprawiedliwości – mówiła.

Prof. Grzegorz Kołodko w swoim przemówieniu podkreślił, że Polska potrzebuje dzisiaj szybkiego wzrostu i gospodarki opartej na wiedzy, a nie na nierealnych obietnicach, jakie składa m.in. Platforma czy PiS. – Polska może i powinna wrócić na ścieżkę szybkiego rozwoju społeczno-gospodarczego. Dobrą strategię rozwoju społeczno-gospodarczego można oprzeć tylko na poprawnej teorii ekonomicznej, a nie na „mambo-jumbo”, nie na banialukach, nie na głupotach, które głoszą teraz, ogłupiając elektorat. Bo dla nich to jest elektorat, a nie społeczeństwo, żeby pozyskać ich jakimiś obietnicami bez pokrycia – przekonywał prof. Kołodko. I zaznaczył: – Po co się mylić, skoro można dokonywać właściwych wyborów. Dokąd zmierza Polska? Wbrew rządowej propagandzie, musimy zdać sobie sprawę, że marnujemy czas, nie wykorzystujemy go optymalnie. Za czasów rządów PO-PiS pozycja międzynarodowa Polski się osłabiła.

Jego zdaniem, by Polska mogła się rozwijać, nie może opierać się na skompromitowanej idei nadwiślańskiego neoliberalizmu. – Dzisiaj trzeba odrzucić także koncepcję kapitalizmu państwowego, gdzie przerosty administracyjne, biurokracja, nieefektywne przedsiębiorstwa powiązane

z koteriami politycznymi, które są skorumpowane, żerują na tych, którzy potrafią zorganizować produkcję, potrafią wydajnie pracować – tłumaczył były wicepremier. I podkreślił: – Odpowiedzią na polskie wyzwania jest nowy pragmatyzm, który pokazuje, jak konstruować dynamiczną, długofalową, potrójną równowagę, nie tylko ekonomiczną, ale także równowagę społeczną i ekologiczną.

Kołodko podkreślił także, że Polska może być coraz bogatszym krajem, a przy tym być sprawiedliwa. – Polska może i będzie coraz bogatsza, ale musi być także coraz czystsza i bardziej sprawiedliwą, bo bałamuctwem i głupotą ekonomiczną jest twierdzić to, że narastające nierówności w podziale dochodów i majątków sprzyjają rozwojowi. To jest neoliberalna koncepcja, która służy wzbogacaniu nielicznych kosztem większości – stwierdził.

Były minister finansów skrytykował decyzję rządu PO-PSL o zwiększeniu nakładów finansowych na zbrojenie. – Polska gospodarka nie może opierać się na służbach mundurowych, wieprzowinie i węglu zamiast na wiedzy – mówił. – Trzeba zwiększać nakłady, ale na naukę, oświatę i służbę zdrowia – dodał.

Kołodko wspominał też rządy lewicy, kiedy to Polska odnotowywała największy wzrost gospodarki. – Szybki wzrost, sprawiedliwy podział, korzystna integracja, skuteczne państwo. Co to jest szybki wzrost? Co najmniej 5 proc. średnio rocznie – mówił o dokonaniach lewicy. – To postsolidarnościowe rządy zdołały polską – wytknął prawicy. Wypominał także, że to za rządów prawicy najwięcej Polaków wyemigrowało z kraju. – Kiedy dziś ponad 2 mln Polaków opuściło Polskę, warto przypomnieć, że za czasów lewicy więcej Polaków wracało do kraju, niż wyjeżdżało – przypomniał.

Konwencja Zjednoczonej Lewicy w Katowicach

W dniu 17 października 2015 roku z udziałem blisko tysiąca uczestników odbyła się w Katowicach Konwencja Wyborcza Zjednoczonej Lewicy przed wyborami parlamentarnymi, które odbywać się będą w całym kraju w dniu 25 października.

Konwencję rozpoczęła liderka Zjednoczonej Lewicy, Barbara Nowacka, odniosła

się do problemów gospodarczych, społecznych i socjalnych. Stwierdziła m.in., że ZL stawia na kwestie socjalne i obiecuje wynagrodzenie minimalne na poziomie 2,5 tys. zł, likwidację bezpłatnych staży i „śmieciówek” oraz zwiększenie dostępności mieszkań. Podczas wystąpienia na konwencji w Katowicach zapewniała też, że ugrupowanie ma program dla młodych.

Obok Barbary Nowackiej w Katowicach wystąpili szef OPZZ Jan Guz, b. przewodnicząca Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych Dorota Gardias, b. wiceminister gospodarki i b. senator Jerzy Markowski oraz liderzy list ZL w sześciu okręgach woj. śląskiego.

Nowacka m.in. akcentowała rolę integracji środowiska lewicowego. – Mówi się, że są takie rozdzwięki, że tak różne grupy nie mogą się porozumieć. Często napuszczą się ludzie na siebie i przeciwko sobie. A przecież my pokazujemy, jak można być razem, jak Zjednoczona Lewica jest razem, jak różnice można wynegocjować i zmienić na wspólne dobro, jak te sztuczne podziały czasami są fałszywymi podziałami – przekonywała.

Mówiąc na konwencji ZL o postulatach dla gospodarki b. wiceminister gospodarki, b. senator Jerzy Markowski przekonywał, że „gospodarka według lewicy (...) nie schładza swego rozwoju, cały czas kieruje się doktryną wzrostu prof. Kołodki, ma za sobą niespotykany w ostatnim 25-leciu wzrost na poziomie 7,5 proc., jak za rządów Włodzimierza Cimoszewicza”.

Przypominał też, że to za rządów Józefa Oleksego i Włodzimierza Cimoszewicza na Śląsku bezrobocie spadło o 50 proc., za rządów Oleksego w Polsce powstało 13 specjalnych stref ekonomicznych, które stały się miejscem pracy dla tysięcy młodych, wykształconych ludzi, a za rządów Leszka Millera obniżano podatki i wprowadzono państwo do struktur UE.

celami, ale jesteście absolutnie przekonani – ludzie, którzy zajmują się gospodarką – że możemy oferować Polsce co najmniej 5-procentowy wzrost PKB i nie większe niż 4 proc. bezrobocie w kraju. To cele i strategia, które są realne w polskiej gospodarce, tylko trzeba się do tego kompetentnie zabrać – skonkludował Jerzy Markowski.

PKW o wynikach wyborów

Według danych podanych przez PKW wieczorem 26 października 2015 roku wyniki wyborów do Sejmu są następujące: PiS zdobywa 37,58 proc. poparcia, PO - 24,09 proc., a Kukiz ,15 - 8,81 proc. Do Sejmu wejdą też .Nowoczesna z 7,60 proc. poparcia oraz PSL, które uzyskało 5,13 proc.

Do Sejmu nie wchodzi Zjednoczona Lewica - 7,55 proc., partia KORWiN - 4,76 proc. oraz Partia Razem 3,62 proc. Zjednoczona Lewica nie osiągnęła wyniku wymaganego dla koalicji wyborczych, czyli 8 proc.

Według ogłoszonych przez PKW wyników wyborów do Senatu uprawnionych do głosowania było 30 629 150 osób. Głos oddało 15 593 033, z czego 14 988 086 kart było ważnych. Polacy oddali 604 947 nieważnych kart do głosowania. Frekwencja wyniosła 50,91 proc.

Wybory do Senatu wygrało Prawo i Sprawiedliwość. Podział mandatów w Senacie:

Na 100 senatorów PiS będzie miało 61 swoich przedstawicieli, a Platforma Obywatelska 34. Jeden mandat przypadnie Polskiemu Stronnictwu Ludowemu, a cztery kolejne przypadły politykom startującym z własnych komitetów.

Konferencja w Kuźnicy na Helu

W dniach 25-28 października w Kuźnicy na Helu odbyła się pod patronatem prof. Marii Szyszkowskiej XV międzynarodowa konferencja „Patriotyzm oraz inne odmiany miłości”. W konferencji uczestniczyło ponad 100 pracowników nauki, dziennikarzy i działaczy społecznych.

Organizatorami konferencji byli: Towarzystwo Pedagogiki Filozoficznej, Katedra Filozofii Instytutu Studiów nad Filozofią Słowiańską im. św. Cyryla i Metodego WSM, Pacyfistyczne Stowarzyszenie Wolnej Myśli, Polski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) z siedzibą w Wenecji.

Podczas konferencji wygłoszono 32 referaty naukowe. Konferencji towarzyszyły żywe dyskusje i wiele wniosków dotyczących nauki, polityki, spraw społecznych.

Patronat medialny nad konferencją sprawował „Przegląd Socjalistyczny”.

Zmarł gen. Czesław Kiszczak

W dniu 5 listopada zmarł gen. Czesław Kiszczak. Był jednym z twórców idei porozumienia narodowego na tle wydarzeń lat 80.

Gen. Czesław Kiszczak był po stronie rządowej głównym organizatorem „Okrągłego Stołu” w roku 1989 i współprzewodniczącym obrad. Jego koncyliacyjna postawa przyczyniła się do sukcesu rozmów i nakreślenia drogi porozumienia i reform.

W ostatnich latach był poddany poważnej presji ze strony środowisk radykalnych dawnej opozycji wspieranych przez IPN, która zarzucała mu odpowiedzialność za stan wojenny i ofiary represji w tym okresie.

Mimo upływu ponad 25 lat od zmiany systemu w Polsce i rozpoczęcia procesu demokratyzacji, trudno w sprawach najważniejszych – ocen niedawnej historii osiągnąć obiektywizm i porozumienie. Podobna sytuacja panowała jeszcze niedawno wokół gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Trzeba przyjąć, że obydwaj generałowie Jaruzelski i Kiszczak stanowili w szczytowym okresie polskiego konfliktu ważną ostoję walki o trwałość państwa polskiego, które poddane zostało zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej presji. Była groźba wojny domowej i zewnętrznej interwencji.

Obydwaj w pamięci zbiorowej jawią się jako obrońcy państwa dla jednych, dyktatorzy dla innych.

Następne pokolenia dopiero, nie na fali emocji, a pogłębionej wiedzy o schyłkowym okresie Polski Ludowej, będą w stanie wydać właściwy osąd wydarzeń, ludzi i problemów tamtego okresu.

Rada Krajowa SLD po wyborach

W dniu 7 listopada 2015 roku obradowała w Warszawie Rada Krajowa SLD. Dokonano oceny wyborów parlamentarnych. Nakreślono plan działań SLD na najbliższe półrocze.

12 grudnia odbędzie się konwencja Sojuszu Lewicy Demokratycznej – zdecydowała Rada Krajowa Sojuszu. Mają zostać wówczas wprowadzone zmiany w statucie partii.

„Konwencja dokona zmian w statucie i – jak wszystko na to wskazuje – podejmie decyzje o bezpośrednim wyborze przewodniczącego SLD” – powiedział po posiedze-

niu Rady Krajowej szef SLD Leszek Miller. Powtórzył deklarację, że nie będzie już kandydował na szefa Sojuszu.

Na spotkaniu szefów regionów pod koniec października zaproponowano, by na 21 listopada zwołać konwencję, a na 5 grudnia kongres Sojuszu, na którym miałyby zostać wybrane nowe władze ugrupowania.

Jak mówił Miller, pojawił się jednak pomysł, aby nowy przewodniczący partii nie był wybierany ani przez konwencję, ani przez kongres, ale przez wszystkich członków partii. To wymaga więcej czasu – dodał. W ocenie Millera, „lepiej, gdy przewodniczący partii wybrany jest wieloma tysiącami głosów niż stoma czy trzystoma głosami”.

Dopytywany o to, kiedy ostatecznie może zostać wybrany nowy przewodniczący partii, Miller przypomniał, że cztery lata temu takie wybory trwały około trzech tygodni.

„Spotkało nas niepowodzenie, ale projekt Zjednoczonej Lewicy zyskał wiele aprobaty” – ocenił Miller. Jak dodał, „w najbliższych miesiącach przekonamy się, czy będzie on kontynuowany”.

„Nie tylko od SLD zależy jego dalszy ciąg. Każda z partii musi zająć stanowisko co do dalszych losów tego projektu” – mówił Miller. Według niego, o sile lewicy i dalszej kontynuacji projektu ZL „zdecyduje siła SLD”.

Jak podkreślił Miller, podczas dyskusji „przeważały głosy, że zbyt dużo zainwestowaliśmy w projekt Zjednoczona Lewica, by go teraz odrzucać”. W jego ocenie, ZL z komitetu wyborczego powinna się przerodzić „w jakiś inny projekt”.

Sprawa patriotyzmu

W dniu 10 listopada 2015 roku w przeddzień Święta Niepodległości Stowarzyszenie Ruch Społeczny „Praca-Pokój-Sprawiedliwość” wydawca „Przeglądu Socjalistycznego”, zorganizowało w Warszawie, pod patronatem Polskiej Partii Socjalistycznej, konferencję „Współczesne aspekty patriotyzmu”.

Wygłoszono następujące referaty: prof. Wojciech Pomykało – Patriotyzm a socjalizm w XXI wieku, dr Sylwester Szafarz – Kryzys patriotyzmu w świecie, prof. Ma-

ria Szyszkowska – Patriotyzm a pacyfizm, prof. Danuta Waniek – Spór lewica-prawica o patriotyzm.

Głos zabrał również przewodniczący Rady Naczelnej PPS – Bogusław Gorski, który przypomniał, że rocznica 11 listopada jest świętem całej polskiej lewicy socjalistycznej, bowiem to Polska Partia Socjalistyczna na swych sztandarach od momentu powstania w 1892 roku miała hasła walki o niepodległość Polski i sprawiedliwość społeczną.

W wystąpieniach zagajających i podczas dyskusji wskazano na potrzebę zdefiniowania na nowo pojęć takich jak patriotyzm, racja stanu, interes narodowy. Wynika to z postępującej globalizacji, obecności Polski w Unii Europejskiej i załamania się tradycyjnego pojmowania patriotyzmu, wyrażanego jedynie jako walki o niepodległość. Dziś w dobie pokojowej rywalizacji państw i narodów, pojęcie patriotyzmu nabiera nowych znaczeń, również w obszarze pracy, umacniania wolności demokracji, budowania równoprawnych stosunków z innymi narodami, religiami czy nurtami ideowymi.

W spotkaniu uczestniczyło kilkadziesiąt osób ze środowisk warszawskiej inteligencji lewicowej.

Konferencja Mazowiecka PPS

W dniu 14 listopada 2015 roku w Warszawie odbyła się Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PPS woj. mazowieckiego. uczestniczyli w niej ponadto przedstawiciele środowiska PPS z województw podlaskiego i warmińsko-mazurskiego.

Konferencja zorganizowana została w oparciu o kalendarz przygotowań do XLII Kongresu PPS, który odbędzie się w dniu 5 grudnia 2015 roku w Warszawie.

Podczas konferencji dokonano podsumowania działalności PPS w okresie mijającej 3-letniej kadencji, skupiając się na wnioskach wynikających dla PPS i całej lewicy z ostatnich wyborów parlamentarnych. Podkreślono, że w związku z porażką wyborczą koalicji Zjednoczonej Lewicy i brakiem w Sejmie ugrupowań lewicowych, wzrastać będzie rola dotychczasowych ugrupowań socjalistycznych, jako wyrazistej alternatywy dla rządzącej dziś koalicji Zjednoczonej Prawicy. Uznano, że

PPS powinna przejawiać inicjatywy w kierunku wzmocnienia i rozszerzenia działalności programowej i organizacyjnej, a także przedstawić na Kongresie program na najbliższe lata odpowiadający potrzebom społecznym.

Przyjęto założenia programowe do działań PPS na terenie Mazowsza a także postulaty programowe do uchwał zbliżającego się XLII Kongresu PPS.

Podczas konferencji wybrano nowe władze: Radę Wojewódzką i Wojewódzką Komisję Rewizyjną oraz delegatów na Kongres. Przewodniczącym Rady Wojewódzkiej został tow. Mirosław Nizielski.

Prezydent powołał nowy rząd

Prezydent Andrzej Duda powołał w dniu 16 listopada 2015 roku nowy rząd z Beatą Szydło jako prezesem Rady Ministrów.

Skład rządu:

Piotr Gliński - minister kultury i dziedzictwa narodowego, wicepremier
Mateusz Morawiecki - minister rozwoju, wicepremier

Jarosław Gowin - minister nauki i szkolnictwa wyższego, wicepremier

Mariusz Błaszczak - minister spraw wewnętrznych i administracji

Antoni Macierewicz - minister obrony narodowej

Witold Waszczykowski - minister spraw zagranicznych

Paweł Szałamacha - minister finansów

Zbigniew Ziobro - minister sprawiedliwości

Dawid Jackiewicz - minister skarbu państwa

Anna Zalewska - minister edukacji narodowej

Jan Szyszko - minister środowiska

Elżbieta Rafalska - minister rodziny, pracy i polityki społecznej

Krzysztofa Jurgiel - na minister rolnictwa

Andrzej Adamczyk - minister infrastruktury i budownictwa

Konstanty Radziwiłł - minister zdrowia

Marek Gróbarczyk - minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej

Anna Streżyńska - minister cyfryzacji

Witold Bańka - minister sportu i turystyki

Krzysztof Tchórzewski, który ma zostać ministrem energetyki, do czasu powołania resortu będzie pełnił funkcję członka Rady Ministrów.

Ministrami, członkami Rady Ministrów zostali również:

Beata Kempa - szefowa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

Elżbieta Witek - szefowa gabinetu politycznego premiera i rzeczniczka rządu

Mariusz Kamiński - koordynator służb specjalnych

Henryk Kowalczyk - szef Komitetu Stałego Rady Ministrów.

Premier i ministrowie złożyli ślubowanie i otrzymali z rąk prezydenta akty nominacji.

Rada Naczelna PPS

W dniu 21 listopada 2015 roku obradowała Rada Naczelna Polskiej Partii Socjalistycznej. Dokonano oceny udziału PPS w wyborach parlamentarnych w ramach Koalicji Zjednoczonej Lewicy.

Podjęto także zagadnienia związane z przygotowaniami do XLII Kongresu Partii.

Rada Naczelna zapoznała się z informacją przewodniczącego dotyczącą udziału Partii w wyborach. Podkreślono, że członkowie PPS kandydujący do Sejmu i Senatu RP uzyskali ponad 60 tys. głosów w swoich okręgach wyborczych.

Jest to dobrym wynikiem pozwalającym w perspektywie podjąć starania o skuteczny wynik wyborczy w najbliższych wyborach samorządowych.

Rada Naczelna potwierdziła termin organizacji XLII Kongresu PPS w dniu 5 grudnia 2015 roku w Warszawie. W Kongresie weźmie udział ponad 100 delegatów wybranych na konferencjach wojewódzkich w całym kraju.

Podczas posiedzenia przedyskutowano wstępne projekty dokumentów programowych, które zarekomendowano pod obrady Kongresu.

XLII Kongres PPS ma charakter sprawozdawczo-wyborczy. Zgodnie ze Statutem zbiera się on co 3 lata.

Zadaniem Kongresu będzie ocena działalności Partii w okresie sprawozdawczym, przyjęcie uchwał programowych na najbliższą kadencję, wybór nowych władz: Rady Naczelnej, Centralnej Komisji Rewizyjnej i Centralnego Sądu Partyjnego. Zgodnie ze Statutem Rada Naczelna wybiera ze swego grona przewodniczącego oraz Prezydium Rady Naczelnej i Centralny Komitet Wykonawczy.

Konferencja w Nałęczowie

W dniach 30 listopada – 2 grudnia 2015 roku w Nałęczowie pod patronatem naukowym prof. Marii Szyszkowskiej odbyła się ogólnopolska, międzyśrodowiskowa konferencja „Pokój jako warunek globalizacji i zdrowia człowieka”.

Organizatorami konferencji byli: Katedra Filozofii Instytutu Filozofii Słowiańskiej im. św. Cyryla i Metodego WSM, Pacyfistyczne Stowarzyszenie Wolnej Myśli, Polski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej SEC z siedzibą w Wenecji.

Idea globalizacji mająca korzenie w starożytności wymaga tworzenia świata na miarę nie urzeczywistnionych dotąd możliwości człowieka. Od wieków rozmaite mniejszości głoszą wartość pokoju, często za cenę prześladowań. Aktualnie stoimy wobec alternatywy: albo pokój albo zagłada. Wynalezienie broni masowego rażenia oraz niszczenie świata przyrody jako skutek rozkwitu przemysłu zbrojeniowego zagraża istnieniu ludzkości i Ziemi. Narusza także zdrowie somatyczne i psychiczne człowieka. Wytwarzanie przez polityków atmosfery zagrożenia sprzyja interesom koncernów.

Ocena pacyfizmu jako idei niemożliwej do realizacji jest nieporozumieniem, bowiem dotąd nie edukowano pokoleń w jej duchu i nadal nie zaszczepia się jej w procesach edukacji, chociażby poprzez lektury szkolne. W Europie nakazowi miłości bliźniego i powoływaniu się na Dekalog jako nadrzędne prawo towarzyszy zgoda na zabijanie człowieka przez człowieka. Celem referatów i dyskusji prowadzonych podczas konferencji było przyczynienie się do przewyciężenia stereotypowego poglądu o konieczności prowadzenia działań zbrojnych oraz pogłębieniu ujęcia zdrowia psychicznego.

Podczas konferencji wygłoszono 45 referatów naukowych.

W konferencji uczestniczyło blisko 100 osób z ośrodków akademickich w kraju.

Tradycyjnie patronat nad konferencją objął „Przegląd Socjalistyczny”.

XLII Kongres PPS

W dniu 5 grudnia 2015 roku obradował XLII Kongres PPS. Przyjęto 2 uchwały programowe, wybrano nowe władze partii.

W kongresie uczestniczyło 66 delegatów na 102 wybranych na konferencjach wojewódzkich wg. klucza 1 delegat na 5 członków partii.

Podczas głosowania wybrano 29 osobową Radę Naczelną PPS oraz liczącą po 6 osób: Naczelny Sąd Partyjny i Centralna Komisja Rewizyjna.

Ukonstytuowanie tych ciał nastąpi zgodnie z ustaleniami 16 stycznia 2016 roku. Wybrane zostanie Centralny Komitet Wykonawczy, Prezydium Rady Naczelnej oraz przewodniczący Rady Naczelnej.

Konwencja SLD

Podczas odbywającej się w dniu 12 grudnia 2015 roku w Warszawie Konwencji SLD ogłoszono kandydatury na przewodniczącego partii. Konwencja przyjęła też nową deklarację programową.

Konwencję otworzyło wystąpienie Leszka Millera, który nie będzie w styczniu ubiegał się o stanowisko przewodniczącego. W swoim przemówieniu - jak relacjonowano na Twitterze SLD - dziękował ludziom lewicy za współpracę, apelował o wybór nowego przewodniczącego partii w wyborach powszechnych oraz o „konsolidację i wzmocnienie SLD”. „Nowe kierownictwo SLD musi określić przyszłość Sojuszu oraz dalsze losy Zjednoczonej Lewicy” - podkreślił.

Na konwencji chęć udziału w powszechnym wyborze zgłosili; Włodzimierz Czarzasty, Krzysztof Gawkowski, Michał Huzarski, Adam Kępiński, Tomasz Nesterowicz, Piotr Rączkowski, Joanna Senyszyn, Dariusz Szczotkowski, Jerzy Wenderlich oraz Zbyszek Zaborowski.

Uczestnicy konwencji przyjęli także nową deklarację ideowo-programową partii, w której podkreślono przywiązanie partii do „wartości europejskiej socjaldemokracji”.

Podczas otwartej dla mediów części konwencji kandydaci w krótkich wystąpieniach przedstawili swoje wizje kierowania Sojuszem oraz strategię, jaką - ich zdaniem - powinno obrać ich ugrupowanie. Jak podaje PAP Czarzasty jest obecnie szefem mazowieckich struktur SLD oraz - od wielu lat - przewodniczącym Zarządu Głównego Stowarzyszenia „Ordynacka”, skupiającego byłych działaczy Zrzeszenia Studentów

Polskich. W latach 2000-2004 był sekretarzem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Gawkowski od 2012 r. pełni funkcję sekretarza generalnego Sojuszu. W 2015 r. był jednym z negocjatorów porozumienia, które doprowadziło do zawiązania koalicji wyborczej pod nazwą Zjednoczonej Lewicy.

Huzarski jest szefem legnickich struktur SLD oraz członkiem rady krajowej partii. Wcześniej był m.in. radnym sejmiku dolnośląskiego. Kępiński był posłem VII kadencji, wybranym z pierwszego miejsca na opolskiej liście Ruchu Palikota. W 2013 r. przeszedł do SLD.

Nesterowicz to szef zielonogórskich struktur Sojuszu oraz miejski radny z ramienia tej partii. W przeszłości był m.in. szefem gabinetu prezydenta Zielonej Góry Janusza Kubickiego. Rączkowski jest członkiem warszawskich struktur SLD i przedsiębiorcą. W ostatnich wyborach kandydował z 38. miejsca warszawskiej listy Zjednoczonej Lewicy. Senyszyn to wiceprzewodnicząca SLD (w latach 2005-2008 i ponownie od 2009 r.), ekonomistka i wieloletnia parlamentarzystka. W latach 2001-2009 z ramienia Sojuszu zasiadała w Sejmie, a w latach 2009-2014 - w Parlamencie Europejskim.

Szczotkowski to członek małopolskich struktur SLD oraz wiceprzewodniczący młodzieżówki Sojuszu - Federacji Młodzieży Socjaldemokratycznej. Wenderlich to członek rady krajowej SLD i wieloletni poseł - zasiadał w niższej Izbie parlamentu nieprzerwanie od 1993 do 2015 r. W Sejmie VI i VII kadencji pełnił funkcję wice-marszałka. Był też m.in. rzecznikiem prawnym Sojuszu.

Zaborowski jest członkiem rady krajowej SLD, a wcześniej reprezentował SLD m.in. w Sejmie, sejmiku województwa śląskiego i w Parlamencie Europejskim. Jest także członkiem stowarzyszenia „Ordynacka”.

Rada Dialogu Społecznego

14 grudnia 2015 roku w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej rozpoczęło się pierwsze plenarne posiedzenie Rady Dialogu Społecznego.

Piotr Duda, przewodniczący rady, rozpoczął część oficjalną witając przedstawicieli najwyższych władz państwowych

- Beatę Szydło Prezesa Rady Ministrów, Marka Kuchcińskiego Marszałka Sejmu, Stanisława Karczewskiego Marszałka Senatu oraz członków RDS i zaproszonych gości.

W swoim wystąpieniu Jan Guz, przewodniczący OPZZ, pogratulował przedstawicielom parlamentu i rządu objęcia zaszczytnych i odpowiedzialnych funkcji.

W imieniu związkowców zadeklarował wsparcie dla realizacji zadań społecznych, socjalnych, pracowniczych i emerytalnych, poprawiających warunki życia Polek i Polaków. Stwierdził, że OPZZ chce konstruktywnej współpracy w realizacji programów gospodarczych i finansów publicznych, w tym podatkowych. By móc to realizować niezbędny jest odpowiedzialny dialog społeczny. - Tego nie załatwi nawet najlepiej przygotowany akt prawny. Potrzebna jest wola, dobra praktyka i kultura dialogu, wypracowanie nowej umowy społecznej i otwartość na wszystkich partnerów – powiedział Guz. - W dialogu oczekujemy szacunku. Pamiętać należy, że dialog to wymóg polskiej Konstytucji i Traktatu Europejskiego, to rdzeń demokracji – dodał. Jan Guz podziękował za nominowanie do Rady Dialogu Społecznego konstytucyjnych ministrów, którzy zajmują się najważniejszymi odcinkami życia społecznego i gospodarczego.

Zdaniem szefa porozumienia dialog społeczny to wypracowanie strategii. To nie może być upolityczniony spektakl teatralny. Konsultowanie nowego prawa powinno przebiegać z zachowaniem określonych terminów a nie z dnia na dzień. Niestety, nowy rząd zaczął już to praktykować. Przewodniczący OPZZ podkreślił także konieczność likwidacji nierówności w prawach partnerów społecznych np. w finansowaniu dialogu.

Zwracając się do premier B. Szydło powiedział : - Z Pani rządem związane są społeczne nadzieje i oczekiwania, bo w kraju narosło wiele nierówności. Podstawą tych oczekiwań są deklaracje złożone w czasie kampanii wyborczej.

OPZZ oczekuje, że doprowadzi się do

zmiany obiegu pieniądza w podziale dochodu narodowego. W podatkach - większej progresji i kwoty wolnej. Podatek nie jest karą, a świadczeniem na rzecz dobra wspólnego. Należy nagradzać te firmy i osoby, które płacą uczciwie podatki. Trzeba wprowadzić zmiany w kosztach uzyskania przychodów.

Należy budować przewagę konkurencyjną naszej gospodarki, ale nie kosztem pracownika tylko innowacyjnością i wprowadzaniem nowych technologii.

Niezbędne jest podjęcie działań na rzecz wzrostu zatrudnienia, ale nie na umowach śmieciowych ale poprzez tworzenie nowych, dobrych miejsc pracy. Aby robić to skutecznie potrzebne jest wywołanie popytu i doprowadzenie do wzrostu wynagrodzeń. OPZZ wielokrotnie określał ścieżki dojścia do płacy minimalnej, na poziomie 50 % średniej krajowej. Konieczne jest wprowadzenie minimalnej płacy godzinowej. OPZZ postuluje 15 zł brutto - w wypadku osób zatrudnionych na umowach niestandardowych będzie to ok. 10 zł netto. W „budżetówce” trzeba doprowadzić do zbliżenia wynagrodzeń do płac europejskich.

W Prawie Pracy postulujemy cywilizowanie norm poprzez doprowadzenie do powszechnego stosowania zakładowych i branżowych układów zbiorowych pracy. Konieczna jest nowa definicja pojęcia pracodawcy. Domagamy się umocnienia Państwowej Inspekcji Pracy aby skuteczniej egzekwowała przepisy prawa.

Kluczową sprawą jest podpisanie przez Polskę karty praw podstawowych oraz ratyfikacja artykułu 4 Europejskiej Karty Społecznej oraz zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej w pełnym zakresie. Oczekujemy rozpoczęcia procedury ratyfikacji 12 – stu Konwencji MOP. Szczególnie 102., dotyczącej świadczeń na rzecz bezrobocia.

Szef konfederacji, złożył na ręce premier Beaty Szydło, marszałków Sejmu i Senatu oraz przewodniczącego RDS, projekt ustawy emerytalnej autorstwa OPZZ, w którym prawo do emerytury uzyskuje się po 40 latach pracy.

Rocznica śmierci Prezydenta Narutowicza

W dniu 16 grudnia 2015 roku pod gmachem warszawskiej „Zachęty” zebrali się przedstawiciele ugrupowań postępowych aby uczcić pamięć zamordowanego 93 lata temu Prezydenta RP Gabriela Narutowicza.

W uroczystościach wzięła udział prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, która wraz z przewodniczącą rady miasta Ewą Malinowską-Grupińską złożyła wieńce w imieniu warszawskiego samorządu.

Oprócz prezydent Warszawy na schodach „Zachęty” przemawiali przedstawiciele partii politycznych. W imieniu ugrupowań lewicowych zabrali głos: Barbara Nowacka (TR), Krzysztof Gawkowski (SLD) i Marek Matczak (Zieloni). W imieniu partii Razem przemawiał Krzysztof Grochowski. Głos zabrała również Nina Sankari reprezentująca Fundację im. Kazimierza Łyszczyńskiego.

Na wiecu obecni byli także współprzewodniczący Partii Zielonych Adam Ostolski, wiceprzewodnicząca SLD Paulina Piechna-Więckiewicz i przedstawiciele PPS.

W uroczystości wzięło udział ponad 300 osób. Pod „Zachętą” zapłonęła ponad setka świec i zniczy przyniesionych przez uczestników wiecu.

Walne Zgromadzenie stowarzyszenia Ruch Społeczny P-P-S

W dniu 30 grudnia 2015 roku w Warszawie odbyło się Walne Zgromadzenie członków stowarzyszenia Ruch Społeczny „Praca-Pokój-Sprawiedliwość”. Stowarzyszenie jest m.in. wydawcą „Przeglądu Socjalistycznego” i popularnej witryny internetowej.

Zgromadzenie miało charakter sprawozdawczo-wyborczy. Zostało przedstawione przez zarząd sprawozdanie za okres ostatnich 3 lat działalności. Odnotowano w tym czasie regularne wydawanie kwartalnika „Przegląd Socjalistyczny”, organizację seminariów i konferen-

Przegląd Socjalistyczny 4/2015

cji związanych ze sprawami ideowymi środowisk socjalistycznych w Polsce a także aktywne uczestnictwo w przedsięwzięciach dotyczących współpracy różnych środowisk lewicy. Dotyczy to m.in. organizowanej w roku 2011 Konferencji Porozumienia Lewicy, w roku 2013 – Kongresu Polskiej Lewicy i w roku 2015 – Zjednoczonej Lewicy.

Uczestnicy zgromadzenia po przedstawieniu sprawozdania z działalności udzielili absolutorium dotychczasowemu zarządowi.

Zgodnie ze Statutem wybrano nowy siedmioosobowy Zarząd Główny w składzie:

Andrzej Ziemski – prezes
Janusz Przepiórski – wiceprezes
Kazimierz Treger – wiceprezes
Czesław Kulesza – sekretarz generalny
Jacek Kłopotowski – skarbnik
Daniel Mieniewski i Sylwester Szafarz – członkowie zarządu

Wybrano także trzyosobową Główną Komisję Rewizyjną w składzie:
Maria Nowak-Dzierżyńska, Ewa Ochalska i Janusz Ptaszkiewicz.

Walne Zgromadzenie przyjęło także uchwałę programową wskazującą kierunki działania na najbliższą kadencję.
